

Kto drży przed
reformami Ziobry

Kanclerz Niemiec
Martin Schulz?

Czy stać nas na „500+”
dla każdego Polaka



JAK RZĄD TUSKA ZNISZCZYŁ

BOR



Odkryj nowe oblicze zimy z Rentis



RENTIS
Smart way to rent a car



+48 720 200 500



www.rentis.pl



info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

📍 **BIAŁYSTOK** +48 519 535 331 📍 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 📍 **GDAŃSK** +48 519 535 311 📍 **GORZÓW WLKP** +48 519 535 327
📍 **KATOWICE** +48 519 535 301 📍 **KIELCE** +48 519 535 304 📍 **KRAKÓW** +48 519 535 305 📍 **LUBLIN** +48 519 535 318 📍 **ŁÓDŹ** +48 519 535 308
📍 **OLSZTYN** +48 519 535 314 📍 **OPOLE** +48 519 535 309 📍 **PŁOCK** +48 519 535 334 📍 **POZNAŃ** +48 519 535 303 📍 **RZESZÓW** +48 519 535 306
📍 **SZCZECIN** +48 519 535 310 📍 **WARSZAWA** +48 519 535 302 📍 **WROCŁAW** +48 519 535 307



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Totalitarna ciągota

W zeszłym roku, 14 grudnia w Strasburgu, mogłem przyglądać się debacie poświęconej demokracji w Polsce. Doprawdy, dziwne było to doświadczenie. Poziom bredni bowiem, ignorancji i głupoty – tak, zwykłej, prostej głupoty – przekraczał wszystko, co do tej pory na temat Polski mogłem usłyszeć. Ciekawe, że najbardziej radykalne, a jakże inaczej, były głosy lewicowych feministek, które wzywały polski rząd do walki z zabójstwami honorowymi i małżeństwami nieletnich. Do dziś bawi mnie patetyczny krzyk jednej z europosłanek, pytających dramatycznie pustą skądinąd salę, kiedy w Polsce kobiety odzyskają prawo do swojego ciała – oczywiście, rzekomo zagrożone prawo do własnego ciała to prawo do aborcji. Niezwykle to było, powtarzam, dziwowisko, kiedy to, mając gęby pełne wolności i demokracji, w istocie wzywano do ich ograniczenia i zniesienia. Na czym bowiem polegać ma wolność słowa według oświeconych postępców, najlepiej pokazała zeszlotygodniowa decyzja francuskiego parlamentu. Przyjął on ustawę zakazującą szerzenia

w Internecie informacji mogących odwieść kobietę od aborcji. Zgodnie z nowym prawem francuskie portale internetowe nie będą teraz mogły legalnie przekazywać treści, które mogą zniechęcić kobietę do usunięcia dziecka.

Doprawdy, to jest właśnie coś, co zasługuje na debatę w Parlamencie Europejskim. To jest właśnie decyzja, która u wszystkich ludzi autentycznie ceniących swobodę sumienia i słowa powinna wywołać wstrząs, szok, oburzenie i sprzeciw. To jest właśnie postanowienie, które przecież pokazuje, że współczesne państwo demokratyczne zmierza niebezpiecznie w stronę – nie bójmy się takich słów – totalitaryzmu.

Czym innym, jeśli nie ciągotą totalitarną, jest bowiem próba zakneblowania ust organizacjom pro-life, które próbują – i to gdzie, w Internecie, a więc, można by powiedzieć, w najmniej inwazyjny sposób – walczyć o godność życia, o godność nienarodzonych. I tym właśnie ludziom francuski demokratyczny rząd, ten sam, którego politycy i zwolennicy tylekroć pocuzali Polskę, pochylali się z troską nad stanem jej demokracji, odebrał prawo głosu.

Uzasadnienie, jak zawsze, jest takie samo: żeby u kobiet, które zdecydują się na zabieg, czyli na zabicie nienarodzonego, nie wywoływać stresu. Wyobrażają sobie państwo bardziej jawną i absurdalną drwinę ze zdrowego rozsądku? Bardziej orwellowską nowomowę? Protest przeciw zabijaniu staje się budzeniem stresu, a apel do sumienia – agresją.

Czekam tylko, kiedy któreś kolejne państwo pójdzie tropem francuskiego i zażąda zakazu krytyki eutanazji. Czy u osób, które zdecydowały się na śmierć z rąk ich współczujących bliźnich, protesty i krytyka ich zachowania nie powodują dodatkowego cierpienia? Powodują. Zakażmy zatem w ogóle debaty nad eutanazją.

Idźmy jednak dalej. Skoro nie wolno krytykować ani apelować do sumień dokonujących aborcji kobiet, to przecież należałoby w ogóle zakazać istnienia ruchów pro-life. Jakim prawem ich przedstawiciele mówią o zabijaniu dziecka, skoro tu chodzi o usunięcie płodu, o zabieg równie neutralny moralnie jak wycięcie guzka czy wrzodu.

W ten sposób zachodnia cywilizacja zatoczyła pełen krąg. Kiedyś, na początku, państwo miało stać na straży niezbywalnej wolności słowa. Na tym zasadzała się jego wyższość nad innymi formami rządów. Wolność słowa i sumienia – to miały być te nienaruszalne, nienegocjowalne wartości. Teraz okazuje się, że jest dokładnie odwrotnie. Skoro państwo uznało, że zabijanie dzieci nienarodzonych jest legalne, to próbuje uniemożliwić krytykę swego prawa. W ostateczności może się okazać, że państwo liberalne będzie próbować – swoisty to paradoks – w ogóle zakazać wszelkiej debaty na temat moralnej wartości swoich działań. I to się obecnie nazywa postępem! ©

RYСУNEK TYGODNIA



TEMAT TYGODNIA

16 WOJCIECH WYBRANOWSKI

BOR-ZE, CHROŃ VIP-A

Sledztwo „Do Rzeczy”. Wieloletnie zaniedbania w Biurze Ochrony Rządu

19 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

POLITYKA CZYSZTEJ NIENAWIŚCI



KRAJ

22 ROZMOWA Z WITOLDEM WASZCZYKOWSKIM

NIE CHCEMY KATASTROFY EUROPEJSKIEJ

Zabezpieczyć UE przed dalszymi dążeniami integracyjnymi

26 MARCIN MAKOWSKI

REWOLUCJA ZIOBRY

30 KAMILA BARANOWSKA

HIPIS TYLKO DO DZIESIĄTEJ

32 ANDRZEJ KRZYSTYŃIAK

POLACY DO BICIA

34 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

ANNA LEWANDOWSKA I KULKI MOCY

RAPORT „DO RZECZY”: WIELKA ZMIANA

36 OLIVIER BAULT

KONTRREWOLUCYJNE DOMINO

Węgry, Polska, USA, a za chwilę może i Francja – na świecie nadszedł czas prawicy

39 ROZMOWA Z PROF. RYSZARDEM LEGUTKĄ

GŁÓWNY NURT SIĘ ZAŁAMAŁ

KULTURA

42 WIESŁAW CHEŁMINIAK

POWIEW SZTUKI ZNAD DUNAJU

Węgierskie malarstwo narodowe

45 KRZYSZTOF MASŁOŃ

POWTÓRKA Z LITERATÓW POLSKICH

48 PIOTR GOCIEK

KSIĘŻYC ODLUDKA

50 ANDRZEJ HORUBAŁA

DEMOLKA W NARODOWYM

NIE PRZEGAP

52 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

58 PIOTR SEMKA

UKRAINA – CZYNNIK STAŁY

Polemika „Do Rzeczy”. Prawica nie musi idealizować Ukrainy, powinna z nią rozmawiać

62 ROZMOWA Z DR. MARCINEM MAJEWSKIM

INTRONIZACJA JEZUSA KRÓLA

HISTORIA

64 PIOTR ZYCHOWICZ

RZEŹ POLAKÓW W ARMII CZERWONEJ

Sowiecka czystka 1937–1939

68 MARTA

MARCINKIEWICZ

AGENT

W CELI



ŚWIAT

72 JACEK PRZYBYLSKI

CIEMNE CHMURY NAD TRUMPEM

Prezydent kontra służby specjalne



75 SZEWACH WEISS

ŻYDZI I JĘZYK NIEMIECKI

76 CEZARY GMYZ Z BERLINA

MARTIN SCHULZ KANCLERZEM?

78 ROZMOWA Z BRIANEM REYNOLDSEM MYERSEM

DYKTATOR W WESOŁYM MIASTECZKU

81 JACEK PRZYBYLSKI

RUMUNI WSTALI Z KOLAN

82 TOMASZ P. TERLIKOWSKI

POWRACA GEOPOLITYKA VATICANUM II

EKONOMIA

84 EDYTA HOŁDYŃSKA

ZASTÓJ NA BEZKRÓLEWIU

GPW bez sternika

86 TOMASZ WRÓBLEWSKI

„500+” DLA KAŻDEGO POLAKA?

FELIETONY: SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, KOWALCZUK (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), POSPIESZALSKI (56), ZALEWSKI, WOLSKI (61), ZYCHOWICZ, KOPER (70), GABRYEL, RYBIŃSKI (89), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

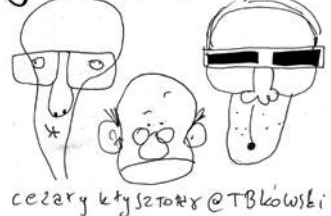
Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu fragment listu komentującego nasz artykuł i nie mniej interesujące wyjaśnienie.

„Niechciany efekt Franciszka”

„Do Rzeczy” nr 7/2017 porusza piórem Tomasza P. Terlikowskiego narastający problem braku powołań w Kościele.

W celu zakwestionowania opinii grafologów Ł. Wąsów przedstawił opinie liczących grafologów...



Moim zdaniem jest to efekt Soboru Watykańskiego II. [...] Zmiana liturgii była tego najlepszym i symbolicznym przykładem. Dotychczas kapłan sprawujący najświętszą ofiarę, skierowany ku ołtarzowi i stojący tyłem do wiernych, prowadził ich niejako symbolicznie ku Bogu. [...] Po reformie Pawła VI kapłan stał się tylko jednym ze współbiedniaków przy stole Pańskim. [...]

Kolejnym krokiem, fatalnym w skutkach, było wprowadzenie

„emerytur” dla biskupów, a ostatnio – o zgrozo! – nawet dla papieża. Biskupstwo to sakrament i powołanie na całe życie, a nie zawód. [...] To tak, jakby małżonkowie po osiągnięciu jakiegoś wieku stawali się „małżonkami emerytami”. I wtedy co? Obowiązkowa separacja?

Sądzę, że młodych mężczyzn pociągając do kapłaństwa może wielkie, prawdziwie męskie wyzwanie, jakie stawia im Zbawiciel, by głosił przed współczesnym areopagiem Jego uniżenie i męczeńską śmierć, mówili jasno: tak – tak, nie – nie, a nie bawili się w animatorów kultury czy psychoterapeutów...

Wojciech Zajączkowski, Łódź

Wyjaśnienie

W artykule pt. „Marihuana nie jest panaceum” („Do Rzeczy” nr 7/2017) kilkakrotnie podaliśmy niepoprawną pisownię nazwiska pośła klubu Kukiz'15: Piotr Marzec „Liroy”. Istotnie, początkowo „Liroy” było jedynie pseudonimem artystycznym rapera, jednak muzyk, zanim jeszcze zasiadł w ławach poselskich, zmienił nazwisko na Liroy-Marzec. – Od dawna planowałem taką zmianę, bo przecież ludzie bardziej mnie kojarzą jako Liroya. Liroyem-Marceem jestem od szkoły podstawowej, teraz już oficjalnie – tak Liroy-Marzec tłumaczył w mediach swoją decyzję. Poprawnie powinno być więc: Piotr Liroy-Marzec. Błąd wystąpił na etapie korekty.

Za niedopatrzenie przepraszamy.

NA NIELUDZKIEJ ZIEMI

Do 18 marca w Centrum Edukacyjnym IPN „Przystanek Historia” można oglądać wystawę prac prof. Stanisława Kulona „Świadectwo II. 1939–1946” ukazującą tragiczne losy Polaków deportowanych do ZSRS.

„Świadectwo II. 1939–1946” to już trzecia, po „Świadectwie I” i „Drodze Krzyżowej”, prezentacja twórczości wybitnego rzeźbiarza i pedagoga w „Przystanku Historia”. Na ekspozycję składają się szkice wykonane czarnym i kolorowym tuszem oraz drewniane reliefy i rzeźby, ukazujące tragiczne losy obywateli polskich deportowanych do Związku Sowieckiego w 1940 r. Była wśród nich rodzina 10-letniego wówczas Stanisława Kulona. Przyszły rzeźbiarz wspominał: „Dla ze-



stańców nie było szans na życie na tej bezdusznej ziemi [...]. Wszyscy byliśmy przeznaczeni do masowej zagłady”. Na „nieludzkiej ziemi” zmarli jego rodzice i trzej bracia. Przyszły rzeźbiarz, wraz z dwójgiem ocalałego rodzeństwa, zdołał wrócić do Polski w 1946 r.

W dorobku prof. Kulona znajdują się zarówno kameralne rzeźby oraz reliefy, jak i monumentalne pomniki. Inspiracji szuka w sztuce ludowej i średniowiecznej rzeźbie sakralnej, bardzo często podejmuje też tematykę związaną z historią Polski. Wywiad z prof. Stanisławem Kulonem można przeczytać w najnowszym numerze miesięcznika „Historia Do Rzeczy”. (ww) ©



ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: Paweł Lisicki
I zastępca redaktora naczelnego: Piotr Gabryel
Zastępcy redaktora naczelnego: Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz

Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: Jacek Przybylski (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Godle, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoni,
Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiński

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Sławomir Cendekiewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika Cioś (Bruksela),
Krzysztof Czański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Edyta Hołdyńska,
Jarosław Kałucki, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk
(Rzym), Jakub Kowalski, Tomasz Lenkowski, Ewa Łosińska, Łukasz
Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Agnieszka
Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan
Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński,
Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torasiński, Matthew Tyrmund,
Paweł Wawrzynski, Szwach Weiss, Piotr Wierzbicki, Piotr Włoczek, Marcin
Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski

DoRzeczy.pl redaguje Antoni Trzmiel (także dziennikarz Telewizji Polskiej)
z zespołem: Zofia Magdziak (zastępca), Anna M. Piotrowska,
Małgorzata Puzyr, Damian Cysan, Karol Gac
Współpraca: Miłosz A. Ludowski

Studio graficzne: Mariusz Danuk-Skarbek (szef studia),
Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący), Jacek Nadratowski,
Anna Sobieska-Wójcisz, Włodzimierz Zakrzewski
Fotograf: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz
Rysownicy: Andrzej Krauze, Cezary Krzyszto, Mirosław Owczarek
Okładka: Radek Pietruszka/PAP

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi
w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA,
notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: Michał M. Lisiecki
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: Michał Staszewski (kierownik marketingu i sprzedaży)
reklama@dorzeczy.pl; tel. +48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS: Anna Pawłowska-Pojawa (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzecki (kolportaż);
Karolina Olchowik (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 110 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedawca egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detalicznej
na ustaloną przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adaptacji tekstów
oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego
wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów
opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

To już piąta edycja wydarzenia, które wpisuje się w szerszy kontekst nie tylko przywracania godności i pamięci, lecz także popularyzacji czynu zbrojnego podziemia antykomunistycznego. Organizatorem biegów pamięci żołnierzy wykłętych jest Fundacja Wolność i Demokracja, której założyciel, Michał Dworczyk (obecnie poseł PiS), pomysłodawca całej inicjatywy. – Trudno dzisiaj w to uwierzyć, ale jeszcze pięć lat temu o takich bohaterach jak „Inka” czy „Łupasza” mało kto słyszał. Dlatego w gronie naszej fundacji zastanawialiśmy się, w jaki sposób dotrzeć do szerokiej grupy odbiorców, niekoniecznie zainteresowanych tematyką historyczną. Tak narodził się pomysł imprezy sportowej, przy okazji której można by skutecznie popularyzować wiedzę na temat antykomunistycznego podziemia zbrojnego – mówi Michał Dworczyk. – Za pierwszym razem „Tropem Wilczym” pobięło ledwie kilkanaście osób, ale rok później ku czci żołnierzy wykłętych wystartowało już 1,5 tys. biegaczy. Do słuszności naszej koncepcji przekonały nas ostatecznie rozmowy z uczestnikami dwóch pierwszych edycji. Niektórzy z nich mówili wprost, że dopiero dzięki imprezie biegowej dowiedzieli się, że ktoś taki jak żołnierze wykłęci w ogóle istnieli.

Z roku na rok rośnie liczba nie tylko uczestników, lecz także organizatorów lokalnych. V edycja Biegu Pamięci Żołnierzy Wykłętych „Tropem Wilczym” – odbędzie się jednego dnia – 26 lutego – w ponad 230 miastach w Polsce, a także za granicą: w USA (w Chicago i Nowym Jorku), Australii, Niemczech, na Ukrainie i Litwie czy w Wielkiej Brytanii (w Londynie). Patronat nad wydarzeniem objęło Ministerstwo Obrony Narodowej. Patronem honorowym



Na sportowo ku chwale bohaterów

26 lutego w ponad 200 miastach w Polsce i na świecie wystartują biegi pamięci żołnierzy wykłętych. W tym roku „Tropem Wilczym” pobięą także amerykańscy żołnierze stacjonujący w Żaganiu

tegorocznej edycji, na prośbę prezesa zarządu Fundacji Wolność i Demokracja, został minister obrony narodowej Antoni Macierewicz, który niejednokrotnie akcentował swoje przywiązanie do tradycji antykomunistycznego podziemia oraz uznanie dla tego typu wydarzeń. Ku czci żołnierzy wykłętych pobięą w tym roku żołnierze. Około 20 garnizonów zorganizuje swój bieg, inne przyłączą się do biegów lokalnych. „Tropem Wilczym” wyruszą polscy żołnierze służący na misjach w Afganistanie, Kuwejcie,

Kosowie, Bośni i Hercegowinie. Łącznie ok. 60 tys. uczestników plus wojsko. – Lokalnymi organizatorami są urzędy miast, gmin, parafie, kluby sportowe, organizacje biegowe, fundacje, stowarzyszenia, szkoły. „Tropem Wilczym” to nie tylko połączenie sportu i historii. Wydarzeniu towarzyszą liczne imprezy o charakterze edukacyjnym i kulturalnym: koncerty, pokazy grup rekonstrukcyjnych, wystawy – mówi Barbara Konarska, rzecznik prasowy projektu. – Co roku przybywa nowych podmiotów, które zgłaszają chęć uczestniczenia

w tym wydarzeniu. Ludzie dzisiaj szukają tego, co łączy. A my właśnie dotykamy absolutnie wspólnej przestrzeni. Naszych polskich korzeni – dodaje.

Nowością jest to, że w tym roku „Tropem Wilczym” wyruszą także żołnierze armii amerykańskiej z jednostki od stycznia tego roku stacjonującej w Żaganiu. – To była oddolna inicjatywa. Amerykańscy żołnierze dowiedzieli się o idei biegu od swoich kolegów z polskich garnizonów. Zachęceni przykładem postanowili wystartować i oddać hołd bohaterom swoich sojuszników – mówi Michał Dworczyk.

– Instytut Pamięci Narodowej, który jest współorganizatorem Biegu, przygotowuje materiały edukacyjne w języku angielskim na temat żołnierzy wykłętych dla startujących w naszym biegu amerykańskich żołnierzy, aby skorzystać z okazji i przybliżyć im ten szczytny dla nas, a kompletnie nieznany na Zachodzie fragment naszej historii – zaznacza Barbara Konarska. Wspólnym mianownikiem wszystkich biegów pod hasłem „Tropem Wilczym” jest dystans. Uczestnicy mają do pokonania trasę 1963 m, na pamiątkę roku śmierci ostatniego żołnierza wykłętego o pseudonimie Lalek. W Warszawie dodatkowo odbędą się biegi na 5 i 10 km, na terenie parku Skaryszewskiego.

Zainteresowanie sportowym uczczeniem pamięci wykłętych jest spore, dlatego warto wejść na stronę Tropemwilczym.pl i na specjalnie przygotowanej mapie sprawdzić, w których miastach nie jest jeszcze zamknięta lista uczestników. Każdy, kto ukończy bieg, dostanie pamiątkową koszulkę z wizerunkiem żołnierza wykłętego i medal. Wysokość opłaty startowej zależy od lokalnego organizatora. Szczegóły na stronie internetowej wydarzenia. ©

Maciej Pieczyński

Bieg Pamięci Żołnierzy Wykłętych „Tropem Wilczym” odbędzie się w niedzielę 26 lutego w ponad 230 miastach w Polsce, m.in. w Warszawie (park Skaryszewski, start I tury biegu na dystansie 5 km o godz. 10, gra rodzinna o godz. 10.15, rekonstrukcja części I o godz. 10.30, start II tury biegu na dystansie 5 km o godz. 10.50, start I tury biegu honorowego na dystansie 1963 m o godz. 11.40, start I tury biegu honorowego na dystansie 1963 m o godz. 12.10, II część rekonstrukcji o godz. 12.30, start I tury biegu głównego na dystansie 10 km o godz. 13, start II tury biegu głównego na dystansie 10 km o godz. 14.15), w Poznaniu (Cytadela, start falowy biegów na 5 i 10 km o godz. 9.30, start biegu na 1963 m o godz. 9.40), Krakowie (Muzeum Lotnictwa Polskiego, start biegu na 1963 m o godz. 12, start biegu na 5 km seria I o godz. 12.30, start biegu na 5 km seria II o godz. 13.30), Gdańsku (park Reagana, start biegu na 1963 m o godz. 8), Międzyzdrojach (Promenada, start biegu na 1963 m o godz. 12, start biegu na 5 km o godz. 12.30).

Już za tydzień w tygodniku **DO RZECZY** dodatek specjalny z serii Polonia Recordatur



CHWAŁA ORĘŻA POLSKIEGO **DODATEK SPECJALNY**

Bitwa Warszawska

- Jak Polacy uratowali Europę
- Zbrodnie bolszewickich najeźdźców
- Masakra pod Zadwórzem





PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Licencja na rusofilię

Miesiąc po objęciu urzędu przez Donalda Trumpa można już w ocenie nowej prezydentury USA powiedzieć jedno: rozliczne zapowiedzi sojuszu Waszyngtonu z Moskwą się nie sprawdziły. Wręcz na odwrót.

15 lutego Trump złożył wyrażną deklarację – oczekuje, że Rosja zwróci Krym Ukrainie oraz podejmie kroki mające na celu „zredukowanie przemocy” na terenie tego kraju. Wcześniej, 2 lutego, w czasie krótkiego spotkania w kulisach

się znikąd. Faktem były parokrotne jego wzmianki w kampanii wyborczej o możliwości zniesienia sankcji wobec Rosji. Zwracało też uwagę unikanie krytyki Putina w debatach z Hillary Clinton, co bardzo niepokoiło rządy krajów Europy Środkowo-Wschodniej.

Trudno jednak nie zauważyć, że hasło „Trump – sojusznik Putina” było elementem strategii wyborczej wielu polityków obozu liberalnego wynikającej z całej linii politycznej ambitnego milionera.

Gdy wcześniej rusofilia, tyle że lewicowa, kwitła w RFN, nikt nie rozdzierał szat. I tak jest do dziś.

Zupełnie bez echa przeszły w Polsce niedawne wypowiedzi Dietmara Woidkego – premiera Brandenburgii, a także pełnomocnika do spraw relacji RFN z Polską. Wyraził on głębokie zaniepokojenie z powodu przyjazdu wojsk amerykańskich do Polski, a samą obecność sił NATO u nas i w krajach bałtyckich nazwał prowokacją.

Tak samo decyzja o wyborze na prezydenta RFN Franka-Waltera Steinmeiera wywołała dziesiątki komentarzy, ale tylko w paru przypadkach przypomniano, że jeszcze pół roku temu nazwał on manewry NATO w Polsce i krajach bałtyckich niebezpiecznym „potrząsaniem szabelką”.

Dzisiaj nie sposób ocenić, czy twarda linia Trumpa wobec Rosji to już trwała tendencja czy tylko chwilowy trend. My tuż za miedzą mamy o wiele bardziej stałych w swych uczuciach „Russlandversteher”, czyli polityków starających się na siłę rozumieć Rosję. Jeśli SPD wygra wybory, to mogą być oni o wiele bardziej konsekwentni niż Trump. Ich krytykować jest nad Wisłą o wiele mniej poprawnie politycznie. ©©

Nie sposób ocenić, czy twarda linia Trumpa wobec Rosji to już trwała tendencja, czy tylko chwilowa linia

Narodowego Śniadania Modlitewnego Donald Trump miał zapewnić Julię Tymoszenko, że Stany Zjednoczone nie zniosą sankcji wobec Rosji dopóty, dopóki Moskwa nie wycofa się z Ukrainy.

I trzeci fakt – niespodziewana dymisja doradcy prezydenta USA ds. bezpieczeństwa narodowego Michaela Flynna. Jej powodem miały być kontakty generała z Rosją przed objęciem prezydentury przez Donalda Trumpa, w których przekroczył on swoje kompetencje. Na dodatek jego następcą, Robert Harward, kierował w 2002 r. działaniami morskich oddziałów specjalnych Navy SEALs w Iraku, które współpracowały tam z naszym GROM-em. Dobry prognostyk dla relacji Polski z Białym Domem. Także typowany na rusofila nowy sekretarz stanu Rex Tillerson na razie nie pała miłością do Rosji.

Oczywiście obawy przed prorosyjskim zwrotem Trumpa nie brały

BARBARA STANISŁAWCZYK NADAL PREZESEM POLSKIEGO RADIA

Rada Mediów Narodowych zdecydowała w czwartek, że Barbara Stanisławczyk utrzyma stanowisko prezesa zarządu Polskiego Radia. Drugim członkiem zarządu będzie Mariusz Staniszewski, wcześniej sekretarz redakcji „Do Rzeczy” i wice-naczelnik tygodnika „Wprost”. W konkursie wystartowało siedem osób. Do finałowego etapu przeszło sześcioro kandydatów. Wysłuchania kandydatów były jawne i można je było oglądać przez Internet. (jap) ©©



FOT. JAKUB SZWIZUK/POLSKIE RADIO

TUSK NA PREZYDENTA?

– Naturalnym scenariuszem jest, że Donald Tusk będzie kandydatem zjednoczonej opozycji na prezydenta – oznajmił w piątek Grzegorz Schetyna. Przewodniczący PO w radiowej Jedynce wyraził przekonanie, że były premier pozostanie szefem Rady Europejskiej na kolejną kadencję, do końca 2019 r. (jap) ©©

dorzeczy.pl

W NOWEJ ODSŁONIE!

INFORMACJE | OPINIE | RELACJE | EMOCJE



PUBLICYSTYKA NAJWYŻSZEJ PRÓBY.

TERAZ BLIŻEJ CIEBIE.

WEJDŹ ►



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Spalony

Podobno coraz większym problemem w debacie publicznej są „fejkowe newsy”. W warunkach obfitości mediów i morderczej konkurencji między nimi, w czasach, gdy dawno zapomniano o starej zasadzie, by każdą informację przed podaniem sprawdzić – już nie powiem, jak kiedyś, trzy razy, ale w ogóle jakkolwiek – z pewnością

mnie większym problemem jest to, że te „niusy”, które są tak głupie, tak żenujące albo kompromitujące, iż wydają mi się bankowo „fejkowymi”, zawsze okazują się prawdą.

Prawdą okazało się, że Lech Wałęsa zbliżył się z niejakim Stonogą, postacią, o której powiedzieć, że jest szemranym cwaniaczkiem i przestępcą, to nie powiedzieć nic. To bardziej chamowata, prymitywna i hucpiarska wersja Leppera, który był rodzimą realizacją licencji modelu „Żyrinowski”. Osobnik z licencją na bezkarne, mimo licznych wyroków, brutalne i nieszkodliwe dla biegu zdarzeń bluzgi wobec przedstawicieli wszelkich władz, który dzięki temu robi za antysystemowego buntownika najbardziej prymitywnej części gimnazji i półanalfabetów. Nie wydaje mi się, żebym miał obsesję dopatrywania się wszędzie ręki służb specjalnych, ale w tym przypadku jest niewątpliwe, że

podobna kreatura funkcjonować może tylko dzięki ich opiece.

Co oznacza, że bluzgający wszystkim idol internetowego pegeeru nagle staje się apologetą i obrońcą Wałęsy – „ikony demokracji i walki o wolność, którą wszyscy się dziś cieszymy”, a ten fotografuje się z nim, jak na urągawisko, pod portretami Papieża i Marszałka? Moim zdaniem Wałęsie to nie pomaga, a Stonogę pali. To zbyt gwałtowna zmiana chuligańskiego „image’u”, by mogła zostać zaakceptowana przez tych, którzy uwierzyli w antysystemowość Stonogi. Najwyraźniej jednak ktoś uznał, że pal diabli Stonogę, sytuacja jest rozpaczliwa i trzeba ratować patrona wszystkim, co jeszcze się ma.

Można rzec – tonący stonogi się chwyta. I dodać: idźże złoto do złota. Jak bowiem się wpatrzeć w to zdjęcie, to obaj panowie jakoś do siebie pasują. ©©

Moim zdaniem Wałęsie to nie pomaga, a Stonogę pali. To zbyt gwałtowna zmiana chuligańskiego „image’u”

wrzucony „fejk” funkcjonuje na równych prawach z prawdą, a nawet z nią wygrywa, bo z reguły jest bardziej od prawdy dostosowany do oczekiwań.

To jest problem, owszem, ale bynajmniej nie największy. Dla



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

0 waloryzacji praw

Na uniwersytecie w Bolonii przy wejściu do biblioteki zainstalowano drzwi, które otwierają się po włożeniu do czytnika imiennej karty. Wyrobić może ją każdy student. Autonomiczne Zrzeszenie Studentów uznało, że rektor ograniczył narodowi dostęp do wiedzy. Aktywiści drzwi zdemonstrowali, rozpoczęli okupację, wydali wojnę przybyłej policji, a bibliotekę i okolice zdewastowali. Protesty trwają.

Rektor powiada, że chce wiedzieć, kto i jak korzysta z biblioteki, bo pojawiają się tam dilerzy narkotykowi oraz ich klienci, i to nie po to, by czytać książki. Toalety zamieniły

się w narkotykowy supermarket. Elektroniczne drzwi mają też zapobiec kradzieżom. Zbuntowani studenci skarżą się, że instalacja drzwi godzi w wieloletnią tradycję. Kuluary biblioteki, do której przedtem mógł wejść każdy, były bowiem ważnym miejscem wymiany myśli, gdzie wykuwały się postępowe postawy studentów: antyrasistowskie i antyfaszystowskie, solidarności z najsłabszymi i gościnności.

Na tym nie koniec delirium. Znany profesor filozofii bolońskiej Alma Mater Stefano Bonaga, weteran buntu studentów w 1968 r., w wywiadzie dla „Corriere della Sera” twierdzi, że studenci mają ra-

cję. Potępia przemoc i z powagą poucza: „Przemoc posiada symboliczny walor tożsamościowy. Uważasz się za ofiarę, uważasz, że masz rację, więc przemocą waloryzujesz swoje prawa obywatelskie”. Czyli zideologizowany chuligan nie chuligani, lecz się utożsamia i waloryzuje. Nie ma jak odpowiednie dać rzeczy słowo. Profesorek najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy, że w ferworze rewolucji semantycznej usprawiedliwił też ofiary pierwszej wojny – bojówkarzy Mussoliniego i Hitlera. Krwawych lewaków Czerwonych Brygad nie musi. W leksykonie postępowej włoskiej lewicy to towarzysze, którzy pobłądzili. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTES MALKONTENTA

BOR jako pasożyt

Jeden z obecnych ministrów opowiada mi, jak przez wiele miesięcy udawało mu się uniknąć ochrony BOR. W końcu jednak musiał skapitulować. „I teraz chodzą za mną” – mówi z wyraźną niechęcią. – Nawet po Sejmie, tak jakby mi tam coś mogło grozić. Dziennikarze mnie zaatakują? A jak wchodzę do ministerstwa, to mnie pod drzwi gabinetu odprowadzają, bo przecież może mnie napaść wiceminister”.

**Tak jak niegdyś zaufana służba
znała sekrety pana i pani domu,
tak funkcjonariusze BOR
wiedzą o prywatnym życiu polityków
znacznie więcej niż inni**

Znam człowieka. Wiem, że się nie kryguje. I to jest zdrowa postawa, ale niezbyt częsta. Dlaczego BOR, przez całe lata ochraniając kolejnych prezydentów, premierów, ministrów, skończyło – już za władzy, która podobno dba o stan państwa – z pękającymi oponami i limuzyną premier na drzewie? Odpowiedź jest prosta: działa mechanizm psychicznego uzależnienia ochraniających od ochraniających, który agenci BOR opanowali do perfekcji. Większość polityków jest wobec niego bezbronna. Jazda na „bombach” przez zatłoczone ulice, groźni panowie (i panie) z glockami pod marynarkami, szefostwo opowiadające o niekoniecznie realnych zagrożeniach, żeby uzasadnić

kolejne kompetencje i przekonać VIP-a, że ochrona jest absolutnie niezbędna – to mile łąchce. Mało kto ma do sprawy stosunek taki jak wspomniany minister. Mało kto potrafi nie dać się omotać. I na tym psychicznym uzależnieniu BOR od dawna pasożytuje.

Jest jeszcze specyficzny aspekt: tak jak niegdyś zaufana służba znała sekrety pana i pani domu, tak funkcjonariusze BOR wiedzą o prywatnym życiu polityków znacznie więcej niż inni. I to może budzić u niektórych decydentów obawę: uderzę w BOR, a wtedy wyjdą na jaw jakieś moje małe grzeszki – po co mi to? Wszystko to razem sprawia, że trudno znaleźć odważnego szefa MSWiA, który zakazałby kozakowania, dezynwoltury, postawiłby agentów do pionu i służbę przewietrzył.

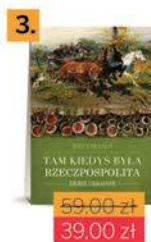
Od Mariusza Błaszczaka usłyszeliśmy najpierw, że BOR w Oświęcimiu dochowało wszelkich procedur, a następnie, że w związku z tym zostanie prawdopodobnie rozwiązane. Proszę nie szukać w tym logiki. W zamian miałyby powstać nowa służba z jeszcze większymi uprawnieniami. Kolejna, która mogłaby grzebać w prywatności obywateli, zakładać podsłuchy, kontrolować korespondencję. Tylko jaki to ma związek z pękającymi oponami albo agresywnym stylem jazdy kierowców BOR – nie wiadomo. Wiadomo, że powiększanie kompetencji BOR (czy jakkolwiek ta formacja miałyby się nazywać) żadnego problemu nie rozwiąże. Wręcz przeciwnie. ©

KSIĘGARNIA

TYGODNIK LISKIEGO

DO
RZECZYWYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMYDO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA
POWYŻEJ 49 ZŁ

PREZENT

Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 26 lutego 2017 r.

ZAMÓW:

www.ksiegarniadorzeczy.pl

☎ 12 431 25 78

ŚCIANKI I WYWIADY

Z problemów pierwszego świata. Celebrytka Agnieszka Woźniak-Starak (kiedyś Szulim) obraziła się śmiertelnie na całą ludzkość, bo przyszła na galę wręczenia nagród i zabrakło dla niej miejsca. Swoje oburzenie wylała w mediach społecznościowych. Napisała, że przyszła, bo bardzo chciała zobaczyć występ rapera



FOT. PIOTR FOTEK/REPORTER

O.S.T.R., ale nie było jej to dane. „Przyszłam, żeby zobaczyć go na żywo, pół godziny przed czasem. I nie zobaczyłam, bo najpierw wsadzają cię na kilometrową ściankę, a potem udzielasz kretyńskich wywiadów, a na koniec okazuje się, że nie ma dla ciebie miejsca na widowni. I pierwszy raz w życiu trafił mnie szlag, dlatego od dziś pieprzę ścianki i pieprzę wywiady, możecie pisać, że gwiazdorzę, przynajmniej będziecie mieli powód” – napisała. Przecież to niczego nie zmienia. Bez powodu też gwiazdorzyła.

ROLA ŻYCIA?

Aktorka Katarzyna Cichopek ciągle narzekała, że reżyserzy i producenci postrzegają ją jako aktorkę jednej serialowej roli, która nie poradzi sobie z innymi wyzwaniem. To się zmieniło. Cichopek pochwaliła się właśnie nowym wyzwaniem aktorskim. Zagrała gościnnie w innym serialu! Jak informuje plotkarski serwis Pudelek, chodzi o „Ojca Mateusza”, w którym Cichopek zagrała... zwłoki. Podobno leżała na mrozie bardzo profesjonalnie, jak na prawdziwą aktorkę przystało. Na tę okoliczność „Fakt” odpytał jej męża Marcina Hakiela. – To był występ gościnny – wyjaśnił małżonek. – Kręcąc te sceny, bardzo się denerwowała. Dla niej było to nowe doznanie aktorskie. To ekstremalne przeżycie, ale świetnie sobie poradziła i nie rozchorowała się po nagraniach – dodał. Kto by pomyślał, że rola nieboszczki może się okazać rolą życia!



FOT. PAWEŁ GROMADA

JESTEM FAJNA

Znana podróżniczka Martyna Wojciechowska, odbierając Telekamerę w kategorii „Osobowość telewizyjna”, wypomniała dyrektorowi programowemu TVN Edwardowi Miszczakowi, że długo musiała go prosić o zgodę na jej sztandarowy program podróżniczy. – Chyba nikt mnie tyle razy nie wyrzucał z pokoju co pan. Prawda, panie dyrektorze? „Wojciechowska, a ty tu znowu ze swoimi pomysłami!” – przypomniała ze sceny. W „Super Expressie” dodała zaś, że jest tym bardziej dumna, bo otrzymała nagrodę, choć nie potrafi gotować. – Dostałam Telekamerę, kobieta, która nie potrafi gotować – powiedziała. – Zobaczcie, Magda Gessler przepadła w głosowaniu. To znaczy, że fajne kobiety nie muszą gotować – dodała. Słuchając Martyny, dochodzimy do wniosku, że nie muszą się też odzywać. Wtedy dłużej pozostaną fajne.

PASJONUJĄCE ŻYCIE GWIAZD

Jest nowy trend w show-biznesie. Agnieszka Jastrzębska, dziennikarka TVN, która zajmuje się komentowaniem życia gwiazd, postanowiła z okazji walentynek zrobić reportaż o miłości Małgorzaty Rozenek i Radka Majdana.

„Małgorzata Rozenek-Majdan i Radosław Majdan to jedna z ulubionych par show-biznesu. Z okazji walentynek przygotowaliśmy dla nich niespodziankę. Zapraszam was do kina. Czy to nie jest miejsce, gdzie się po raz pierwszy zobaczyliście, gdzie paparazzi was przyłapali? Pamiętasz, jak Małgosia była ubrana? Jak zareagowaliście na to, że nikt nie dawał wam szans?” – pytała w materiale. A oni odpowiadali, że Gosia była w dżinsach, a Radek w „garniaczku” i od początku wiedzieli, że to miłość. W tym samym czasie piosenkarka Ewa Farna poinformowała, że z okazji swojego 10-lecia na scenie postanowiła nakręcić film dokumentalny o sobie. – Będę wydawać dokument o sobie na 10-lecie na scenie. Obchodziłam je w Czechach, w tym roku w Polsce. Nagrywaliśmy dokument ponad rok. Dziesięć lat na scenie to jest taki fajny moment, który chcę świętować z fanami. Będzie duży koncert. Ustalamy jeszcze wiele różnych szczegółów – powiedziała. Mieliśmy już falę celebryckich książek i poradników, teraz czeka nas wysyp twórczości filmowo-reporterskiej o fascynującym życiu polskich gwiazd. I znikąd pomocy! ☺

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, w wielu e-mailach i listach pytacie nas: „Redakcjo, co należy myśleć o smogu?” Otóż, kochani, cytując klasyka, sprawa jest arcyboleśnie prosta. Połączmy fakty.

Jak widzicie sami, smog spowił debatę publiczną akurat w czasie rządów pis – w tym przypadku z naszej strony nie ma żadnej manipulacji. Dlatego też to my teraz zapytamy was: czy to na pewno jest smog, czy raczej efekt wyziewów nienawiści, które spowodowały tę duszną atmosferę, w której od pewnego czasu wszyscy żyjemy?

Smog spowił debatę publiczną akurat w czasie rządów pis. Dlatego też pytamy: Czy to na pewno jest smog?

Widzicie sami: dopóki nie odśuniemy pis od władzy, niestety, nie mamy co liczyć na poprawę jakości powietrza.



Przeczytaliśmy na portalu parówkowym artykuł, iż niektórzy mieszkańcy deweloperkich bloków obawiają się sąsiedztwa bloków postawionych w ramach programu „Mieszkanie+”. Bardzo dobrze rozumiemy te lęki.

Otóż łatwo można sobie wyobrazić, iż zamieszka w nich biedota, która być może gdzieś tam pracuje, ale której nie stać na spłacenie kredytu hipotecznego wraz z odsetkami i wniesienia wkładu własnego, która zakupy robi w Biedzie, jada zupełnie gotowaną w domu i co kilka tygodni nawozi słoików od osób płodzących z podkarpacia. Zderzenie się z taką nędzą może być szokujące dla mieszkańców rozmaitych Lemingradów.

Jednak to nie tylko zetknięcia z biedą można się przestraszyć, lecz także tego, iż to logiczne, że skoro bloki buduje rząd pis, to będą w nich mieszkać wyłącznie zwolennicy pis. A oni jak wiadomo: pewnie od razu zbudują sobie na dziedzińcu własnym nakładem karczme, kościół i sklep monopolowy 24/h. W oczywisty sposób wpłynie to negatywnie na urokliwe i starannie zaplanowane nowe osiedla, oszpecając urbanistykę tych terenów i wpływając na ceny mieszkań, a ostatecznie rujnując przestrzeń miejską, do jakiej jesteśmy przyzwyczajeni :(

Ważnych polityków w tym kraju zapytano: Gdzie jest słońko, kiedy śpi?

Jarosław Kaczyński: Kiedy już posprzątam bałagan pozostawiony przez poprzednią ekipę, na pewno odnajdziemy także słońko.

Bronisław Komorowski: Nie wiem, w pałacu go nie było.

Donald Tusk: Zazwyczaj jestem wtedy w swoim brukselskim apartamencie.

Hanna Gronkiewicz-Waltz: Proszę o to pytać moich urzędników.

Paweł Kukiz: Słońko nie należy do państwa, partii i koterii, tylko do obywateli, którzy sami powinni decydować, gdzie chcą mieć słońko.

Janusz Korwin-Mikke: Tylko w socjalistycznym państwie możliwe są pytania o to, jak słońko spędza swój wolny czas.

Beata Szydło: Ja się bardzo cieszę, że padło to pytanie, i zapewniam, że rząd z pewnością będzie nad tą kwestią pilnie pracował.

Mateusz Kijowski: Słońko schowało się zapewne przed prześladowaniami, ale już niedługo razem z nami wyjdzie protestować na ulicę.

Ryszard Petru: Odpowiedź na to pytanie to porywanie się z maczetą na słońce, a my jako opozycja musimy działać rozsądnie.

Adrian Zandberg: Nas nie interesuje, gdzie i z kim sypia słońko, ponieważ nikomu do łóżek nie zaglądamy.

Udało nam się przetrwać kolejne walentynki zaplanowane pod dyktando heteronormatywnej części społeczeństwa. Podczas gdy wiadomo, iż prawdziwa demokracja to taka, gdzie większość ustępuje pola mniejszości, w tym kraju ciągle dominującym motywem walentynkowym był romans pomiędzy osobami nietożsamymi płciowo.

W tej sytuacji, iżby naszemu korpo nadać nieco bardziej postępowy charakter, postanowiliśmy napisać sobie po miłej osobowo-walentynce, pod warunkiem, iż będziemy je kierować do osób genderowo z nami tożsamych. Dlatego też Alex i kolega gej przygotowali kartkę dla Nowego z Tarnowa, na której napisali, że w gruncie rzeczy nawet go lubią i ma fajnego wasa.

Nowy kartkę przyjął, ale później zamknął się w swoim gabinecie, skąd doszedł nas jeszcze głos jakby szafy przesuwanej pod drzwiami, po czym przez cały dzień nie wychodził – nawet na lunch. Cebulak nie potrafił godnie przyjąć nawet takich niewinnych wyrazów sympatii : (☹☹



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

Zmiany, zmiany, zmiany. Pamiętacie, jak po wypadku prezydenta Andrzeja Sebastiana wyleciał z roboty dyrektor w BOR odpowiedzialny za założenie sparciałej opony do limuzyny? Zastąpił go Janusz Loda. I teraz, po wypadku premier Bełaty, z kolei to on właśnie ma polecieć. Cóż za zaskoczenie!

Apropos rządowych limuzyn. Złe języki plotkują, że pan Kaziu, kierowca Krwawego Antoniego, zwanego też ministrem wojny, to pracownik bardzo doświadczony. Tak doświadczony, że zaczynał w PRL jako kierowca generała dywizji Michała Janiszewskiego, członka WRON, szefa gabinetu MON u Jaruzela. Oczywiście: a) nie wierzymy, b) wiemy, że rozpowszechnianie tej plotki oznacza, iż jesteśmy ruską agenturą. Zaraz się sami skujemy. Ale nie kajdankami.

Z tym BOR-em to jest tak, że trwa spór w rządzie premier Bełaty. Minister Błaszczak widzi tę służbę ogromną i chciałby ją reformować przez rozbudowę. Tymczasem Mario CBA-rio Kamiński wolałby wąską elitarną specsłużbę z uprawnieniami takimi jak wywiad i kontrwywiad. W tym kontekście spór o nazwę (Narodowa Służba Ochrony jest nazwą bardzo roboczą) ma znaczenie czwartorzędne.

Przy okazji czytelnicy pytają, jak skończył się anonsowany przez nas spór premier Bełaty z Kaczorem-Dyktatorem na temat prowadzenia polityki zagranicznej. A jak miał się skończyć? Po trzech dniach Bełacie przeszło.

Swoją drogą mamy pewien kłopot z zarzutami pod adresem Dobrego



dwaj panowie **g**

Zmiany. Dostaje bełki albo za zatrudnianie zbyt młodych, albo za przetrzymywanie zbyt starych i skażonych PRL. To kogo właściwie powinna zatrudniać? Zostaje chyba tylko Sławek Nowak.

Skorzystamy z okazji, że w pałacu Andrzeja Sebastiana nikogo nie ma, bo wszyscy rozjechali się na ferie zimowe. Czy to prawda, że prace nad nową superfajną i superfunkcjonalną stroną internetową trwają już 10 miesięcy, ale końca nie widać? Aha, jeszcze jedno: Czy to prawda, że projekt graficzny kosztował 40 tysiąków, a na resztę pójdzie 160 tysiąków? Tak tylko pytamy.

Jeszcze o pałacu Andrzeja Sebastiana. Stali czytelnicy pamiętają doniesienia o niełascie, w jaką popadł Adam Kwiatkowski. Miała się ona skończyć dymisją ze stanowiska szefa Kancelarii Prezydenta RP. Ale się nie zakończy. Tak przynajmniej mówią wiewiórki podziwiające mocną głowę obu stron podczas długiego nocnego spotkania, na którym wyjaśniano sobie wzajemne pretensje i padano w ramiona.

Ohydne plotki sugerowały, że miejsce Adama Kwiatkowskiego miał zająć Krzysiek Szczerski, dodając nową posadę do dotychczasowych obowiązków. Na razie

jednak Krzysiek zajmuje się ciekawszą rzeczą – przygotowuje wizytę pary prezydenckiej w Meksyku. Przygotowuje solidnie, bo zaplanował ją na dziewięć dni. Będzie to najlepiej zaplanowana wizyta w historii Meksyku. A Krzysiek – najbardziej opalonym urzędnikiem w historii kancelarii.

Apropos Meksyku. Pamiętając, jak to było z pewnym innym przywódcą, tylko że w Peru, błagamy osobę głowy państwa, by podczas wizyty nie wkładała na głowę sombrero i nic nie mówiła o podróży życia. W sombrero wygląda się równie idiotycznie jak w chullo, czyli peruwiańskiej czapeczce, w której paradował swego czasu obecny prezydent Europy. Na szczęście Medal Honoru Belisario Domíngueza, będący najwyższym odznaczeniem w Meksyku, ma o wiele lepszą nazwę niż Słońce Peru.

Tymczasem w prasie. Jeden z tabloidów opublikował fotoreportaż z życia Ojca Mateusza, znanego jako Wielki Kuc Kijowski. Najbardziej zaintrygował nas fakt, że wszędzie po domu walają się opakowania po piwie Argus. Dla niewtajemniczonych – to marka jednego z dyskontów, a dokładnie Lidla. Cała prawda o KOD – pieniądze z polskiej zbiórki na piwko z niemieckiego dyskontu.

Uwaga! PiS deportuje najbardziej znanego polskiego muzułmanina do Kazachstanu. Nie, to nie jest tytuł z „Wyborczej”. To prawda. Otóż niedoszły poseł kaczystów, Selim Chazbijewicz, zostanie wysłany do Kazachstanu. Uspokójmy jednak Czerską. Nie będzie wieziony kibitką. W ambasadorię idzie.

Żli ludzie objaśniają, dlaczego nowa posłanka nie zasiła w Sejmie

klubu kukistów. Chodzi o Małgorzatę Janowską, która przejęła mandat po Rafale Wójcikowskim (zginął w wypadku). Otóż pani Małgorzata z wierzchu niby kukistyczna, wewnątrz cierpi na odchylenie morawieckie. W związku z tym, jeśli miałaby już coś zasilić, to koło Wolni i Solidarni stworzone przez Kornela.

Koledzy od kukistów skarżą się na Małgorzatę. – Przez dwa tygodnie siedziała z nami w ławach, wszystko jej pokazaliśmy, uczyliśmy Sejmu. A ona co? – płyną słowa pełne żalu. Pani Małgorzata wie, co robi. Biorąc pod uwagę wpływy Mateusza, syna Kornela, czasowa niezależność może być bardzo obiecująca.

Porównania. Łatwiej dzięki nim zrozumieć świat. Ćwiczenie – porównaj trzy zdania: „Ludożerca mówi: »Pożeranie ludzi jest odrażające«, „Cudzołożnik mówi: »Nie wyobrażam sobie seksu z cudzą żoną«, „Schetyna mówi: »Arogancja władzy jest dziś ogromna“.

Kościelne wiewiórki są rozgoryczone. Ale i chichoczą. Chodzi o sprawę przejęcia krakowskiego tronu przez abp. Marka Jędraszewskiego. Pamiętacie, jak informowaliśmy, że następcą kard. Dziwisza zostanie abp Gądecki? Wiewiórki zaklinają się, że taki właśnie był plan, ale pewien sędziwi dostojnik watykański znany ze współpracy z JP II pomylił poznańskiego pasterza Gądeckiego z byłym poznańskim wicepasterzem Jędraszewskim. Stąd ambaras, z którym nikt nie wie, co zrobić. Oczywiście nie wierzymy. Tzn. w plotki, bo tak ogólnie to jesteśmy wierzący.

Skarżył się nam ostatnio poseł peezelu Marek Sawicki, że taki z niego stary rolnik, a nie rozumie, o co chodzi z tą pogodą – u niego rano we wsi Sawice tylko minus dwa, a godzinę później w Warszawie minus dziesięć. Wyjaśniamy: to wszystko przez PiS. Minister Błaszczak kazał utrzymywać w stolicy temperaturę nisko, żeby się KOD-uchom nie chciało demonstrować. I wiecie co? To działa.

Jak żyć w czasach PiS” – pyta „Lisweek”. Odpowiadamy: nie wydłuzać VAT, nie kraść pendrajwów z marketów, nie zapominać o włączaniu kierunkowskazów podczas skrętu w lewo, nie podrabiać dokumentów własności warszawskich działek. Takie tam. Zwyczajny totalitaryzm.

Apropos kradzieży tych pendrajwów i innych drobiazgów. To wszystko przez Ziobrę. Przecież to on wpadł na pomysł, żeby obniżyć pensje sędziom. No i biedakom nie starcza: temu na pendrajw, temu na wiertarkę, tamtemu na spodnie.

Wszystkie te wypadki nie wpływają na naszą opinię o wymiarze sprawiedliwości. Jest ona stała. Po prostu i tak nigdy nie zostawialiśmy podczas spotkań z sędziami żadnych niepilnowanych pendrajwów. Nie wspominając o spodniach.

Zżycia Korwina-Krula. Nasz antyeuropejski europoseł to cwana gapa. I dobry człowiek. Kiedy odkrył, że w europarlamencie pracownikom należą się finansowe dodatki na każde posiadane dziecko, zatrudnił asystentkę, która ma ich 12. Odeszła z końcem 2016 r. Teraz Krul ma nowego asystenta – a on ma dzieci. Dwanaścioro. Skąd Korwin ich bierze, do cholery? ©©

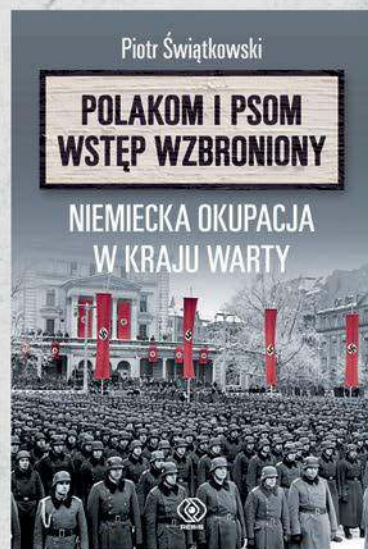


DO NABYCIA
W SALONACH
empik

**ODKRYJ PRZEJMUJĄCĄ
STRONĘ HISTORII**



Poruszające wspomnienia
z syberyjskiego zesłania.
Podróż po 70 latach na miejsce zsyłki



Historia Kraju Warty opisana bez
sentymentów, w piekielnie mocny sposób



www.rebis.com.pl



/DWREBIS



BOR-ze, chroń VIP-a



Wojciech Wybranowski

Braki kadrowe, brak szkoleń i niedostosowanie ich do bieżących zagrożeń, bagatelizowanie wpadek, nepotyzm, nieudolność i sprowadzanie funkcjonariuszy BOR do roli kamerdynerów. Tak za czasów PO-PSL zniszczono służbę mającą chronić najważniejsze osoby w państwie

Wypadek, w którym przed ponad tygodniem poszkodowana została premier Beata Szydło, stał się już przedmiotem politycznej gry. Opozycja oskarża członków rządu o „szarżowanie na drodze”, obrywa się funkcjonariuszom BOR, politycy Platformy i Nowoczesnej próbują też kreować kierowcę seicento na „męczennika”, organizując konferencje prasowe w tej sprawie i mieszając młodego człowieka do swojej politycznej wojny. Platforma chce, by do dymisji podał się Mariusz Błaszczak, szef MSWiA.

– W BOR panuje chaos spowodowany działaniami ministra Mariusza Błaszczaka i wiceministra Jarosława Zielińskiego, którzy doprowadzili do czystki kadrowej, zarzucał poseł Marek Wójcik (PO).

W medialnej burzy i politycznej awanturze na dalszy plan zeszła inna, niezwykle ważna kwestia: poziom

wyszkolenia i przygotowania funkcjonariuszy BOR.

Tymczasem, jak wynika m.in. z audytu, który w ubiegłym roku przeprowadzono w Biurze Ochrony Rządu (dokument ma klauzulę poufności; część z jego ustaleń przekazano członkom sejmowych komisji), a także z informacji samych funkcjonariuszy BOR w ciągu ośmiu lat rządów PO-PSL niemal całkowicie zaniedbano inwestycje w szkolenia i wyposażenie funkcjonariuszy BOR, nie modernizowano programu szkoleń, nie przeprowadzono weryfikacji funkcjonariuszy. W samej służbie panowały nepotyzm i biurokracja. Efekt – liczne wpadki i porażki funkcjonariuszy BOR.

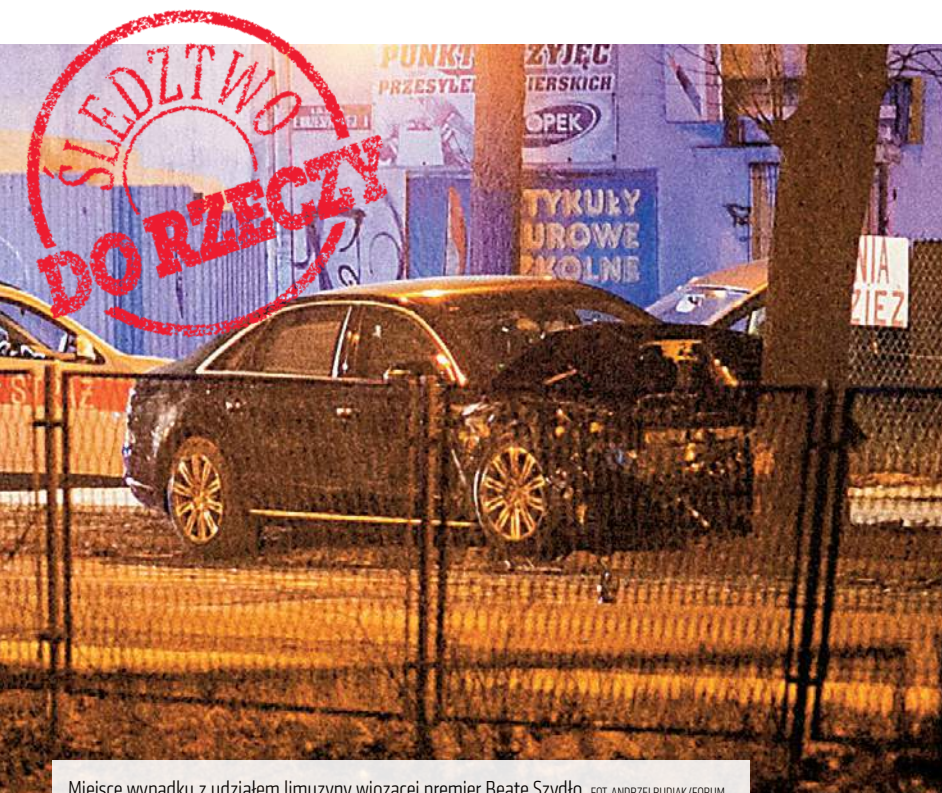
Restauracja Sowa i Przyjaciele. Wspólna kolacja Marka Belki, szefa NBP, i Bartłomieja Sienkiewicza, ówczesnego szefa MSW. W pewnym momencie rozmowa schodzi na problem z „ochroniarzami po-

lityków”. Sienkiewicz się żali, że BOR „boryka się z poważnymi problemami”, a on sam nie może sobie pozwolić na głębokie reformy „w służbie, od której dyskrekcji zależy parę istotnych kwestii w tym kraju”. Tłumaczy, że przed wyborami „byłby to po prostu rodzaj samobójstwa”.

– Wszyscy, którzy pracują w BOR, mają syndrom sztokholmski. Niech to pozostanie między nami, ale odebrałem 15 telefonów od najważniejszych ludzi w tym kraju, żebym, broń Boże, nie robił krzywdy BOR-owcom, więc mam wykłębione ręce – mówił ówczesny szef MSW w zarejestrowanym nagraniu, które przed dwoma laty ujawnił tygodnik „Wprost”.

BRAKOWAŁO LUDZI I SZKOLEŃ

Przeprowadzony w ubiegłym roku, już po zmianie władzy, audyt w BOR wykazał, że wśród najpoważniejszych problemów są braki kadrowe i wyszkolenie funkcjonariuszy. Dlaczego? Na 2,2 tys. funkcjonariuszy, którzy powinni znajdować się w służbie czynnej BOR, było niespełna 1,8 tys. Wakaty dotyczyły prawie 400 etatów. Aby rozdzielić zadania, które muszą obsłużyć funkcjonariusze BOR, potrzeba ich co najmniej 20 proc. więcej. Według ludzi z BOR w latach 2014–2015 ówczesne kierownictwo tej formacji sygnalizowało problem członkom rządu. Został zbagatelizowany. Minister Teresa



Miejsce wypadku z udziałem limuzyny wiozącej premier Beatę Szydło. FOT. ANDRZEJ RUDIAK/FORUM

Piotrowska, ówczesna szefowa MSWiA, zablokowała środki na uzupełnienia kadrowe w BOR. W 2015 r. nie przyjęto nowych funkcjonariuszy, rok wcześniej zatrudniono nieco ponad 100.

Braki w przygotowaniu BOR w minionych latach wychodziły na jaw kilkakrotnie. W 2011 r. media ujawniły raport MSWiA, z którego wynikało, że 54 proc. funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu miało ocenę niedostateczną ze strzelania lub wyszkolenia taktyczno-obronnego. Okazało się, że w formacji brakowało instruktorów, którzy mogliby przeprowadzić odpowiednie szkolenia. Dopiero wówczas zorganizowano dodatkowe kursy.

– Akcję powtórzono raz czy dwa, później wszystko wróciło do „normy”. Czyli podejścia, że jakoś to będzie – mówi nam jeden z byłych funkcjonariuszy Biura.

A nasi rozmówcy mówią też, że podobnie było ze szkoleniami dotyczącymi ochrony VIP-ów podczas transportu i zabezpieczania kolumn, w których poruszały się VIP-y.

– To jest kwestia systemowa. Liczba wakatów w BOR wskazuje, że ta instytucja ma poważne braki kadrowe. Funkcjonariusze nie mają gdzie i kiedy się szkolić, również w tej jednej z najważniejszych spraw, czyli jeździe w kolumnie. To wina polityków, którzy

zrobili sobie z funkcjonariuszy BOR kamerdynerów – uważa Michał Majewski, dziennikarz śledczy i autor książki „Biuro. Ochroniarze władzy. Za kulisami akcji BOR-u”.

Efekt? Tylko w 2013 r. doszło do 23 kolizji z udziałem samochodów BOR, w 2014 r. było ich 26, z kolei w 2015 r. – 24. Opinia publiczna dowiedziała się jedynie o niektórych z nich.

Do jednego z najpoważniejszych wypadków doszło w 2008 r., krótko po przejęciu władzy przez PO. Szefem MSWiA i osobą odpowiedzialną za nadzór nad BOR był wówczas Grzegorz Schetyna. W marcu 2008 r. na trasie Olsztynek – Jedwabno limuzyna BOR zderzyła się czołowo z renault trafic. W wypadku zginęły dwie osoby: kierowca BOR i pasażer – osobisty ochroniarz gen. Jaruzelskiego. Kontrola wszczęta po wypadku wykazała, że auto w tym czasie miało się znajdować w zupełnie innym miejscu Polski. Głośno było również o stłuczce, którą w 2010 r. spowodował funkcjonariusz BOR, na co dzień wożący szefa MSZ Radosława Sikorskiego. Po odwiezieniu polityka do siedziby MSZ BOR-owiec wymusił pierwszeństwo i zderzył się z policyjnym radiowozem. Kilku policjantów zostało rannych, w tym jeden ciężko. Rok później auto prowadzone przez funkcjonariusza BOR dachowo

wało na trasie pod Gdańskiem. Wcześniej funkcjonariusze odwieźli do domu premiera Donalda Tuska. W czerwcu 2012 r. dwóch funkcjonariuszy BOR mających strzec posiadłości Bronisława Komorowskiego w okolicy Budy Ruskiej po pijanemu rozbiło samochód. Dwa lata później mercedes BOR, w którym jechał Bronisław Komorowski, zderzył się z autem osobowym. Ranne zostało dziecko.

ZA GRANICĄ SAME BRAKI

Braki były nie tylko w szkoleniach, lecz także w procedurach i formalnych uregulowaniach – również międzypaństwowych. W tych sprawach także wiele kwestii funkcjonowało na zasadzie „jakoś to będzie”.

– Mieliśmy niedawno posiedzenie komisji sejmowej, na którym zajmowaliśmy się kwestią ewakuacji polskich obywateli w sytuacji zagrożeń. Rozpatrywaliśmy to z punktu widzenia formacji BOR. I co się okazało? Że brakuje uregulowań prawnych, że częste są sytuacje, gdy obce państwo, na którego terenie przebywa polski premier czy prezydent, nie czuje się zobligowane do zapewnienia mu ochrony i musi to robić, na obcym terenie, BOR własnymi siłami, nie mając odpowiednich umocowań – opowiada nam poseł Marek Opiola (PiS).

Na przełomie lat 2007 i 2008 wśród funkcjonariuszy BOR obsługujących placówki i misje zagraniczne doszło do „cichego buntu”. Okazało się, że dla BOR-owców zabezpieczających placówki dyplomatyczne w krajach zagrożonych zamachami terrorystycznymi brakuje odpowiedniego sprzętu. Dopiero po awanturze, która odbiła się głośnym echem w mediach, i groźbie wycofania funkcjonariuszy BOR z zabezpieczenia m.in. ambasady w Iraku, znalazły się pieniądze na zakup części niezbędnego wyposażenia. Jednak poprawa była tylko chwilowa.

W 2012 r. „Nasz Dziennik”, opierając się na informacjach samych funkcjonariuszy, informował, że szefostwo BOR nie radzi sobie z nadzorem nad realizacją zadań ochronnych w placówkach zagranicznych o podwyższonym stopniu ryzyka. Gazeta opisała m.in. przypadek służącego w Kabulu oficera, u którego zdiagnozowano ciężką zakrzepicę żył, podobny przypadek miał mieć miejsce wcześniej w Pakistanie. Gazeta opisywała przypadki braku nadzoru skażonej

■ wody i przestarzałej żywności, która trafiała do funkcjonariuszy. Sprawę szybko wyciszono.

– Problemem BOR były iluzoryczny nadzór, postępujące rozprężenie, brak odpowiednich inwestycji w szkolenia, wyposażenie, stopniowe deprecjonowanie tej formacji i jej rangi. Niestety, nawet katastrofa smoleńska nie spowodowała otrzeźwienia – podkreśla w rozmowie z „Do Rzeczy” poseł Jerzy Polaczek (PiS), wiceprzewodniczący Komisji Administracji i Spraw Wewnętrznych.

PREZYDENCI ŹLE CHRONIENI

Zaniedbania, do których doszło w BOR w minionych latach, przyczyniły się do tragedii. 10 kwietnia 2010 r. w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem zginęli prezydent Lech Kaczyński wraz z pierwszą damą i członkowie polskiej delegacji. Uchybienia były poważne: przełożeni BOR świadomie odstąpili od rozpoznania przez funkcjonariuszy lotniska w Smoleńsku, nie sprawdzili tras przejazdu, nie zabezpieczyli miejsca lądowania, nie zadbali o należyte wyznaczenie grupy rekonesansowej, zaniedbano pozyskanie wszystkich informacji niezbędnych do zabezpieczenia wizyty prezydenta. W ubiegłym roku Sąd Okręgowy w Warszawie za zaniedbania skazał Pawła Bielawnego, ówczesnego wiceszefa BOR, na półtora roku więzienia w zawieszeniu na pięć lat. Bielawny, który złożył apelację, jest na razie jedyną osobą skazaną – nieprawomocnie – za katastrofalne błędy w Smoleńsku.

Trzy lata później w ukraińskim Łucku funkcjonariusze BOR dopuścili do ataku na prezydenta Bronisława Komorowskiego uczestniczącego w obchodach 70. rocznicy rzezi wołyńskiej. Wychodzący z katedry Komorowski został uderzony jajkiem przez młodego Ukraińca. Funkcjonariusze BOR zareagowali dopiero po ataku. Oficjalnie została wszczęta kontrola, uznano, że potrzebne są zmiany w systemie szkoleń, ale nikt z przełożonych „borowików” poważniejszych konsekwencji nie poniósł. Według naszych informatorów nie dostosowano też programu szkoleń do zmieniających się wyzwań i zagrożeń terrorystycznych. Sygnałem do lekceważenia sprawy stała się reakcja samego Komorowskiego, który wziął w obronę swoich zaufanych „przybocznych”.

– To była najmniejsza z wpadek ochrony, jaką można sobie wyobrazić, i to

na gościnnych występach, gdzie się nie jest gospodarzem – bagatelizował były prezydent.

Jak wpadki BOR wpłynęły w minionych latach na zwiększenie nadzoru nad BOR, uruchomienie programu profesjonalizacji służby? W latach 2007–2015 nijak. Wśród byłych i obecnych funkcjonariuszy BOR do dziś opowiada się kompromitującą historię związaną z zabezpieczeniem szczytu G6 w Krakowie (w lutym 2014 r.), kiedy to do chronionego przez BOR hotelu zamieszkanego przez zagranicznych gości (ministrowie spraw wewnętrznych państw Unii Europejskiej i prokurator generalny USA) wprowadzili się funkcjonariusze CBŚ ochraniający – ale prywatnie – świadka w sprawie dotyczącej zorganizowanej przestępczości. BOR-owcy nie sprawdzili, że policjanci są tam prywatnie i pozwolili im na zajęcie pokoiów w „strefie bezpieczeństwa”.

KAMERDYNERY WŁADZY?

Lech Parell, były prezes Radia Gdańsk za rządów PO, na swoim profilu facebookowym opisał ostatnio zdarzenie, którego był świadkiem: „À propos tego, jak władza jeździ: w 2012 albo 2013 r. przyjechał do Radia Gdańsk na wywiad

Pierwsze zmiany zaczęto wprowadzać w 2016 r., gdy Biuro Ochrony Rządu zostało objęte programem modernizacji służby

ówczesny premier Donald Tusk. Przyjechał do domu w Sopocie, sam kierując autem (toyota avensis). Odprowadzając go po wywiadzie, byłem świadkiem następującej rozmowy z oficerem BOR (oni jechali osobnym autem, bmw serii 5). Oficer: panie premierze, czy mogę zapytać, dokąd pan zamierza teraz jechać? Tusk: do Michała. Oficer: to my będziemy jechać za panem. Tusk: róbcie, jak uważacie. I odjechali. Bez kogutów”.

Gdy przytaczamy tę opowieść jednemu z byłych już funkcjonariuszy BOR, ten kręci głową.

– Zbyt często tak to wyglądało, nienormalne było normalne, politycy traktowali nas lekceważąco „z buta”. Premier Tusk w ten sposób utrudnił funkcjonariuszom

szowi zabezpieczenie. Niestety, takie ostentacyjne lekceważenie naszej pracy przez polityków było częste – mówi nasz rozmówca.

Michał Majewski w swojej książce opisuje m.in. opowiedzianą mu przez funkcjonariusza BOR historię podróży z Zielonej Góry do Poznania jednego z byłych wicepremierów. Polityk w Lubuskiem spotkał się z miejscowymi samorządowcami, impreza się rozkręciła, o 12.30 wicepremier świetnie się bawił, nie przejmując się ponagleniami funkcjonariusza, choć o 14 miał w Poznaniu się spotkać z zagraniczną delegacją. Ostatecznie z Zielonej Góry samochód z politykiem wyjechał o 13.15 po niespełna godzinie dotarł do stolicy Wielkopolski, choć trasę tę pokonuje się w ok. półtorej godziny. „Potem rozmawialiśmy o tym z asystentem wicepremiera, że to nie może tak wyglądać. Ale zrozumienia nie było. »Po to macie bomby, żeby na nich jeździć« – usłyszeliśmy” – wspominał funkcjonariusz w rozmowie z dziennikarzem.

– Częste było bezsensowne budowanie kalendarzy wizyt polityków bez konsultacji z BOR-owcami, nieuwzględnianie wskazówek tych, którzy za ochronę odpowiadali, bez brania pod uwagę tego, jak powinna funkcjonować należąta ochrona – uważa Majewski.

ZMIANY W SŁUŻBIE

Po wypadku w Oświęcimiu kierownictwo MSWiA zapowiada daleko idące zmiany w sposobie organizacji i funkcjonowania Biura Ochrony Rządu, które otrzyma też nową nazwę. Służba, która powstanie na bazie dzisiejszego BOR, ma dostać też nowe kompetencje, w tym prawo do prowadzenia czynności operacyjno-rozpoznawczych. Ma zostać zwiększona flota samochodów – o 90 pojazdów i liczba zatrudnionych funkcjonariuszy – ta wzrosnąć ma o co najmniej 300 osób. Pierwsze zmiany w sposobie funkcjonowania tej służby zaczęto wprowadzać w 2016 r., gdy Biuro Ochrony Rządu zostało objęte programem modernizacji służby. Zgodnie z nim w latach 2017–2020 na inwestycje w BOR, m.in. unowocześnienie bazy szkoleniowej, na odpowiadający obecnym wymaganiom sprzęt detekcyjny przeznaczono ponad 25 mln zł, ma zostać zakupione także osobiste wyposażenie dla funkcjonariuszy, m.in. kamizelki kuloodporne i hełmy – na ten cel zaplanowano ok. 16,4 mln zł.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Polityka czystej nienawiści



FOT. FOTOLIA, UPRAĆ, GAE, JAK



Rafał A. Ziemkiewicz

Po wypadku z udziałem premier Beaty Szydło znów wylała się fala hejtu. Nie tylko anonimowych internatów, lecz także autorytetów „opozycji totalnej”

Podobnie jak po stłuczce samochodu Antoniego Macierewicza czy pęknięciu opony w limuzynie prezydenta wypadek stał się pretekstem do fali nienawistnych komentarzy na internetowych forach „opozycji totalnej”. „Szkoda, że przeżyła”, „Czekam, aż oni wszyscy się porozp...” i prymitywne obelgi powtarzały się niemal w każdym poście na portalach „Gazety Wyborczej” czy „Newsweeka” – tym razem, w przeciwieństwie do sytuacji, gdy obiektem hejtu stawiali się np. imigranci, bez jakiegokolwiek reakcji moderatorów.

Agresji i nienawiści skrywających swą tożsamość zwolenników „opozycji totalnej” tym razem towarzyszyły już zupełnie jawnie do niej podjudzające reakcje opozycyjnych „autorytetów”. Joanna Senyszyn skorzystała z okazji, by zakpić sobie, że „zawiodła opieka Matki Boskiej”, Róża Thun zaproponowała szampańsko, by na feralnym drzewie zawiesić kapliczkę i obchodzić pod nim uroczyste „tygodnice” wypadku. Najczęściej eksploatowanym wątkiem szydery były kpiny z tragedii w Smoleńsku. Komentarze Pawła Wrońskiego z „Gazety Wyborczej”, Radosława Sikorskiego czy Jarosława Kuźniara w „dowcipnej” formie starały się przedstawić wypadek jako dowód, że tragedia z roku 2010 „też” była efektem nieudolności PiS, a przy okazji raz jeszcze poniżyć jej ofiary. Magdalena Środa dodała do tego sugestie, że PiS w jakiś straszny sposób traktuje kierowcę seicento, którego nieprawidłowa jazda spowodowała wypadek, szydząc, że „przyzna się i do spowodowania katastrofy w Smoleńsku, i do przebicia opony w aucie prezydenta”. A Dominika Wielowieyska potępiła premier Szydło za to, że nie zadzwoniła do matki „chłopaka” (gdyby to zrobiła, Wielowieyska zapewne potępiłaby ją za zastraszanie jego rodziny). 21-latek z seicento w antypisowskich mediach stał się

bowiem „chłopakiem”, co jest na swój sposób logiczne, zważywszy, że w ich narracji Wałęsa jeszcze w wieku 27 lat był zahukanym chłopcem, któremu nie można mieć za złe, że „dał się zastraszyć i coś podpisał”.

„CHŁOPAK” I SIEROTY

Satysfakcji z faktu, że premier stała się krzywdą, i żalu, że tak mała, nie ukrywali „obywatele RP”, którzy tradycyjnie pojawili się na Krakowskim Przedmieściu, by zakłócić „miesięcznicę smoleńską”. Gdy Jarosław Kaczyński życzył Beacie Szydło szybkiego powrotu do zdrowia, ich obelżywe poryki szczególnie się nasiliły.

Wszystkie te głosy, tak jak wiele innych, jeśli nawet pojawiają się spontanicznie, to w oczywisty sposób składają się na zupełnie świadomie przyjętą strategię „totalnej opozycji”. Jak to otwarcie wezwał w audycji wspomnianej już Wielowieyskiej Waldemar Kuczyński, niegdyś doradca premiera Mazowieckiego, dziś określający PiS mianem „sektę świętego wraka”, „sprawa wypadku musi być rozegrana przeciwko PiS bezwzględnie, do końca”.

„Opozycja totalna” już nawet nie próbuje odnosić się merytorycznie do rządowych projektów. Całą energię kieruje w PR-owskie kampanie

Politycy PO nie potrzebowali zresztą tej rady. Nie mając jeszcze żadnej wiedzy o przebiegu i przyczynach wypadku, urządzili konferencję prasową, na której zapowiedzieli, że udzielą przesładowanemu przez prokuraturę sprawcy wypadku pomocy prawnej. Chociaż to premier oraz jej ochrona byli w wypadku poszkodowanymi, to sprawa przedstawiana jest tak, by 21-latek, w mediach znanego tylko pod imieniem Sebastian, przedstawić jako ofiarę bezwzględnej premier oraz rządowego aparatu przemocy. Opozycja nie przyjęła do wiadomości żadnych faktów, bez konkretnych ku temu przesłanek założyła, że kierowca był zmuszany do przyznania się do winy (we wspomnianej audycji Dominiki Wielowieyskiej w Radiu TOK FM padło nawet stwierdzenie, że „mógł być torturowany”). Stacja TVN24, która

kiedyś twierdziła, że dotarła do zapisów kłótni kpt. Protasiuka z gen. Błasiakiem przed odlotem tupolewa, dosłuchiwała się na taśmie z czarnych skrzynki słów „jak nie wyląduję, to mnie zabije” czy „zmieścisz się”, dzień po dniu ogłaszała dowody nieprawidłowości po stronie rządowej, nie martwiąc się nawet tym, że antyrządowe sensacje ogłaszane dzisiaj są sprzeczne z tymi z wczoraj. Kampanii współczucia i obrony „21-letniego Sebastiana” dopełniła przy tym „społeczna” akcja zbierania dla niego pieniędzy na nowy samochód – zapewne równie spontaniczna jak żarty „Soku z buraka”.

Dyrygenci propagandy „opozycji totalnej” muszą doprawdy przeklinać funkcjonariusza BOR, który prowadził samochód premier Szydło. Szczęście było tak blisko! Gdyby tylko zamiast omijać seicento, kierowca zdecydował się rozjechać auto, które nagle pojawiło się na drodze rządowej kolumny... Jakże wspaniałą histerię dałoby się urządzić w obronie „chłopaka” (jak obowiązkowo nazywają 21-letniego kierowcę media III RP) skrzywdzonego przez rozbijającą się po kraju premier, gdyby w wypadku to on odniósł jakiejkolwiek obrażenia, bodaj zadrapanie! Jednak i tak zachowują się, jakby to on właśnie został „rozjechany”, gdy w najzupełniejszej zgodzie z przepisami jechał sobie do (albo od) ukochanej dziewczyny.

Mówiąc krótko – wypaliła się operacja „Sieroty z Aleppo”, zaczęła się akcja „Solidarni z Sebastianem”. Trudno się nie zastanawiać, jaką z kolei histerię urządzi „opozycja totalna” za tydzień. Może np. trafi się jej szczęśliwie jakieś samobójstwo nastolatka i można będzie ogłosić, że zamordowała go swoją reformą minister Zalewska?

BEZSENNI PRZES PIS

W każdym razie „opozycja totalna” najwyraźniej zupełnie zrezygnowała z normalnych politycznych działań. Już nawet nie próbuje odnosić się merytorycznie do rządowych projektów, nie próbuje pokazywać żadnych alternatyw – całą energię i aktywność kieruje w PR-owskie kampanie, mające utwardzić jej wizerunek nieprzejednanych wrogów „reżimu”.

W grupie docelowej, do której się zwraca, na pewno będzie to przynosić zamierzony skutek. Zbudowany w ostatnim roku i umacniany nieustannie

wizerunek kraju pod PiS-owską okupacją, w którym „nigdy jeszcze nie było tak źle”, nawet za czasów Hitlera i Stalina, ma swoich wyznawców żyjących w nieustannym, histerycznym spazmie.

„Nigdy nie czułam nienawiści, a teraz czuję ją codziennie, gdy wsiadam do samochodu, włączam TOK FM i słucham o kolejnych posunięciach rządu” – zwierza się jedna z bohaterek ubiegłotygodniowego „coveru” „Newsweeka”. Artykuł ten zdobył ogromną popularność w prawicowym Internecie i ogromną liczbę cytowań – głównie w celu tzw. beki. Trudno się temu dziwić, bo przedstawiane portrety ludzi, którzy szukają sposobu, by „przeżyć w państwie PiS”, są rzeczywiście nieodparcie śmieszne, choć – jeśli istotnie opisy te dotyczą realnie istniejących osób – należałoby raczej współczuć i starać się o zapewnienie im fachowej opieki psychiatrycznej.

„Nieszczęśliwi, zrozpaczeni i przestraszeni nową władzą... cierpią na bezsenność, mają ataki panicznego lęku, przeżywają załamania nerwowe...” – autorowi tych słów, jednemu z najbardziej jadowitych propagandystów odsuniętego od władzy układu, nie przychodzi oczywiście do głowy, że to medialna agitacja jego środowiska namieszała nieszczęsnym ludziom w głowach. Przeciwnie, opisywane przypadki wyraźnie mają być wzorcami pozytywnymi. Jedna pani nie może spać, bo „w nocy budzi ją bezmiar podłości PiS”; raz obejrzała w telewizji program Wildsteina i „zrobiło jej się niedobrze”. Inna „jest stale przygnębiona, częściej choruje”, jeszcze inna walczy, niczym Lucuś z opowiadania Mrożka, wypisując antypisowskie hasła na kartonach i ustawiając je w widocznych miejscach w śmietniku. „Newsweek” nie cieszy się reputacją gazety rzetelnej w swych „reportażach”, ale nie jest to jedyne źródło wiedzy o tym, co się dzieje w umysłach zajadłych zwolenników III RP. Opisane aberracje przypominają bardzo reportaż o ludziach, którzy przybyli na założycielskie zebranie KOD, np. o pani, która codziennie budzi się wczesnym rankiem i zanim zrobi cokolwiek innego, sprawdza na Facebooku, czy wszyscy jej znajomi nadal są w domach, czy nikogo w nocy nie aresztowano. A wszystko, co się w tych publikacjach zawiera, doskonale przecież potwierdza opinię prof. Łukasza Świąćckiego, który na naszych łamach diagnozował zachowania działaczy KOD jako przejaw „obłędu

du udzielonego” – co z jakiegoś powodu spotykało się wówczas z protestami mediów, dziś na obłędzie tym otwarcie już żerujących i krzewiących go.

Charakterystyczne jest, że maniacy podawani jako wzór przez „Newsweek” i „Wyborczą” nie są w stanie podać żadnej konkretnej przyczyny swej nienawiści do PiS ani ocen, że jest gorzej niż za Stalina. Mówią o swoim strachu, racjonalizując go ogólnikami: „nie mogę znieść, że tak nienawidzą kobiet”, „nienawidzę ich buty i pogardy” etc. Im samym też nie dzieje się nic złego – nikt nie stracił pracy ani nie doznał jakichś represji, nawet nikogo takiego nie zna. Tylko jedna pani cierpi, nie mogąc, dopóki rządzi PiS, remontować domu, ale to nie niemożność obiektywna, tylko jej własne urojenie.

Maniacy podawani jako wzór przez „Newsweek” i „Wyborczą” nie są w stanie podać konkretnej przyczyny swej nienawiści do PiS

Brak jakichkolwiek konkretów i posługiwanie się ogólnikami to charakterystyczna cecha „obłędu udzielonego”. Wyznawcy KOD mówią o „niszczeniu”, względnie o „rozmontowywaniu demokracji” lub ogólnie: „to, co się wokół nas dzieje”. W ich kręgu zło PiS jest aksjomatem i nikt nikomu nie musi niczego tłumaczyć. Słowem kluczem jest też „wkurw” – wściekłość, nienawiść: „Jak mi koleżanka mówi: mamy najlepszego prezydenta, wreszcie się nie musimy wstydić, to wszystko we mnie wrzeszczy... Więc w ogóle wolę nie rozmawiać”. W istocie o to przecież dyrygentom tej medialnopolitycznej orkiestry chodzi – aby ludzie schwytani w jej zasięg nie rozmawiali, nie kontaktowali się z niczym, co mogłoby pielegnowany w nich „wkurw” osłabić.

Portal Koduj24.pl, oficjalna trybuna ruchu Mateusza Kijowskiego, znajduje kolejny uświęcający „wkurw” autorytet w osobie Macieja Maleńczuka. Ten w udzielonym portalowi wywiadzie nie przebiera w słowach: gdy widzi PiS-owców, to mu się chce wymiotować, nienawidzi ich, warto było blokować Jarosławowi Kaczyńskiemu dostęp do

grobu brata, żeby mu naubliżać. Maleńczuk wyznał kiedyś z rozbrajającą otwartością, że każdemu mówi to, co jego zdaniem chce usłyszeć – pismu konserwatywnemu powie, że brzydzi się pedałami, lewicowemu – że kocha gejów albo nawet że sam jest gejem, a generalnie wszystko to go „wali”, chce być tylko popularny. Rzecz więc nie w tym, co powiedział, ale w tym, że zyskało to oficjalną sankcję trybuny KOD. Zresztą jego wypowiedź doskonale zgrała się w czasie z występowaniem u Moniki Olejnik Jerzego Stuhra mówiącego, że boi się słowa „naród” i „mściwości” w oczach Jarosława Kaczyńskiego. Nic dziwnego, że w takiej atmosferze celem wściekłego ataku stał się satyryczny serial „Ucho Prezesa”, skrytykowany m.in. przez Stefana Niesiołowskiego za to, że „ociepla wizerunek dyktatora”.

Nienawidzimy ich, bo gdy widzimy ich mordercy, to nas skręca – to dowód, że nasz „wkurw” jest słuszny i godny szacunku. Boimy się – to dowód, że są powody do strachu. Zapominany powoli rockman dobrze odgadł, co chcą od niego usłyszeć rozmówcy z KOD.

TYLKO NIENAWIŚĆ

„Opozycja totalna” przestaje mieć jakiegokolwiek polityczny program. Na dziś jedynym jej programem są czysta nienawiść i histeria. Szczytem politycznego planu – ogłosić z satysfakcją, że zaatakowany PiS-owiec „musiał czmychać pod osłoną policji”, „miał przestraszoną minę” albo że udało się opluć limuzynę prezydenta.

Człowiek, który przypadkiem stał się przyczyną poturbowania zniechęconej premier, dostanie w nagrodę nowy samochód i renomowanych adwokatów, by zapewnili mu bezkarność. Gdyby zrobił premier krzywdę celowo, zwolennicy PO, Nowoczesnej i KOD zapewne zebraliby dla niego pieniądze na medal ze szczerego złota. Nad III RP, konającą w męczarniach „obłędu udzielonego”, unosi się coraz wyraźniej duch Eligiusza Niewiadomskiego. Codziennie przyzywają go „autorytety” i dziesiątki ogarniętych szaleństwem ofiar propagandy, które „walczą o demokrację” wypisywaniem nienawistnych plugawstw na antypisowskich portalach. Przypadek Ryszarda Cyby niczego „opozycji totalnej” nie nauczył – a może jeszcze gorzej, świadomie chce ona doprowadzić do jego powtórzenia. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

ŁUKASZ WARZECHA: Przełomowa i wyjątkowa czy może raczej rutynowa i kurtuazyjna. Jakże określenie najlepiej opisuje wizytę kanclerz Merkel w Polsce?

WITOLD WASZCZYKOWSKI: Rutynowo ważna. Nie będę używał określenia „przełomowa”, ponieważ w stosunkach polsko-niemieckich nie nastąpiła żadna zapaść, która wymagałaby jakiegoś przełomu. Relacje są bardzo intensywne. Spotkań prezydentów obu państw było w ubiegłym roku pięć. Pani premier z panią kanclerz spotkały się trzy razy, nie licząc rozmów przy okazji posiedzeń Rady Europejskiej. Ja sam z Frankiem-Walterem Steinmeierem jako szefem MSZ widziałem się kilkanaście razy, niemal co miesiąc.

Tylko czy ilość przechodziła w jakość?

Ilość przelicza się na jakość w postaci 100 mld euro obrotów w handlu między naszymi krajami. To zdecydowanie więcej niż obroty między Niemcami a Rosją, a to przecież niemiecko-rosyjskie relacje określa się jako szczególnie ważne dla Europy. Podczas moich dwóch ostatnich rozmów z niemieckimi ministrami spraw zagranicznych – najpierw jeszcze z Frankiem-Walterem Steinmeierem, a ostatnio już z nowym szefem niemieckiego MSZ Sigmarem Gabrielem – powiedziałem, że warto dbać o tego, z kim zarabia się duże pieniądze. Podobna uwaga padła podczas wizyty kanclerz Merkel. Można bowiem odnieść wrażenie, że Niemcy niekoniecznie doceniają nas jako partnera.

Jak strona niemiecka odniosła się podczas wizyty pani kanclerz do kwestii spornych, czyli przede wszystkim do sprawy gazociągów Nord Stream 2 i Opal?

Ze strony niemieckiej padło stwierdzenie, że Berlin nadal uznaje Nord Stream 2 za projekt czysto biznesowy. Jednak pani Merkel przyznała, że ma on negatywne skutki polityczne dla niektórych państw – wskazała tu Ukrainę. Powiedziała, że jeśli projekt będzie rozwijany, to powinno się zapewnić Ukrainie utrzymanie tranzytu gazowego przez jej terytorium, tak aby Kijów mógł z tego czerpać korzyści. Można by więc powiedzieć, że w tej sprawie mamy w pani kanclerz sojusznika. Nie mamy jednak sojuszników wśród Niemców pracujących na różnych szczeblach w Komisji Europejskiej, jawnie wspierających kiedyś budowę Nord Streamu 1, a teraz Nord Streamu 2.

Z Witoldem Waszczykowskiem, ministrem spraw zagranicznych rozmawia Łukasz Warzecha



Nie chcemy katastrofy europejskiej

Z czego to wynika?

Ci ludzie błędnie uznają, że przyłączając złoża rosyjskiego gazu do wielkiego, chłonnego rynku Europy Zachodniej, uzależnią Rosję od siebie, tworząc instrument nacisku na Moskwę. Wielokrotnie tłumaczyłem, że skutek jest odwrotny: to Rosja dostaje narzędzie szantażu gazowego.

Angela Merkel z jednej strony przyznaje, że niemiecko-rosyjski projekt negatywnie wpłynie np. na Ukrainę, z drugiej – wydaje się to w pełni akceptować.

Kilka miesięcy temu Frank-Walter Steinmeier, jeszcze jako minister spraw zagranicznych RFN, podczas jednego ze

spotkań powiedział mi: „Wiem, że nie podobają się wam Nord Stream 1 i Nord Stream 2, ale może dokonalibyście przynajmniej jakichś kalkulacji, technicznych przemyśleń, czy nie opłacałoby się wam podłączenie do nich”. Ta uwaga pośrednio wskazywała, że Nord Stream 2 ma poparcie polityków niemieckich.

Może powinniśmy pójść za radą Steinmeiera? Skoro nie jesteśmy w stanie pokonać przeciwnika, to – jak mówił Sun Zi – przyłączmy się do niego.

Moglibyśmy, gdyby nie zależało nam na dywersyfikacji i bezpieczeństwie dostaw. Skutkiem tego byłoby bowiem całkowite uzależnienie od rosyjskie-



FOT. ANDRZEJ JULIANKA

agresywnym, naruszającym ład międzynarodowy. Czy takie podejście nie zmniejsza Polsce pola manewru?

Nie można zaklinać rzeczywistości – takie są fakty. Rosja otwarcie kwestionuje porządek międzynarodowy i to nie tylko w naszym bliskim otoczeniu. To samo dotyczy Bliskiego Wschodu.

Czy akurat my musimy o tym tak głośno mówić?

A kto ma to robić, jeśli nie państwo leżące w strefie bezpośrednio zagrożonej konfliktem wywołanym przez Rosję? Co nie oznacza, że nie wyciągaliśmy ręki w stronę Moskwy. W trzecim miesiącu mojego urzędowania mój zastępca pojechał do Rosji bez jakichkolwiek warunków wstępnych na rozmowy o najróżniejszych sprawach. Z członkostwa w polsko-rosyjskiej Grupie do spraw Trudnych najpierw zrezygnował prof. Adam Daniel Rotfeld, potem Krzysztof Zanussi – zniechęcili się brakiem postępów. Jej działalność zamarła, ale chcemy ją reaktywować. Znaleźliśmy ekspertów, którzy chcieliby w niej działać. Mamy kandydata na przewodniczącego, prof. Mirosława Filipowicza z KUL. Niestety, od Rosjan docierają sygnały, że nie są zainteresowani dalszymi pracami w ramach grupy. Zatem piłka jest nie po naszej, lecz po rosyjskiej stronie boiska.

Jest jeszcze zapowiedź skierowania sprawy wraku tupołewa do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze.

Przez rok nie podejmowaliśmy tego typu działań, korzystając z mniej konfrontacyjnych instrumentów, takich jak noty dyplomatyczne. Bez skutku. Odpowiedź była jednoznaczna i arogancka: dopóki to wy nie zamkniecie śledztwa, dopóty nie dostaniecie wraku. Musimy zatem zastosować inne środki. Wniosek do MTS jest przygotowywany, potrzebna jest jednak ostateczna decyzja polityczna.

Czy nasza postawa wobec Rosji nie stoi w konflikcie ze strategią nowej administracji amerykańskiej, która wydaje się mieć do Moskwy stosunek bardziej znuansowany?

Nie ma żadnych sygnałów z administracji prezydenta Trumpa, które wskazywałyby, że może nastąpić porozumienie z Rosją zawarte naszym kosztem. Prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa Michael Flynn musiał zrezygnować w ubiegłym tygodniu, gdy okazało się, że prowadził nieoficjalne rozmowy ze stroną rosyjską. Donald Trump

oczekuje, że Rosja zwróci Krym Ukrainie. W żadnych swoich wypowiedziach nie kwestionował ani sankcji nałożonych na Rosję za wojnę z Ukrainą, ani istnienia NATO, ani nie podawał w wątpliwość sojuszy. Płynnie przebiega rozmieszczanie amerykańskich wojsk w Polsce. Trwa budowa tarczy antyrakietowej w Redzikowie. Co więcej, w otoczeniu Trumpa są ludzie tacy jak Rudolph Giuliani, którzy wręcz krytykowali administrację Baracka Obamy za wstrzymanie tej budowy. Nie mamy żadnych powodów do niepokoju.

W Białym Domu też jest dobra zmiana?

Następuje powrót do tradycyjnej linii amerykańskiej polityki zagranicznej (nie tylko republikańskiej), w ramach której świat jest widziany w kontekście rywalizacji Wschód – Zachód. Znamienny jest tutaj powrót do gry 94-letniego Henry'ego Kissingera. Barack Obama nie traktował Rosji jako geopolitycznego rywala. Zamiast tego liczyła się rywalizacja na linii Północ – Południe, czyli problemy takie jak zmiany klimatu. Zmiana tego sposobu myślenia jest z naszego punktu widzenia dobra, nawet jeśli w polityce Trumpa będzie bardziej widoczny element transakcyjny niż ideologiczny.

W swoim wystąpieniu wspominał pan o tym, że być może Unię Europejską należałoby przebudować na podstawie nowego traktatu. Czy mamy w tej sprawie konkretne propozycje?

Nie mamy jeszcze skończonego projektu, ale wiemy, w którą stronę zmierzać. Unia Europejska się zagalopowała. Kładziono nacisk na hasło: „Ever Closer Union” (nieustającego zacieśniania Unii). Zakładano, że powstanie jakieś centrum decyzyjne.

Kwestionujemy takie myślenie. Uważamy, że o kształcie UE mogą decydować jedynie Rada Europejska i Parlament Europejski. W Radzie Europejskiej uczestniczą politycy mający mandat od wyborców, a w PE zasiadają posłowie wybierani w wyborach powszechnych. Natomiast członkowie Komisji Europejskiej takiej legitymacji nie mają. Są nominowani na zasadzie politycznego uzgodnienia.

To jednak zmiana myślenia. Za swoich pierwszych rządów PiS wyrażał pogląd, że Komisja może być sprzymierzeńcem mniejszych i średnich państw przeciwko dominacji najsilniejszych.

Musieliśmy ten pogląd zrewidować. Od czasu wejścia w życie traktatu

go gazu. Taka koncepcja pojawiła się już 10 lat temu. Doradca ówczesnego premiera Kazimierza Marcinkiewicza Ryszard Schnepf mówił o tym publicznie. Zdecydowaliśmy się na inny kurs. Mamy rozwijać możliwości przyjmowania gazu przez terminal LNG. Jesteśmy w trakcie końcowych ustaleń z Danią i Norwegią na temat budowy bałtyckiego gazociągu do Polski. W tej sytuacji podłączanie się do rosyjskiego gazu nie ma najmniejszego sensu.

Wielokrotnie w czasie swojego sejmowego wystąpienia wspominał pan o Rosji – niemal wyłącznie w kontekście negatywnym, jako o państwie

lizbońskiego KE uległa upolitycznieniu. Polityczne ambicje jej członków są wyraźne i nie ma już mowy o ochronie interesów słabszych członków UE, jest natomiast realizacja poleceń największych państw. Dodatkowo kwestionujemy mechanizm głosowania większościowego, wprowadzony w Radzie Europejskiej na mocy traktatu lizbońskiego, a przynajmniej chcielibyśmy zmniejszenia zakresu spraw, o których się w ten sposób decyduje. Zwłaszcza że po wystąpieniu Wielkiej Brytanii z UE państwa strefy euro będą miały tak dużą przewagę wobec państw spoza niej, że będą w stanie przegłosować w swoim interesie każde rozwiązanie.

W czasie swojej wizyty w Polsce kanclerz Merkel wyraziła sceptycyzm wobec tworzenia nowego traktatu.

Przestrzegała przed gehenną mechanizmów uzgadniania nowego traktatu. Tylko że niekoniecznie trzeba by stosować taką procedurę, jakiej obawia się pani kanclerz. Nie musimy mieć powtórek z konwentu, tak jak przy uzgadnianiu konstytucji UE, która ostatecznie nie weszła w życie. Można stworzyć ciało złożone z czynnych polityków, którzy uzgodniliby podstawowe założenia i, mając ten polityczny plan, dopiero uruchomić procedury biurokratyczne. Natomiast stworzenie nowej podstawy traktatowej wydaje się niezbędne również po to, aby zabezpieczyć Unię przed dalszymi dążeniami integracyjnymi, sprzecznymi i z naszym interesem, i z oczekiwaniami znacznej części obywateli Europy.

A są takie dążenia?

Tak. Podczas mojej wizyty w Paryżu miesiąc temu rozmawiałem z doradcami François Fillona, kandydata francuskich Republikanów na prezydenta w najbliższych wyborach, i usłyszałem całkiem wprost, że celem są dalsza integracja i zacieśnianie związków z Niemcami. Poważnie myśli się też o odrębnych instytucjach dla strefy euro.

W sejmowym wystąpieniu wspomniał pan o Trójmorzu. To modna w ostatnim czasie koncepcja, ale jednak głównie publicystyczna. Czy może ma ona konkretniejszy kształt?

Między 12 krajami Trójmorza są oczywiście różnice. Nie każdy z nich ma ambicję uczestniczyć w poważnej przebudowie Unii Europejskiej, o której mówiłem wcześniej. Wszystkie one

jednak chciałyby ściślejszej integracji gospodarczej i energetycznej w regionie. Wszystkim zależy na połączeniu infrastruktury drogowej i kolejowej oraz sieci gazociągów, które dostarczałyby nie tylko rosyjski gaz. Bardzo ważna sprawa: to nie jest tworzenie grupy przeciwko komuś. Rzecz w tym, żebyśmy nie byli w naszym regionie jedynie suplementem do Europy Zachodniej, obszarem tranzytowym pomiędzy nią a Rosją.

Polska jest przez inne kraje Trójmorza uznawana za naturalnego lidera?

Wolę używać określenia „rzecznik”. Jest bardziej neutralne, nie podrażnia niczych ambicji i nikogo nie odstrasza.

W swoim wystąpieniu dwukrotnie przywoływał pan chińskie przysłowia i to chyba znaczące, skoro mówił pan o „strategicznym partnerstwie z ChRL”. Partnerstwo strategiczne to poważna sprawa.

W chińskiej terminologii dyplomatycznej pojęcie „strategicznego partnerstwa” oznacza wysoki poziom zaangażowania. Ta koncepcja została przyjęta jeszcze przez naszych poprzedników, choć nie była konsekwentnie realizowana. Na spotkaniu z przedstawicielami Chin rząd Platformy wysłał najpierw wicepremiera Siemoniaka, potem Małgorzatę Kidawę-Błońską. Dopiero w listopadzie 2015 r. na spotkanie w formacie „16 plus jeden” [kraje Europy Środkowo-Wschodniej plus przedstawiciele Chin – przyp. red.] pojechał prezydent Duda. Później w jedną z pierwszych swoich wizyt zagranicznych wybrałem się właśnie do Chin. W wyniku tych spotkań w czerwcu 2016 r. z rewizytą przyjechał do Polski prezydent Chin – Xi Jinping. W maju natomiast do Pekinu pojeździe pani premier Szydło – jesteśmy w trakcie przygotowywania tej wizyty. Musimy do maksimum wykorzystać to, że z chińskiej strony jest polityczna wola i dyspozycja, aby relacje z Polską miały istotny wymiar ekonomiczny.

Jaki jest dzisiaj stan naszych stosunków z Ukrainą? Z jednej strony podkreśla pan, jak ważnym partnerem jest dla nas Ukraina, będąca wciąż ofiarą rosyjskiej agresji, z drugiej Jarosław Kaczyński stwierdza: „Z Banderą do Europy Ukraina nie wejdzie”.

Nie mamy wątpliwości, że Ukraina została zaatakowana, że łamiąc prawo międzynarodowe, anektowano Krym, że Moskwa wspiera rebelię w Donbasie. Natomiast nasza dwustronna współpraca zależy w dużej mierze od Kijowa.

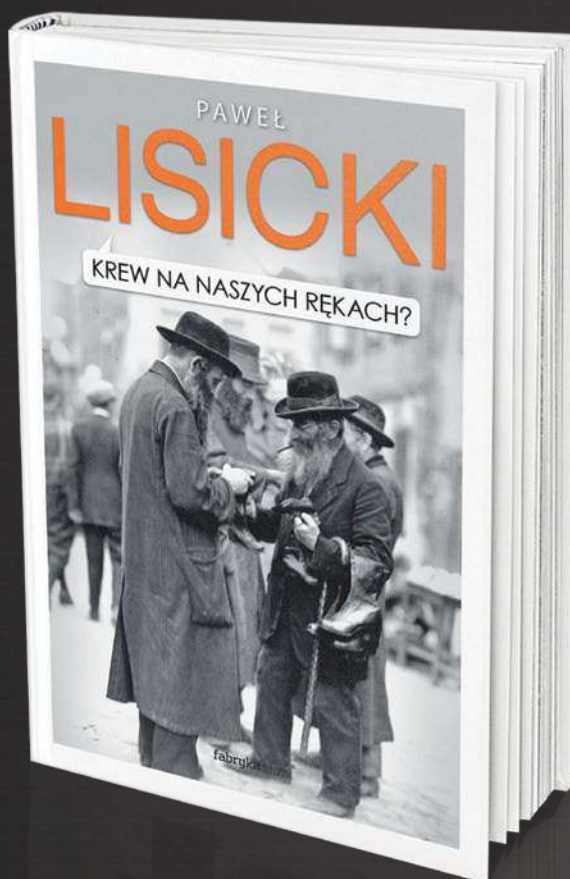
Ukraina ma u nas otwarty kredyt, ale go nie realizuje. Jasno stawiamy sprawę rozliczeń historycznych, ale można odnieść wrażenie, że Ukraińcy mają z tym problem – głębszy, niż mieli Niemcy ze zbrodniami w większej przecież skali. Rozumiem, że dla Kijowa to może być trudne, bo do 1991 r. Ukraina nie była państwem samodzielnym, jej historia była zafałszowana, a następnie tożsamość ukraińską zaczęto budować właśnie na pamięci o UPA i Banderze. Przy czym trzeba pamiętać, że poza ludobójstwem na Polakach był tam też wątek walki z Sowietami i z Niemcami. Odwołując się do historii UPA, wybierano głównie te ostatnie wątki. Gdy w grudniu przyjechał do Polski prezydent Poroszenko, mówiliśmy, że przy rozwiązywaniu sporu o historię możemy korzystać choćby z doświadczeń izraelskich i stworzyć coś na kształt instytutu Yad Vashem. Prezydent Duda proponował powołanie centrum dialogu, które poszukiwałoby Ukraińców, którzy ratowali Polaków, i Polaków, którzy ratowali Ukraińców. Poza tym postawiliśmy sprawę jasno: rok 2017 to 75. rocznica powstania UPA. Jeśli Ukraina zorganizuje wielkie uroczystości, nie dbając o umieszczenie działalności UPA w odpowiednim kontekście, bez informowania o zbrodniach tej formacji, to będzie to rok bardzo trudny dla wzajemnych relacji.

Spójrzmy na międzynarodową rzeczywistość w dalszej perspektywie. Może wszystko to, co się dzieje – wybór Donalda Trumpa, Brexit, dobre notowania polityków kwestionujących dotychczasowy porządek – oznacza, że świat się zmienia, dotychczasowy porządek się wali i nie jesteśmy w stanie tego powstrzymać? Musimy się po prostu dostosować.

Gdy byłem miesiąc temu w Paryżu, rozmawiałem półtorej godziny z Marine Le Pen. Usłyszałem od niej o luźniejszej Unii, o „inteligentnym protekcjonizmie”, o rozluźnieniu więzów z USA. Zapytałem panią Le Pen, czy w takim razie chce powrotu do Europy lat 30. Zachnęła się, ale sens tego, co mówiła, był dokładnie taki. A to recepta na katastrofę. Podobnie jak receptą na katastrofę jest bezmyślne powtarzanie frazesów przez federalistów o „zacieśnianiu integracji”, o tym, że potrzeba „więcej Europy” i potrzebna jest „ucieczka do przodu”. Nie chcemy katastrofy europejskiej, dlatego proponujemy remont tej instytucji.

CZYTAJ CO TYDZIEŃ **W LEPSZEJ CENIE** **ZAMÓW PRENUMERATĘ**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ KSIĄŻKA PAWŁA LISICKIEGO „KREW NA NASZYCH RĘKACH?”



CZASY, KIEDY POLACY MOGLI ŻYĆ W NAIWNYM PRZEKONANIU, ŻE SĄ POSTRZEGANI JAKO WSPÓŁOFIARY WOJNY, DAWNO SIĘ SKOŃCZYŁY. SAKRALIZACJA HOLOCAUSTU SPRAWIŁA, ŻE DOKONAŁ SIĘ NOWY PODZIAŁ RÓL.

Od połowy ubiegłego wieku w powszechnej świadomości świata jedyną ofiarą wojny stali się Żydzi. Przeciętny Amerykanin, czy Francuz, czy Niemiec mniema, że II wojna to był Holocaust i tyle. Byli jeszcze jacyś ludzie, którzy Żydów ratowali, reszta jednak, cała wielka wielomilionowa rzesza przyglądała się biernie, albo wręcz w mordzie uczestniczyła. Otoczeni przez mrowie chrześcijańskiej tłuszczy, która czyhała na ich życie i majątek, Żydzi ginęli samotnie.

140 zł

oszczędność 86 zł

www.prenumerata.dorzeczy.pl

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPLATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl
eprasa.pl 253d0d17f0

Rewolucja Ziobry



Marcin Makowski

Zbigniew Ziobro, jak twierdzą jego współpracownicy, wyciągnął wnioski z błędów przeszłości. Teraz nie marnuje czasu na wojny w mediach i przeprowadza prawdziwą rewolucję. Czy uda mu się utrzymać narzucone tempo, mając przeciwko sobie znaczną część prawniczych elit?



Piątek 20 stycznia. Trwa kolejna z cyklu konferencji prasowych pod hasłem „Rok nowych zadań”, podczas których premier Beata Szydło dokonuje przeglądu podległych jej resortów. Chociaż opozycja kpi, że żadnemu ministrowi włos z głowy nie spadnie, to jak mało kto pewny swojej posady może być Zbigniew Ziobro. Stanowczym tonem odpowiada na pytania dziennikarzy, wymieniając projekty jeden po drugim, nad którymi obecnie pracuje. Od 2007 r. odliczał dni, aby wrócić na fotel ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego, a gdy dopiął swego, rozpoczął istny maraton ustaw. Przez pierwszy rok resort opracował ich ponad 100, z czego 50 jest obecnie procedowanych, a 14 wprowadzono w życie. To więcej niż Platforma Obywatelska napisała przez całą poprzednią kadencję. – Minister bardzo się zmienił. Rzadko chodzi do telewizji, nie chce powtórzyć błędu sprzed 10 lat. Dlatego dzisiaj zamiast w media cała energia idzie w pracę nad ustawami – przekonuje Patryk Jaki, sekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości. Jak twierdzi bliski współpracownik Ziobry, pod tym względem przypomina stachanowca, który raz dobranego zespołu stara się nie zmieniać. Nie ma bowiem czasu na przetasowania kadrowe. – Można się z Ziobrą nie zgadzać, ale w jednym ma rację. Władza sądownicza przez dekady funkcjonowania w III RP była ustrojowo zapuszczona. W latach 90. wprowadziliśmy Krajową Radę Sądowniczą i w gruncie rzeczy uznaliśmy, że postawiona za parawanem niezależności będzie się rozwijała autotelicznie. To błąd – twierdzi konstytucjonalista prof. Jarosław Szymanek.

Nie przez przypadek to właśnie zmiany w KRS stanowią koło zamachowe rewolucji Ziobry. I o rewolucję, a nie kosmetyczne łatanie dziur, w istocie toczy się gra. „Państwo ma chronić uczciwych, a być bezwzględne wobec tych, którzy łamią prawo” – wielokrotnie powtarza szef Solidarnej Polski. Skala reform, kumulacja władzy oraz wpływ na obsadzanie stanowisk kierowniczych w poszczególnych sądach zaczynają jednak niepokoić nawet tych, którzy z ogólną potrzebą korekty kursu się zgadzają. – Reforma wymiaru sprawiedliwości powinna odbywać się nie w kontrze, ale we współpracy ze środowiskami prawniczymi i sędziowskim. W tym widzę obecnie największy

problem – mówi Michał Fertak z Okręgowej Rady Adwokackiej w Warszawie. Czy w natłoku kolejnych ustaw – od zaostrzenia kary za fałszywe faktury VAT do zmiany dotyczącej prezesów sądów – uda się zachować spójność systemu? Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba zrozumieć, jaka filozofia przyświeca Ziobrze, co robi, aby ją zrealizować, i kto staje na jego drodze.

FILOZOFIA „DOBREJ ZMIANY”

„W Polsce jest za dużo sędziów. Mamy armię 10 tys. sędziów [...] Chcemy ogromną większość tych ludzi przywrócić do tej roli, która została im powierzona, aby w imieniu państwa sprawowali sprawiedliwość” – przekonywał Ziobro na jednej z konferencji prasowych. Niemal w każdej swojej wypowiedzi podkreśla, że polski wymiar sprawiedliwości przez rządy koalicji PO-PSL stał się niewydolny, zbyt drogi, pobłaża kryminalistom i promuje wewnątrzśrodowiskowe koterie. „Dobra zmiana” w ministerstwie, w zamierzeniu jej autora, ma odwrócić ten trend. Zdemokratyzować wybór sędziów, uprościć procedury, bezwzględnie rozprawiać się z przestępcami, którzy do tej pory cieszyli się bezkarnością. W jakimś sensie jest to kwintesencja momentami populistycznego programu PiS i jednocześnie filozofia kierowania resortem przez Zbigniewa Ziobrę.

O ile można polemizować ze stylem uprawianej polityki, o tyle znacznie trudniej z jej skutecznością. Ziobro chce realnie zmienić wymiar sprawiedliwości

Ustanowienie prawa, które chroni słabych, a jest bezwzględne dla silnych, wielokrotnie zapowiadał Jarosław Kaczyński. Często w przemówieniach podobnej retoryki używa również Beata Szydło. W tabloidowych doniesieniach jako prokurator generalny Ziobro staje naprzeciwko tym oczekiwaniom. Nieustraszone rzuca wyzwanie lobby, które nie dba o interes obywatela i chroni „łódzkie w togach”. Tropi układy trzymające władzę, interweniuje

w bulwersujących sprawach. „Minister domaga się ostrzejszej kary dla mordercy”, „Ziobro uratuje matkę przed więzieniem”, „Minister Ziobro zajmie się wnukiem Wałęsy” – głoszą nagłówki „Faktu” i „Super Expressu”. Szkopuł w tym, że o ile można polemizować ze stylem uprawianej polityki, o tyle znacznie trudniej z jej skutecznością. – Można mieć wątpliwości co do działań Ziobry, ale to minister, który nie zadowolą się utrzymaniem status quo. On chce coś realnie w wymiarze sprawiedliwości zmienić na lepsze – twierdzi prof. Romuald Kmiecik, prawnik i kryminalista. Nie byłoby jednak tych zmian, gdyby oznaczały samotne wypowiedzenie wojny „nadzwyczajnej kście ludzi”. Jak w każdej rewolucji, tak i w tej paliwem do zmian jest gniew ludu.

„PRZYWRACANIE POCZUCIA SPRAWIEDLIWOŚCI”

Przeglądając się realizowanym do tej pory przez ministerstwo reformom, łatwo podzielić je na dwie kategorie: skierowane ku obywatelom i ku samemu systemowi. Jak twierdzi wysoko postawiony poseł Prawa i Sprawiedliwości, to ulubiona strategia Ziobry. – Z jednej strony pozyskać poparcie „zwykłych ludzi”, żeby później, opierając się na własnej popularności, przystąpić do czyszczenia konkretnych lobby – mówi. „Obywatelski” trzon wprowadzanych zmian nie przez przypadek rozpoczyna modyfikacja funkcjonowania prokuratury, która – jak głosi broszura wydana z okazji roku działalności ministerstwa – „miała wybite zęby”. Zgodnie z ustawą, która weszła w życie 4 marca 2016 r., Zbigniew Ziobro jako prokurator generalny położył nacisk na wspomniany już powrót do umarzanych śledztw, wnoszenia kasacji najbardziej bulwersujących spraw oraz zaostrzenie kar dla przestępców. Wszystko po to, aby „prokuratorzy służyli społeczeństwu, a nie na odwrót”. Jednym z elementów mających wprowadzić te słowa w życie jest zmiana przepisów o lichwiarskich pożyczkach, których ściganie było do tej pory niezwykle trudne ze względu na konieczność udowodnienia lichwiarstwa, że wiedział, iż osoba, której pożyczka pieniężna, jest w „przymusowym położeniu”. Z tego powodu prawie 90 proc. trwających postępowań kończyło się bez wydania wyroku. Ten stan rzeczy ma się zmienić.

■ Już teraz, na mocy nowelizacji Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego z 30 kwietnia, złagodzone natomiast procedurę odbierania dzieci rodzicom z powodu ubóstwa. Do konsultacji resortowych trafił również projekt ochrony najmłodszych w przypadku postępowań transgranicznych o porozwodową opiekę nad dzieckiem. Dotychczas co 10. sprawa tego typu kończyła się wydaniem dziecka za granicę już po pierwszym orzeczeniu sądu, bez procedury odwoławczej. 29 grudnia weszła w życie nowelizacja Kodeksu karnego mająca ukrócić plagę zalegania z alimentami, funkcjonująca dzięki konieczności udowodnienia „uporczywego” uchyłania się od płacenia. „Nie jest celem, aby kogoś karać. Celem jest, aby dziecko miało utrzymanie. Dlatego gwarantujemy rodzicowi, że nie będzie podlegał sankcjom karnym, jeżeli wezwany do prokuratora i pouczony o konsekwencjach niepłacenia alimentów uiszcza w całości zaległą kwotę” – zapowiada Zbigniew Ziobro. Co roku wydatki państwowego Funduszu Alimentacyjnego to ok. 1,5 mld zł, z czego udaje się odzyskać zaledwie 13–14 proc. Choćby tylko z tego względu jest to reforma istotna również dla budżetu państwa.

Ten sam efekt, tj. wzmocnienie poczucia, że ministerstwo faktycznie troszczy o sprawy zwykłego obywatela, ma przynieść projekt ustawy zaostrzającej kary za przestępstwa w ruchu drogowym oraz bestialskie znęcanie się nad zwierzętami. 1 października 2017 r. wejdzie natomiast w życie system monitorowania oraz rejestr pedofilów, dzięki któremu instytucje publiczne w szerszym, a wszyscy internauci w węższym zakresie będą mogli sprawdzić, czy zachowująca się w niepokojący sposób osoba była już karana za przestępstwa na tle seksualnym.

Jak zapowiada Zbigniew Ziobro, skończy się także bezkarność komorników, którzy zbyt często korzystali ze swoich przywilejów, co prowadziło do patologii w stylu zajmowania ciągnika niewinnego rolnika za długi sąsiada. Projekt ustawy skierowanej do uzgodnień międzyresortowych zakłada, że to komornicy będą musieli zadośćuczynić pokrzywdzonemu, jeśli sąd uzna ich decyzję za nadgorliwą. Poza tym z zawodu będą musieli odejść ci mniej wykwalifikowani, bo – jak szacuje ministerstwo – co 10. komornik nie ma wyższego wykształcenia. Ostatnim aktem „przywracania poczucia

sprawiedliwości” w sposobie funkcjonowania trzeciej władzy jest natomiast rozporządzenie Zbigniewa Ziobry z 3 października obniżające stawki za czynności adwokackie. Niejednokrotnie nawet o kilkaset procent. „Nie przyłożę ręki do zbijania majątków przez kancelarie prawne kosztem sprawiedliwości” – zapowiada minister. – W mojej ocenie głównym problemem dla obywateli była i jest wysokość wpisów sądowych – twierdzi jednak Michał Fertak. – Te należą do najwyższych w Europie. Najlepszym proobywatelskim działaniem byłoby znaczne zmniejszenie ich wysokości. Często obywatele rezygnują z wystąpienia na drogę sądową w obawie o poniesienie zbyt wysokich kosztów. I to nie są koszty związane z ustanowieniem adwokata – dodaje rzecznik Okręgowej Rady Adwokackiej w Warszawie. Wymienione reformy to wierzchołek góry lodowej najistotniejszych korekt, które mają sięgać w głąb samego systemu. Bez nich jednak, mając przeciwko sobie lobby prawnicze oraz nie mając poparcia społecznego, szef Solidarnej Polski nie mógłby działać na podobną skalę.

SYSTEM DO ZMIANY

Chociaż nie tak efektywne od strony medialnej, to właśnie zmiany w samej istocie funkcjonowania trzeciej władzy oraz jej zaplecza logistycznego są nadrzędnym celem misji, którą Ziobro postawił przed resortem. Minister sprawiedliwości, poza rozległą reformą systemu penitencjarnego, zwiększył również rolę więźniów w fabrykach przyzakładowych i przywrócił dozór elektroniczny. Prawdziwe kontrowersje wzbudziły jednak projekty dotyczące samego sądownictwa. Dla wielu sędziów nie do zaakceptowania była ustawa z 21 grudnia wprowadzająca jawność ich oświadczeń majątkowych. Oburzenie wzbudził również pomysł ujawniania wydatków ze służbowych kart kredytowych. Prezes Sądu Najwyższego prof. Małgorzata Gersdorf stwierdziła, że nie może się na to zgodzić, ponieważ sędziego obowiązuje tajemnica służbowa, a ujawnienie numeru karty kredytowej „narusza regulamin banku”. W podobnym tonie, jeśli chodzi o finanse, wypowiadają się inni przedstawiciele środowiska. – Sędzia to zawód narażony na odwet ze strony osób, które czują się pokrzywdzone w wyniku prowadzonego postępowania. W procesach cywilnych 50 proc. oskar-

żonych twierdzi, że wyrok w ich sprawie zapadł niesłusznie. W sprawach karnych współczynnik rośnie. Pełne ujawnienie dochodu sędziego może sprawić, że środowiska przestępcze łatwiej wezmą na nim odwet. Ten sam efekt można osiągnąć, działając mniej radykalnie, np. poprzez składanie oświadczeń przez sędziów, które byłyby dostępne dla konkretnych organów państwowych – twierdzi były prezes Trybunału Konstytucyjnego prof. Andrzej Zoll. Ostatecznie jednak wydatki z kart służbowych Sądu Najwyższego zostały ujawnione 9 lutego. – Myślę, że pani prezes SN chyba nie przemyślała swojej wypowiedzi, bo nie sądzę, aby chciała dawać „dobry



przykład” swoim dość swobodnym stosunkiem do obowiązującego prawa. Od pierwszego prezesa SN należy oczekiwać najwyższego szacunku dla prawa, zwłaszcza od prezesa, która niedawno takie akty strzeliste wygłaszała na temat przestrzegania prawa i praworządności w Polsce – powiedział Ziobro.

Istotnym elementem wizji nowych sądów ministra są również: zmniejszenie liczby stanowisk funkcyjnych, ustanowienie zasady niezmienności składu sędziowskiego w sprawach cywilnych, jego losowy wybór do orzekania w sprawach, których nie będą mogli wybierać, oraz ustanowienie tzw. sędziego pokoju do prowadzenia najprostszych

postępowań. Docelowo ma się to przełożyć na większą wydolność polskiego wymiaru sprawiedliwości, który liczy ponad 10 tys. sędziów, a według ministra Ziobry działa mniej sprawnie niż francuski, gdzie postępowania prowadzi połowa tego składu osobowego. – To mylące uproszczenie – twierdzi rzecznik prasowy Krajowej Rady Sądowniczej Waldemar Żurek. – We Francji funkcjonują również sądy gospodarcze, które prowadzą sami przedsiębiorcy. Dzięki temu wymiar sprawiedliwości jest mniej obciążony niż w Polsce, tego Zbigniew Ziobro nie uwzględnił. U nas na 10 tys. sędziów przypada ok. 15 mln spraw rocznie. Topimy się w drobnych

jedynie dodała Ziobrze argumentów za koniecznością większego zdyscyplinowania środowiska.

MINISTER A KONSTYTUCJA

Chociaż media pełne są doniesień na temat nieustannej „wojny” między ministerstwem a trzecią władzą, to ocena autentycznych linii podziałów nie jest oczywista. – Nie ma jednolitego środowiska prawniczego, być może establishment prawniczy jest w większości przeciw zmianom, ale już na dole sytuacja jest bardziej zróżnicowana. Część środowiska sędziowskiego oponuje przeciwko Ziobrze politycznie, nie tyle ze względu na kwestie prawne – podkreśla prof. Ro-

w jej skład, gdy uzna go za niewygodny. Zresztą zawsze do tej pory 15 sędziów Krajowej Rady Sądowniczej wybierało spośród siebie samo środowisko. Jeśli to zmienimy, to wówczas powstanie ryzyko upolitycznienia tego ciała – przekonuje Waldemar Żurek. Zdecydowanie ostrzej o postępowaniu Ziobry w rozmowie z Wirtualną Polską wypowiedział się natomiast prezes katowickiego sądu rejonowego Jarosław Gwizdak. „Sędziowie czują wściekłość, lęk i dają się rozgrywać przez PiS” – stwierdził, zapowiadając, że zastanawia się nad odejściem z zawodu, a reformy ministerstwa nazywa „idiotyzmem, jakiego świat nie widział”.

Mimo „totalnej opozycji” części lobby prawniczego również w jego gronie dostrzega się potrzebę usprawnienia działalności organów egzekwujących prawo. – Przestrzegalbym przed tym, aby KRS stała się emanacją tylko środowiska sędziowskiego albo w większości odpowiadała woli polityków. Trzeba myśleć o zoptymalizowaniu obecnego mechanizmu, szukając kompromisu. Być może organy samorządu sędziowskiego zgłaszałyby dwie kandydatury, z których wyboru dokonywałby parlament? – proponuje konstytucjonalista prof. Jarosław Szymanek. Jak twierdzi Michał Fertak, również sama adwokatura nie zajmuje jednoznacznego stanowiska wobec zmian proponowanych przez Zbigniewa Ziobrę. – Cieszę się, że nie ma obecnie ostrego konfliktu między ministrem sprawiedliwości a adwokaturą. Przecież obecną adwokaturę w większości stanowią młodzi ludzie, którzy się dostali do zawodu w wyniku jego otwarcia – podkreśla mecenas, dodając jednak, że tak daleko idące zmiany muszą się odbywać w dialogu z grupami zawodowymi, których dotyczy. „Chciałem wyjść środowisku naprzeciw. Ale po kongresie sędziów powiedziałem koniec” – stwierdził jednak na konferencji prasowej 6 lutego minister sprawiedliwości. – Zdajemy sobie sprawę, że skala zmian jest ogromna. Bierzymy się za komorników, adwokatów, prokuratorów, syndyków, sędziów. Nie będziemy jednak tracić czasu na głupoty. Wie pan, dlaczego to robimy? Bo ludzie oczekują zmian. Tym razem nie zmarnujemy naszej szansy – mówi wiceminister Patryk Jaki. W jednej kwestii zarówno lobby, jak i ministerstwo mogą być zgodni. Nikt w tym sporze nie marnuje czasu, a niemal każdego tygodnia słychać o ostrych tarciach. Jak długo da się utrzymać to tempo?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Nadzwyczajne posiedzenie Krajowej Rady Sądownictwa. Zmiany w KRS stanowią koło zamachowe rewolucji Zbigniewa Ziobry FOT. ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER

postępowaniach i papierologii, a nie w przeroście administracji – twierdzi. To jednak reforma samego KRS, do którego 15 przedstawicieli wybierałby parlament, dzieląc instytucję na dwie izby: sędziowską i członków rady z urzędu, jest obecnie oczkiem w głowie ministra. Ziobro podkreślił jednak, że tego się nie da zrobić w ramach obecnej konstytucji. Podczas konferencji podsumowującej rok pracy resortu minister sprawiedliwości zapowiedział również powołanie w Sądzie Najwyższym dodatkowej izby – dyscyplinarnej – dla sędziów i prokuratorów. Afera korupcyjna, która wybuchła na przełomie roku w Sądzie Apelacyjnym w Krakowie,

muald Kmiecik. – W tej chwili obserwuje się przesadę w formułowaniu zarzutów. Każdy dyskusyjny problem od razu łamie konstytucję. Tymczasem np. zmian w KRS nie można uznać a priori za niekonstytucyjne. Ustawa zasadnicza mówi, że część członków pochodzi w tym organie z wyboru, ale nie precyzuje, kto ma go dokonać. Chociaż powierzenie tego obowiązku Sejmowi jest kontrowersyjne, należy o nim rzeczowo dyskutować – dodaje kmieci. Innego zdania jest rzecznik Krajowej Rady Sądowniczej. – Propozycja Ziobry łamie konstytucję. Nie można skracać kadencji członków KRS za pomocą ustawy, bo każda inna władza będzie mogła w taki sam sposób ingerować



Kamila Baranowska

Jest dwóch Marków Kuchcińskich. Ten dzisiejszy: sztywny polityk, którego znamy z Sejmu, oraz ten sprzed lat: szalony hipis z pasją do filozofii i kultury niezależnej

Wśród 22 lutego Sejm zajmie się wnioskiem Platformy Obywatelskiej o odwołanie Marka Kuchcińskiego z funkcji marszałka Sejmu. Grzegorz Schetyna złożenie takiego wniosku zapowiedział w dniu, w którym zdecydował o zakończeniu kilkutygodniowej okupacji sali obrad Sejmu. – Zła aktywność marszałka, popełniane błędy, zła organizacja pracy Sejmu, zawieszenie Michała Szczęsby, doprowadziły do blisko 30 dni konfliktu parlamentarnego i państwowego – wyliczał wówczas lider PO. Marszałek Kuchciński może jednak spać spokojnie. Po pierwsze, arytmetyka sejmowa nie pozostawia złudzeń, a po drugie, nic bardziej nie gwarantuje mu zachowania stanowiska niż apele i wnioski opozycji o jego odwołanie. Chociaż w samym PiS wielu polityków jest zdania, że Kuchciński w jakimś stopniu współodpowiada za to, co się w grudniu działo w parlamencie, bo to jego pomysły dotyczące ograniczenia pracy dziennikarzy w Sejmie stały się wygodnym pretekstem dla opozycji. – Marek Kuchciński obok np. Ryszarda Terleckiego należy do tych polityków, którzy są zbyt, nazwijmy to, problematyczni, by zrobić ich ministrami, ale zbyt ważni, by całkiem ich pominąć w nominacjach. Dlatego Jarosław dał go do Sejmu, licząc na to, że tam da sobie radę, ale dla pewności obudował go jeszcze Joachimem Brudzińskim, tak jak Terleckiego Markiem Suskim – opowiada polityk PiS. – Przeliczył się jednak i dziś już zdaje sobie sprawę, że to był błąd, bo Kuchciński nie radzi sobie w tej roli, opozycja o tym wie i będzie go nieustannie prowokować, co dla PiS jest ryzykowne – dodaje.

Kuchcińskiego w obronę bierze jednak Marek Suski, wiceszef klubu PiS. – Rola marszałka jest bardzo trudna. Bo z jednej strony musi być kimś ponad podziałami, co nie zawsze jest akceptowane we własnych szeregach, a z drugiej zawsze jest narażony

Hipis tylko do dziesiątej



FOT. MICHAŁ DOJUK/PROBUD

na krytykę opozycji, która będzie grzmiała, że jest stronnicy – uważa poseł Suski.

Inni politycy PiS, z którymi rozmawiamy, wskazują z kolei, że Marek Kuchciński pozostaje pod dużym wpływem osób, którymi się otoczył. Są wśród nich m.in. postaci znane, tak jak socjolog dr Tomasz Żukowski lub prof. Waldemar Paruch (redaktor naczelny „Przeglądu Sejmowego”, wcześniej bezskutecznie ubiegający się o mandat posła i europosła) oraz mniej znane, takie jak Andrzej Klarkowski (były doradca Lecha Kaczyńskiego) i Lidia Gał (wcześniej związana z klubem PiS). Zdaniem naszych rozmówców to za ich namową Kuchciński postanowił zmienić warunki pracy dziennikarzy. – Kuchciński uwierzył, że jako druga osoba w państwie przechodzi właśnie do historii, a oni

utwierdzają go w przekonaniu, jak bardzo jest ważny. Uwiera go, że reszta osób tego nie dostrzega i nie obdarza go należytych szacunkiem. Zwłaszcza media – tłumaczy poseł PiS. – U kogoś tak pedantycznego jak Kuchciński brakiem szacunku są poplątane kable i dziennikarze, którzy chodzą po Sejmie, jak chcą. Domyślam się, że nie trzeba go było długo namawiać do tego, by zrobić z tym porządek – dodaje inny polityk prawicy.

FILOZOF ZE „STRYCHU”

– W sprawach dziennikarzy i mediów uznaje, że tematyka, która dominuje w telewizji, sieci i głównych gazetach, jest zbyt miałka, sensacyjna, plotkarska; często też prostacka. Uważa, że powinien pojawiać się w takich audycjach, gdzie jest szansa na

poważną i bardziej dogłębną rozmowę merytoryczną. Wszystkie inne sprawy, czyli de facto większość tematów, które interesują media, kieruje na swojego dyrektora biura prasowego – mówi osoba, która dobrze zna Kuchcińskiego.

Pytamy więc szefa biura prasowego Kancelarii Sejmu, jak marszałek odnosi się do wniosku o swoje odwołanie. – Diabeł ubrał się w ornat i na mszę dzwoni. Część opozycji na prawie miesiąc zablokowała salę posiedzeń i doprowadziła do olbrzymiego kryzysu parlamentarnego. To wniosek, którym osoby bezpośrednio odpowiedzialne za wydarzenia z 16 grudnia (i później) próbują odwrócić uwagę opinii publicznej. Marszałek podchodzi do sprawy ze spokojem i dystansem – odpowiada Andrzej Grzegorzka.

Nic dziwnego, że podchodzi ze spokojem i dystansem – Kuchciński od lat cieszy się zaufaniem Jarosława Kaczyńskiego, który jest gwarantem jego mocnej pozycji zarówno wewnątrz partii, jak i w Sejmie. Kuchciński należy do grupy najwierniejszych współpracowników prezesa, zwanych Zakonem PC.

– Poznałem go w 1990 r. Przyjechałem wtedy do Rzeszowa, do redakcji jednego z nowo powołanych, a później upadłych pism. Była taka próba stworzenia nowej prasy, ze średnimi efektami – wspomina Kaczyński w książce „Polska naszych marzeń”. – Wydał mi się interesującym człowiekiem o bardzo dużym zacięciu organizatora kultury – dodaje prezes. 35-letni wówczas Kuchciński zabrał Kaczyńskiego także do swojego rodzinnego Przemyśla, gdzie od lat 80. prowadził swój „Strych kulturalny”. Było to coś na kształt klubu dyskusyjnego, skupiającego filozofów, artystów, poetów, rysowników. Na tych spotkaniach bywał na przykład, co sam wspominał podczas niedawnej wizyty w Polsce, Roger Scruton, znany brytyjski myśliciel. Kaczyński był zachwycony działalnością i zaangażowaniem Kuchcińskiego. – Ten „Strych” był rzeczywiście na stylowym strychu. Wydawali coś w rodzaju własnego pisma, almanachu. Tam się zebrało bardzo wielu interesujących ludzi. I zobaczyłem, że to jest bardzo dobra organizacja regionalna naszej partii. Klasycznie inteligencka, obok legnickiej i szczecińskiej – wspomina Jarosław Kaczyński.

Zanim jednak obecny marszałek Sejmu zaczął budowanie struktur partyjnych i na dobre wsiąkł w politykę, zajmował się czymś zupełnie innym. Mało kto jest w stanie wyobrazić sobie dzisiejszego sztywnego

go i zdystansowanego Kuchcińskiego jako szalonego hipisa w dzwonach, z długimi włosami. Miał ksywę Penelopa z racji, co sam podkreślał w jednym z wywiadów, wierności zasadom. – Ja nie traktuję tej mojej młodości poważnie – mówił w 2006 r. „Gazecie Wyborczej”. – Ja hipisem byłem raczej do 10, a potem do domu. Bo tata by się denerwował – tłumaczył. Zapytany zaś o to, czy – jak na hipisa przystało – eksperymentował z używkami, odparł: – Parę razy próbowałem, ale nie tak, żeby się miało skończyć Kotańskim. Byłem ciekawy życia i różnych jego stron. Zanim coś ocenię, lubię naprzód dotknąć.

Jednocześnie, jak wspominali jego znajomi z tamtych lat, od zawsze cechował go głęboki antykomunizm. Pewnie dlatego angażował się w działalność opozycyjną (działał w rolniczej Solidarności), za co w 1985 r. został na trzy miesiące aresztowany. W czasie rewizji znaleziono u niego ulotki Solidarności, podziemne pisma i książki drugiego obiegu. Powie potem, że właśnie to zatrzymanie przekonało go do polityki.

W 1989 r. zakładał Klub Obywatelski „Solidarność” w Przemyślu, rok później związał się z Porozumieniem Centrum. Od tamtego czasu pozostaje wierny braciom Kaczyńskim. Na początku był radnym,

Od zawsze cechował go głęboki antykomunizm. Pewnie dlatego angażował się w działalność opozycyjną

potem wicewojewodą, do Sejmu długo nie chciał kandydować. Zajmował się ogrodnictwem i z tego głównie żył. – Działalnością hipisowską się nie chwalił. Często go pytałem, dlaczego nie chce kandydować, mówił: „Mam coś w młodości, co mogą mi wyciągnąć” – opowiadał w książce Jarosław Kaczyński.

Przełamał się w 2001 r., wtedy po raz pierwszy został posłem z list PiS. W 2006 r. (gdy PiS był u władzy) zastąpił na stanowisku szefa klubu parlamentarnego Przemysława Gosiewskiego, który przeszedł do Kancelarii Premiera. Część posłów PiS skarżyła się wówczas na tę zmianę. – Ma dosyć ostre usposobienie. Gdy był szefem klubu, często na niego narzekano. Chyba z tego powodu, że trzymał klub krótko i ciężkiego słowa nie żałował – przyznawał

Jarosław Kaczyński w „Polsce naszych marzeń”.

MA TAKI STYL

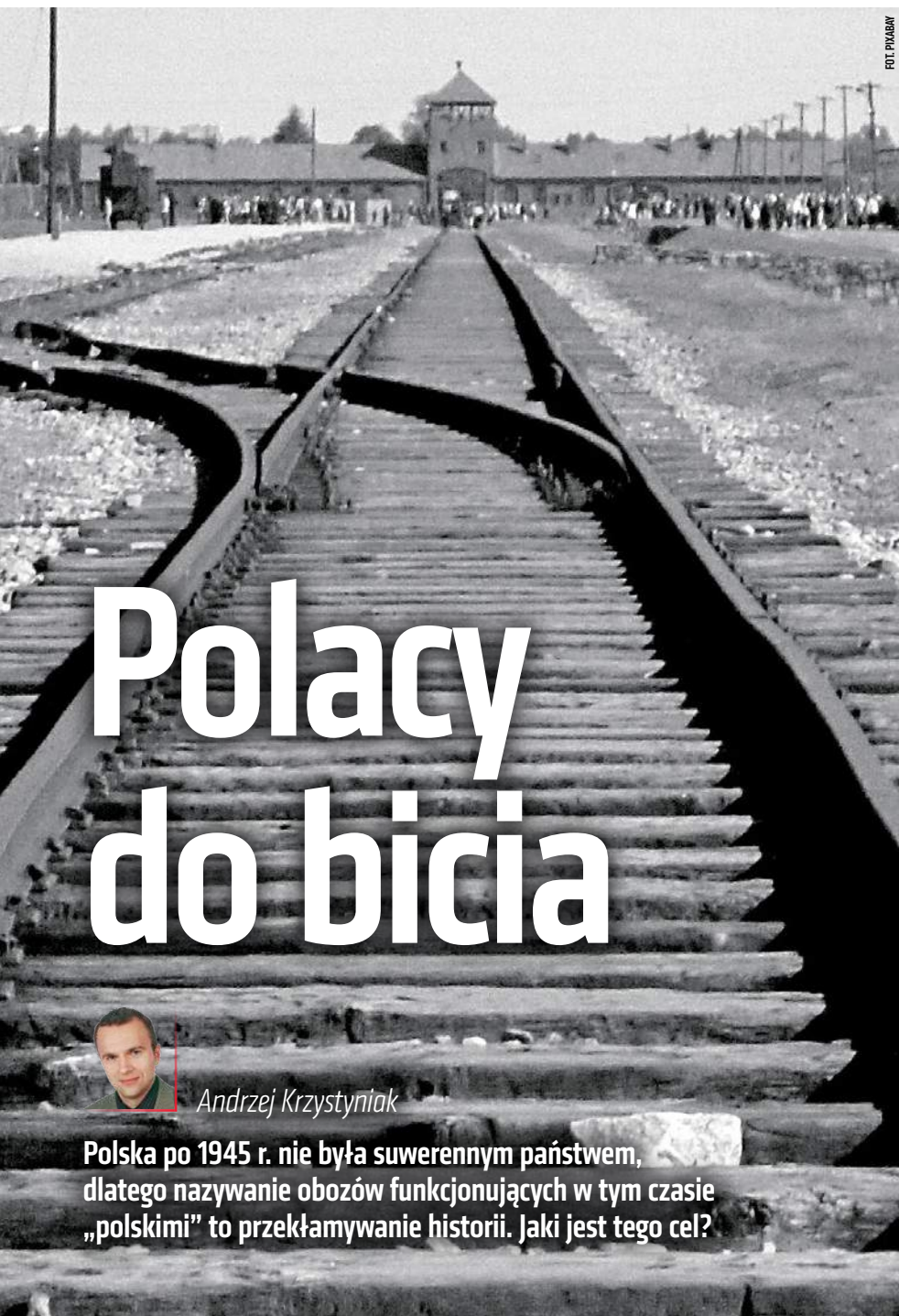
Toteż w kolejnej kadencji Kuchciński został tylko wiceszefem klubu, a gdy po śmierci przewodniczącej klubu Grażyny Gęsickiej w Smoleńsku, typowano go na jej następcę, znów w partii podniosły się głosy niezadowolenia. Ostatecznie szefem klubu nie został, przesunięto go na funkcję wicemarszałka Sejmu po zmarłym w Smoleńsku Krzysztofie Putrze. Był nim także w kolejnej kadencji.

Rzeczywiście w PiS Kuchciński ma opinię człowieka sztywnego i trzymającego wszystkich na dystans, co jest odbierane jako traktowanie innych z góry. Narzekają też, że jest trudny we współpracy. Nawet Jarosław Kaczyński uważa Kuchcińskiego za sztywnego. – On jest troszkę sztywny, z wieloma młodszymi osobami, z którymi jestem po imieniu, jest na „pan”. Mimo hipisowskiej przeszłości ma taki styl – mówił w cytowanej już książce.

– Jako marszałek, czyli druga osoba w państwie, musi zachować pewien dystans i godnie reprezentować urząd. Nie może być bratem łąką, który dowcipkuje i chodzi z posłami na piwko – uważa Marek Suski (PiS).

– Wielka polityka uderzyła mu do głowy. To był kiedyś inny człowiek – wspomina w rozmowie z „Do Rzeczy” Mieczysław Kasprzak z PSL, poseł z tego samego okręgu przemyskiego. – Zналиśmy się dobrze, gdy był jeszcze wicewojewodą, ale teraz żadnego kontaktu już nie mamy. Obserwując go na sali sejmowej, mam wrażenie, że jest cały czas bardzo spięty, jakby nie był do końca pewny, czy to, co robi, spodoba się prezesowi – ocenia. – Gdyby zachował się inaczej, to nie doszłoby do kryzysu w Sejmie. Mógł odpowiedzieć posłowi Szczepie żartem, rozładować napięcie, zamiast je potęgować. Potrzebujemy marszałka, który będzie próbował zasypywać rowy, a nie je pogłębiać – mówi poseł Kasprzak.

– Jako poseł pięciu kadencji zawsze słyshałem podobne zarzuty wobec każdego marszałka: że dzieli, zamiast łączyć, że jest marszałkiem swojej partii. To standardowe oskarżenia – odpowiada Marek Suski, wiceszef klubu PiS. A wniosek o odwołanie marszałka nazywa absurdalnym. – Opozycja zachowuje się jak uczeń, który sam nabroił, a potem żąda odwołania nauczyciela i dyrektora szkoły, który go skarcił – kwituje.



Polacy do bicia



Andrzej Krzystyniak

Polska po 1945 r. nie była suwerennym państwem, dlatego nazywanie obozów funkcjonujących w tym czasie „polskimi” to przekłamywanie historii. Jaki jest tego cel?

W nowej wersji historii Polska z ofiary II wojny światowej staje się współsprawcą, na dodatek państwem zbudowanym w dużej mierze na ziemiach kulturowo do niej nienależących, takich jak np. Śląsk. Kiedy dawny funkcjonariusz niemieckiego nazistowskiego wywiadu, a późniejszy

twórca służb wywiadowczych Republiki Federalnej Niemiec, Reinhard Gehlen, wraz ze swoimi podwładnymi wymyślał określenie „polskie obozy koncentracyjne”, zapewne nie przypuszczał, że rzeczywistość kilkadziesiąt lat później przerośnie jego najśmielsze oczekiwania. Oto dzisiaj Polska staje się oprawcą na równi z tymi,

którzy wywołali II wojnę światową. Mało tego, Polska zostaje powoli również zrównywana z Sowietami, którzy ją zwasalizowali, narzucając po 1945 r. reżim komunistyczny.

W wydanej niedawno książce Marka Łuszczyny „Mała zbrodnia. Polskie obozy koncentracyjne” autor opisuje, jak Polacy po wojnie wykorzystywali pozostawioną przez Niemców infrastrukturę, by znęcać się nad więźniami. Temat podchwycił jeden z ogólnopolskich tygodników, przeprowadzając wywiad z autorem pod znamiennym tytułem: „Po wyzwoleniu nazistowskich obozów Polacy ponownie je otworzyli?”. Autor twierdzi, że powojenne zbrodnie miały zinstytucjonalizowany państwowy charakter, a ich sprawcą było państwo polskie.

NA SOWIECKICH BAGNETACH

Polacy stają się narodem oprawców, którzy po wojnie mordowali mniejszości etniczne, wysiedlali rdzenną ludność, zamykali ją w obozach koncentracyjnych. W „polskich”, rzecz jasna, nie sowieckich, gdyż ci mieli swoje. Polacy, jak wiadomo, to straszliwi i perfidni nacjonaści, którzy nawet komunizm potrafili wykorzystać do swojego niecnego celu budowania państwa jednonarodowego. Oczywiście nie pytając o zgodę Sowietów.

Polska po 1945 r. utraciła swoje Kresy Wschodnie, przesuwając się na zachód i obejmując obszar tzw. Ziemi Odzyskanych oraz linię graniczną na Odrze i Nysie Łużyckiej. Zakończenie wojny w Europie oznaczało kolejny etap w historii: przesiedlenia milionów osób, Polaków z kresów na „Ziemie Odzyskane”, wysiedlenia Niemców z obszarów przyznanych Polsce. To nie Polacy o tym decydowali. Z kolei dla Polski i rządzących nią z woli Moskwy komunistów zagospodarowanie ziem zachodnich, zasiedlenie ich Polakami, było olbrzymim wyzwaniem. Jeszcze zanim doszło do ostatecznego pokonania Niemców, Winston Churchill miał wątpliwości co do przesiedlenia tak ogromnej ludzkiej masy. Józef Stalin uspokajał go, że Niemcy sami uciekną na myśl o spotkaniu z Armią Czerwoną. Trudno się temu dziwić, okrucieństwa, jakich dopuszczali się Sowietci, doprowadzały do panicznej ucieczki setek tysięcy Niemców, m.in. z byłego obszaru Prus Wschodnich. Sowietci, którzy mieli wiele powodów, by Niemców nienawidzić, jawili się im jako brutalna horda barbarzyńców. Skądinąd zdziczenie wojną było wówczas powszechne po obu stronach.

Jedna z uciekinierów z Dolnego Śląska, Ursula von Pless, zauważyła w swych wspomnieniach przerażające otepienie i zwyrodnienie samych Niemców znęcających się nad ciałami powieszonych niemieckich dezertów. Konkludując: „Skoro panuje takie zdziwienie, to czego spodziewać się po armii nieprzyjaciela?”.

Co ciekawe, ci, którzy dziś zrównują zbrodnie niemieckie z komunistycznymi po 1945 r. oraz oburzają się na twierdzenia, że Polska rządzona przez Sowietów była państwem w pełni zwasalizowanym, zapominają o istnieniu Niemieckiej Republiki Demokratycznej, jak gdyby chcieli ją całkowicie wymazać z historii. Taki wstydlawy, aczkolwiek nie nieznanący fakt. A przecież istnienie NRD jest faktem historycznym, a jeśli „Polska Ludowa” była państwem na tyle suwerennym, by uznawać jej politykę za reprezentowanie interesów Polaków, to dlaczego nie NRD? A jeśli istniały „polskie komunistyczne obozy koncentracyjne”, to na obszarze wschodnich Niemiec istniały również „niemieckie komunistyczne obozy koncentracyjne” zarządzane nie przez Sowietów, ale przez niemieckich komunistów?

Dziwne wydaje się to, że do tej pory w niemieckiej historiografii nikt nie zadał sobie trudu podziału na „niemieckie komunistyczne obozy koncentracyjne” i „sowieckie komunistyczne obozy koncentracyjne”. Kilka lat temu ukazała się w Niemczech książka „Terror wyparty ze świadomości. Historia i postrzeganie sowieckich obozów specjalnych w Niemczech”. Jej autorka Bettina Greiner wspomina w nich o „stalinowskich obozach specjalnych” w Niemczech i ofiarach terroru „stalinowskiego” i „NRD-owskiego”. Co ciekawe, brak w jakichkolwiek opracowaniach słowa „niemieckie” na określenie zbrodni popełnianych po 1945 r. przez

„wschodnich Niemców”; w odróżnieniu od Polski, gdzie terror komunistyczny jest już nazywany „polskim”, a komunistyczne obozy – także „polskimi”. Ani Polska po 1945 r., ani Niemiecka Republika Demokratyczna nie były państwami suwerennymi, decydującymi o swoich losach, w obu krajach sowiecki terror kontrolował każdą dziedzinę życia, bez sowieckich bagnetów niemożliwe byłoby zainstalowanie ustroju komunistycznego.

Przypomnijmy jako ciekawostkę, że w połowie 1945 r. na ziemiach „wyzwolonej” Polski stacjonowało 15 pułków Wojsk Wewnętrznych NKWD, liczących ok. 40 tys. żołnierzy, co stanowiło ponad 40 proc. wszystkich sił NKWD obecnych w Europie Środkowej. Dla porównania na obszarze wschodnich Niemiec przebywało 10 pułków NKWD. Mówienie w tym przypadku o Polsce jako kraju, który

Nieprzypadkowo główną areną głoszenia „prawdy historycznej” jest dziś Śląsk. To tam hasła o „polskich obozach” rozbrzmiewają najgłośniej

prowadził swoją politykę i decydował o kształcie ludnościowym, jest cynicznym absurdem. Być może jest to tylko jeden z etapów zrzucania win na Polskę. Może chodzi już nie tylko o zrównanie zbrodni niemieckich czasów II wojny z rzekomymi polskimi po 1945 r., lecz także usprawiedliwienie zbrodni komunistycznych jako by dziejących się z woli narodu polskiego? Polacy mieli swoje obozy i Sowietom nic do tego? Mało tego, to „nacjonalistyczny” polski rząd wykorzystywał Sowietów do własnej polityki i dokonywania czystek

etnicznych? A może nawet to Bierut wydawał polecenia Stalinowi i Berii, żądając od nich podporządkowania się nacjonalistycznej polityce swego rządu?

HISTORYCZNE PUZZLE

Na jednym ze śląskich portali pojawiła się wypowiedź profesora historii, który stwierdził wprost: „Nie widzę problemu, żeby stosować określenie »polskie obozy koncentracyjne«, tylko konieczne jest wówczas sprecyzowanie, że chodzi o obozy po II wojnie światowej i że nie była to ich oficjalna nazwa”. Na pytanie o suwerenność decyzji polskiego państwa po 1945 r. stwierdził: „[...] jeśli przyjmujemy, że Państwo Polskie po roku 1945 nie było suwerenne albo nie było w pełni suwerenne, to musimy odrzucić zasadę ciągłości prawnej Państwa Polskiego”. A zatem negując suwerenność, odrzucamy ciągłość prawną państwa, a co za tym idzie – kształt terytorialny Polski.

Może właśnie to jest prawdziwym celem głoszenia „prawdy historycznej” o „polskich obozach” i rzekomych represjach przeciwko ludności autochtonicznej po 1945 r.? Nieprzypadkowo główną areną głoszenia owej „prawdy historycznej” jest dziś Śląsk. To tam hasła o „polskich obozach koncentracyjnych” rozbrzmiewają najgłośniej. Oskarżenia pod adresem Polski o powojenne represje przeciwko autochtonom przeplatają się ze stwierdzeniami, że „Śląsk jest odrębny kulturowo od Polski”, „Ślązacy nie są Polakami”, powstania śląskie były „wojną domową”, a tak w ogóle to 1 września witano radośnie Wehrmacht na Śląsku. „Polskie obozy koncentracyjne” są jedynie fragmentem ahistorycznych puzzli, których układanie trwa w najlepsze. Jak długo potrwa i co z tego wyniknie?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



WEŹ UDZIAŁ!

V EDYCJA 26 LUTEGO 2017

zapisy na: www.tropemwilczym.pl

ORGANIZATOR GŁÓWNY



WSPÓŁORGANIZATORZY



PATRONAT HONOROWY



MECENAT



PARTNERZY



PARTNER BIEGOWY



PATRONAT MEDIALNY



Tuż po godz. 8 rano wrzuca zdjęcie z informacją, że już ma za sobą poranny basen. Podaje przepis na odżywcze śniadanie i żeby człowiek nie wiem jak się wysiłał, jego danie nigdy nie będzie wyglądało tak pięknie jak na jej zdjęciu. O ile w ogóle może podejść do zadania, bo przynajmniej – nie każdy ma w szafce sproszkowaną wodę kokosową, chlorellę czy liofilizowany szpinak. Tak, Fanpage Anny Lewandowskiej, trenerki, propagatorki zdrowego stylu życia, a prywatnie żony piłkarza Roberta Lewandowskiego, to nie jest strona dla ludzi o słabych nerwach. Ci, którzy na siłowni pojawiają się tylko tuż po Nowym Roku, a realizację postanowień o zdrowym żywieniu odkładają na dzień, kiedy będą mieć na to więcej czasu, mogą poczuć się sfrustrowani. Pani Anna nie tylko ćwiczy od samego rana, je zdrowo i bezglutenowo, lecz także na pięknie skomponowanych zdjęciach wygląda jak milion dolarów – zarówno w wieczorowej sukni na imprezie Bayeru Monachium, jak i w gimnastycznych gatkach. Fanów jej nie brakuje. Jej profil śledzi ponad 1,3 mln osób, a facebookowa strona to tylko przygrywka, bo Lewandowska ma własny blog o anglojęzycznej nazwie „Healthy Plan by Ann”, a chcącym zrzucić parę kilogramów organizuje doroczne obozy treningowe i sprzedaje autorską dietę – Diet by Ann, której filozofia oparta jest na „Trójkącie Mocy – jedzeniu funkcjonalnym, które poprawia jakość życia”. Za niecałe 100 zł możemy odchudzać się przez 100 dni, przygotowując smakołyki, na które przepisy znajdziemy w specjalnej aplikacji na smartfon. Niezbędne produkty (nie tylko wodę w proszku, lecz także sproszkowane owoce) można kupić oczywiście w sklepie Anny Lewandowskiej. Wprowadziła ona bowiem na rynek markę Foods by Ann. Komu mało, ten może nabyć płyty i ćwiczyć z Lewandowską albo zaczytywać się jej książką, która doczekała się już nawet niemieckojęzycznej wersji.

Gdy do tego wszystkiego doda się kampanie reklamowe z udziałem Anny Lewandowskiej, ambassadorowanie znanym markom odzieżowym i to, że w Internecie co kilka godzin pojawia się jakiś materiał na jej temat, można śmiało powiedzieć, iż to jedna z większych kobiecych karier w ostatnim czasie. A pani Anna ma dopiero 28 lat i nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Zapowiada,



FOT. GISEL SCHUBERT/GETTY IMAGES

Anna i kulki mocy



Agnieszka Niewińska

Żonie Roberta Lewandowskiego nazwisko z pewnością pomaga w karierze, ale zdążyła już sobie wypracować własną pozycję. Czy sportsmenka odchudzi Polskę i przejmie tytuł Trenerki Wszystkich Polek?

że chce się dalej rozwijać, bo jej cel to zmiana nawyków Polaków. W popularności goni Ewę Chodakowską nazywaną „Trenerką Wszystkich Polek”.

NAKRĘCANIE KARIERY

Szymon Sikorski, specjalista w dziedzinie PR z agencji Publicon, patrząc na kariery państwa Lewandowskich, nie ma wątpliwości, że to profesjonaliści. Podkreśla, że doskonale się uzupełniają. – Dzięki temu, że Anna Lewandowska poszła w stronę diety i fitnessu, poszerzyła się grupa ludzi, do których trafiają. Nie wszystkie kobiety interesują się piłką nożną, za to zdrowy styl życia jest w tej chwili na topie. Lewandowscy wzajemnie nakręcają swoje kariery. Robert ma wyjątkowe szczęście, bo udaje mu się unikać kontuzji, i często podkreśla, że to dzięki żonie, która dba o jego dietę – mówi Sikorski.

Mąż pani Anny nawet na zdjęciach w mediach społecznościowych występuje np. ze szklanką zdrowotnego koktajlu albo z „kulkami mocy” – specjałem, który żona serwuje mu przed ważnymi meczami. Kulki zrobione m.in. z awokado, wiórków kokosowych, syropu z daktyli i pestek dyni to zresztą klasyk wśród przepisów Lewandowskiej. Na jej stronie można znaleźć przepis na ten przysmak w kilku odsłonach.

Szymon Sikorski zaznacza, że ofensywa Anny Lewandowskiej w mediach zbiegła się w czasie z transferem „Lewego” do Bayernu Monachium. – Wcześniej w zasadzie nie było jej w mediach społecznościowych, nie występowała w tyłu kampaniach reklamowych – mówi. I dodaje, że choć Anna Lewandowska świetnie się wpisuje w karierę męża, to warto pamiętać, iż nie wzięła się znikąd. – „Lewy” był dopiero jednym z piłkarzy Lecha Poznań, kiedy ona zdobywała medale mistrzostw Polski w karate – podkreśla Sikorski.

Jej kolekcja trofeów jest okazała. Ma sześć medali mistrzostw Europy – w tym dwa złote – i trzy medale mistrzostw świata. Karate zaczęła trenować jako 13-latką. Za sprawą siostry ciotecznej Katarzyny Krzywańskiej, także mistrzyni karate, rozpoczęła treningi w Karate Klubie Pruszków. Jej trener Jerzy Szczachor podkreśla, że była niezwykle pracowitą zawodniczką. – Często muszę ją stopować, zabraniać, żeby zrobiła coś tam jeszcze, by miała więcej możliwości do regeneracji. To jest jej podstawowa cecha, myślę, że

najważniejsza. Oczywiście talent też, bo nie da się tak wysoko zająć, przebywając tylko godzinami na sali treningowej – mówił Szczachor portalowi Sport.pl, gdy pani Anna była jeszcze Anną Stachurską. Jej treningi podglądał Robert Lewandowski. Poznali się zresztą dzięki sportowi. Oboje znaleźli się na obozie dla studentów pierwszego roku AWF i okazało się, że choć uprawiają inne dyscypliny, to oboje trenują w Pruszkowie.

Sama Lewandowska podkreślała wielokrotnie, że karate wiele ją nauczyło, m.in. punktualności, mobilizacji, dążenia do założonych celów. A kolorowe media chętnie pytały, czy karate nie było reakcją na porzucenie rodziny przez ojca Anny, operatora filmowego. – Poczucie bezpieczeństwa dało mi karate – tłumaczyła w wywiadach Lewandowska, choć na ogół nie jest skłonna do opowiadania o rodzinie. Jak mówi Sikorski, m.in. z tego powodu cieszy się sporą sympatią.

– Zarówno ona, jak i on są powściągliwi, jeśli chodzi o sprzedawanie mediom historii z prywatnego życia. Poinformowanie fanów o tym, że oczekują dziecka, to w zasadzie wyjątek. Są popularni, więc jest jasne, że dziennikarze szukają o nich informacji. Jednak sami nie opowiadają zbyt wielu ciekawych historii – zwraca uwagę. I dodaje, że Lewandowska konsekwentnie unika tematów politycznych oraz światopoglądowych. – Ani na jej profilu, ani w jej wywiadach tego nie znajdziemy. Podobnie jak mąż jest bardzo profesjonalna w tym, co robi. Ona skupia się na fitnessie i diecie, on na piłce nożnej. Do tej pory nawet specjalnie nie było wiadomo np., czy wspierają WOŚP. Wiedzą, że wśród niektórych Orkiestra budzi kontrowersje. Dopiero w tym roku „Lewy” mocno wsparł akcję, wystawiając na licytację kolację w jego towarzystwie – podaje przykład.

PIERWSZA WAGS

Jarosław Stróżyk z Polsatsport.pl zwraca uwagę na coś innego. – Anna Lewandowska nie była bohaterką żadnego skandalu, a to wcale nie takie częste w środowisku żon i dziewczyn piłkarzy – mówi. I dodaje, że na Zachodzie żony, narzeczone i partnerki zawodników to już niemal instytucja. – W Wielkiej Brytanii ukuto dla nich specjalne określenie WAGs (od ang. wives and girlfriends – żony i dziewczyny – przyp. red.). Wzbudzają duże zainteresowanie, często goszczą na łamach tabloidów, są bohater-

kami skandali. U nas do tej pory tego nie było. Szlak co prawda przecierali Doda i Radosław Majdan, którego osiągnięcia są jednak nieporównywalne z tymi Roberta Lewandowskiego. Pierwszą polską WAGs jest właśnie Anna Lewandowska. Zaistnieć próbują też żona Artura Boruca i narzeczona Grzegorza Krychowiaka, ale to Lewandowska spaja środowisko, organizuje spotkania, treningi dla partnererek piłkarzy – mówi Stróżyk. Zauważa, że one często w ogóle nie pracują, i tu Lewandowska też jest wyjątkiem.

Media skrzętnie wyliczają jej gąże. Razem z mężem w pierwszym półroczu 2016 r. mieli zarobić na samych reklamach 8 mln zł, dwugodzinny trening Anny dla ciężarnych oszacowano na 11 tys. zł. Pod koniec roku ekscytowano się też nowym kontraktem „Lewego” z Bayerem Monachium wartym 15 mln euro. Piłkarska kariera jest krótka, więc nic dziwnego, że państwo Lewandowscy in-

Fanpage Anny Lewandowskiej, trenerki, a prywatnie żony piłkarza, to nie jest strona dla ludzi o słabych nerwach

westują zarobione pieniądze, i to nie tylko w apartamenty, także jak ten w luksusowej warszawskiej lokalizacji przy ul. Złotej 44. Jako współudziałowcy funduszu VC Protos angażują się w biznesy internetowe. Ostatnio zainwestowali 3,5 mln zł w serwis ślubny Wedding.pl, a wcześniej m.in. w internetowy bazar Lokalny Rolnik oraz internetową galerię handlową Allani. Wielu fanów z niecierpliwością czeka też na przyjście na świat pierwszego dziecka Lewandowskich, a specjaliści od cyferek już szacują, ile warta jest ciąża Anny Lewandowskiej. Według Press-Service Monitoringu Mediów – ponad 35 mln zł. Dla tych, którzy nieprzychylnie komentują majątek pary, Anna Lewandowska ma swoją odpowiedź. Mąż przekonał ją, że nie powinien wstydić się pieniędzy, których nie ukradła, ale które zarobiła. A ona w telewizyjnym wywiadzie wyznała jeszcze, że były w jej życiu czasy, kiedy pieniędzy nie miała, chodziła nawet w dziurawych butach. Sądząc po komentarzach, deklaracja ta przysporzyła jej sympatii.

Kontrrewolucyjne domino

WIELKA
ZMIANA



Olivier Bault

Węgry, Polska, USA, a za chwilę może i Francja – na świecie nadszedł czas prawicy. Miejsca, w których zachodzi zmiana, dobrze widać i słyszać dzięki histerii lewicowych elit



Po Węgrzech w 2010 r. i Polsce w 2015 r. w tym roku przyszła kolej na Stany Zjednoczone. Po obu stronach Atlantyku liberalna lewica cofa się przed falą konserwatywnej kontrrewolucji, choć w wielu krajach ma się jeszcze dobrze. Czy kolejnym elementem domina będzie Francja?

ABORCJA

Po kilkudziesięciu latach zмовy milczenia problem aborcji stał się we Francji jednym z tematów kampanii wyborczej. Stopniową zmianę mentalności nad Sekwaną potwierdza też rekordowa liczba uczestników Marszu dla Życia. Poszło w nim w Paryżu 50 tys. osób. Marsz oficjalnie poparło 24 biskupów.

Na takim samym marszu w Waszyngtonie pojawił się wraz z małżonką wiceprezydent Mike Pence. Media starały się umniejszać liczebność manifestantów, dobierając odpowiednie ujęcia i mówiąc o „tysiącach” czy o „dziesiątkach tysięcy” przeciwników aborcji. Jednak filmik z kamery umieszczonej na dachu przy drodze, którą szedł marsz, opublikowany w Internecie przez organizację Students for Life of America, nie pozostawia wątpliwości: zwolenników ochrony życia było kilkaset tysięcy, czyli mniej więcej tyle samo, ile osób stanęło wcześniej na proteście w obronie prawa do aborcji i przeciwko nowemu prezydentowi. – Życie znowu wygrywa w Ameryce! – oznajmił zgromadzonemu Pence. O udział w Marszu dla Życia poprosił go osobiście prezydent Donald Trump.

W Polsce PiS co prawda cofnął się w październiku przed czarnymi protestami, ale organizacje pro-life nie złożyły broni. W Sejmie leży nowa propozycja ustawy antyaborcyjnej złożona przez Federację Ruchów Obrony Życia w trybie petycji. Grając na zwłokę, 26 stycznia Komisja ds. Petycji głosami PiS i Kukiz'15 skierowała pytanie do rządu na temat jego planów w tym zakresie. Jednak sam fakt, że w kraju mającym jedne z najbardziej restrykcyjnych przepisów aborcyjnych w całej Europie toczy się batalia o to, czy te przepisy zaostrzyć, podważa przekaz europejskich elit lewicowo-liberalnych przedstawiający aborcję jako prawo każdej kobiety i w zasadzie niewinny zabieg.

Na Węgrzech prowadzona już od ponad sześciu lat polityka ma zdecydowanie prorodzinny charakter. Rząd Fideszu i jego chadeckich koalicjantów stara się promować życie i prowadzi podobnie jak w Polsce aktywną politykę prorodzinna,

dzięki której liczba aborcji, choć nadal jest wysoka, zmniejszyła się prawie o jedną czwartą między 2010 a 2015 r. Węgierski rząd ma jasny cel – doprowadzić do sytuacji, by żadna kobieta nie musiała przerywać ciąży z przyczyn materialnych.

Znamienna była reakcja Unii Europejskiej na kampanię zorganizowaną w 2011 r. przez Fidesz. Chodziło o zachęcanie do urodzenia niechcianego dziecka i oddanie go do adopcji. Francuska socjalistka zwróciła się ze skargą w tej sprawie do Viviane Reding – europejskiego komisarza ds. sprawiedliwości, praw podstawowych i obywatelstwa – oskarżając węgierską kampanię (współfinansowaną ze środków UE) o sprzeczność z wartościami Unii. Komisja Europejska nakazała Węgrom oddać pieniądze.

IMIGRACJA

Kwestia obrony życia i rodziny to niejedyna dziedzina, w której widoczny jest stopniowy odwrót pokolenia rewolucji obyczajowej z 1968 r. Rośnie też opozycja do wzorców społeczeństwa otwartego à la Soros. Ważne stały się kwestie tożsamości narodowej, suwerenności, obrony interesów narodowych i ochrony granic. Prekursorem znów były Węgry Viktora Orbána. W 2015 r. głośno akcentowały zagrożenie dla Europy, które niesie ze sobą masowa imigracja muzułmańska. Gdy wówczas ruszyła budowa płotu na południowej granicy Węgier, Viktor Orbán był za to w UE atakowany. I wydawał się osamotniony. Na szczycie Rady Europejskiej we wrześniu 2015 r., pomimo wcześniejszych zapewnień rządu Ewy Kopacz co do sprzeciwu Polski wobec planów przymusowego rozmieszczania nielegalnych imigrantów na całym kontynencie, Orbán mógł liczyć jedynie na poparcie Czech, Słowacji i Rumunii, do których niedługo po szczycie dołączyła Dania.

Sytuacja zmieniła się, gdy miesiąc później PiS wygrał wybory w Polsce. Nasz kraj przyłączył się do grupy przeciwników polityki „otwartych drzwi”, promowanej przez niemiecką kanclerz Angelę Merkel. W styczniu 2016 r. doszło do podobnego zwrotu w polityce zagranicznej Austrii. Chociaż kandydat partii FPÖ przegrał wybory prezydenckie, to ugrupowanie liberalno-konserwatywne, wyznające wartości chrześcijańskie, prorodzinne i patriotyczne, przeciwstawiające się masowej imigracji i islamizacji Europy, jest na czele sondaży. I dlatego Wiedeń od roku prowadzi politykę zbliżoną do węgierskiej.

Po Danii, która zmieniła nastawienie do masowej imigracji, nawet w Szwecji mówi się o możliwości sojuszu między liberalno-konserwatywnymi moderatami a antyimigracyjną, narodowo-konserwatywną partią Szwedzkich Demokratów. To niejedyny cios dla zwolenników otwartych granic. Niebawem naród brytyjski rozpocznie procedurę oderwania się od Unii Europejskiej i odzyska pełną suwerenność oraz kontrolę własnych granic.

Prezydent USA wpisuje się w tę tendencję powrotu do modelu odrębnych, suwerennych, zachowujących własną tożsamość i współpracujących ze sobą państw narodowych. A pierwsze decyzje Donalda Trumpa pokazują, że na wzór innych „populistów” (kwalifikacja używana przez lewicowo-liberalne media) typu Viktor Orbán czy Jarosław Kaczyński zamierza dotrzymać obietnic wyborczych, w tym także w kwestii wydalania milionów nielegalnych imigrantów pochodzących z Meksyku i budowy muru na całej długości granicy z tym krajem.

W marcu odbędą się w Holandii wybory parlamentarne, które prawdopodobnie wygra antyimigracyjna, antyislamska, eurosceptyczna partia Geerta Wildersa. Chociaż może on nie objąć funkcji premiera z powodu niechęci innych partii do tworzenia z nim koalicji, to już widać, jak jego wysokie notowania wpływają na retorykę rządzących. Premier Mark Rutte w styczniowym wywiadzie stwierdził, że jeśli imigrantom nie podoba się w Holandii, to najlepiej zrobią, jeśli wyjadą.

W kwietniu i maju przyjdzie kolej na Francję. Jeśli zgodnie z sondażami do drugiej tury wyborów zakwalifikują się liderka socjalno-konserwatywnego Frontu Narodowego Marine Le Pen i zwycięzca wyborów centroprawicy François Fillon, to w wersji light (zwycięstwo Fillona w drugiej turze) Francja de facto opuści strefę Schengen, gdyż jeśli wierzyć zapowiedziom Fillona po jego spotkaniu 23 stycznia z Angelą Merkel, to przywróci on na stałe „prawdziwe kontrole” na wszystkich swoich granicach. W wersji hard (zwycięstwo Le Pen) zorganizowane zostanie referendum w sprawie wyjścia z UE, a Francja prawdopodobnie opuści też NATO. Obaj kandydaci zapowiadają zastopowanie imigracji muzułmańskiej i twardą walkę z radykalnym islamem oraz odchodzenie od tradycyjnej pobłażliwości lewicy i centroprawicy wobec przestępców.

Włochy także zmieniają retorykę dotyczącą imigracji i 30 grudnia

■ zapowiedziały ustami ministra spraw wewnętrznych Marco Minnitiiego zamykanie w ośrodkach strzeżonych wszystkich imigrantów, którym odmówiono azylu, do momentu ich odesłania do kraju pochodzenia. We Włoszech partie niezgadające się z masową imigracją (lewicowy Ruch Pięciu Gwiazd i narodowo-chrześcijańska Liga Północna) mają razem blisko 50-procentowe poparcie w sondażach.

Podobne zapowiedzi były także słyszalne w Niemczech po ataku terrorystycznym

jakie to dobre i przyjemne, gdy lud Boży żyje razem w jedności”). Barack Obama w obu swoich przemówieniach inauguracyjnych (z lat 2009 i 2013) odwołał się co prawda w ogólnych słowach do Boga, ale nie odwołał się ani razu do Biblii. Według redaktora lewicowego portalu Huffington Post i historyka Davida Stebenne’a, porównującego przemówienia obu prezydentów, wyraźnie widać, że wizja stosunku między religią a państwem u Trumpa jest tą samą wizją, która dominowała za Atlantykiem

ograniczać dostępu do niej i na pewno nie zamierza tego zmienić w przyszłości, tak jak nie zamierza zdelegalizować „małżeństw” jedнопłciowych (w przeciwieństwie do jego głównej konkurentki Marine Le Pen). Nawet lewicowy dziennik „Le Monde” zauważył, że wypowiedzi centroprawicowego kandydata na prezydenta są ze sobą sprzeczne i wyraźnie niezgodne z Magisterium Kościoła. Tym niemniej rola religii chrześcijańskiej w prawyborach francuskiej centroprawicy tak zmartwiła drugiego lewicowego rziennika „Libération”, że w listopadzie, przed drugą turą między katolickim konserwatystą Fillonem a liberałem Juppé, z pierwszej strony tej gazety krzyczał tytuł umieszczony na tle różańca ułożonego w kontury Francji: „Ratunku, Jezus wraca!”. Dlatego też lewicowo-liberalne elity we Francji po upadku swego faworyta Alaina Juppé stawiają teraz na niezależnego kandydata – liberalnego lewicowca i byłego ministra gospodarki w socjalistycznym rządzie Vallsa, czyli na Emmanuela Macrona. Ten, dzięki masowemu poparciu finansjery i mainstreamowych mediów, nie jest bez szans, zwłaszcza że na przełomie stycznia i lutego kandydatura Fillona zdawała się już zagrożona – ujawniono, że mógł fikcyjnie zatrudniać własną żonę na lukratywnym stanowisku asystenta parlamentarnego. Niezwykła szybkość reakcji francuskiej prokuratury na te doniesienia prasowe pokazuje, że akcja musiała zostać skoordynowana przez „grupę trzymającą władzę”.

WSZĘDZIE HISTERIA

To, że „dobra zmiana” idzie przez Europę i Amerykę, najwyraźniej widać po reakcjach lewicy, która tak jak robiła to na Węgrzech, tak dziś od ponad roku w Polsce, a od niedawna także w Ameryce, podważa prawo konserwatywnej prawicy do rządzenia i realizowania programu wyborczego. Oskarżenia o wprowadzenie dyktatury czy łamanie standardów demokracji i rządów prawa są podobne w tych trzech krajach, a w każdym przypadku „totalna opozycja” i protesty uliczne są wspierane finansowo przez miliardera George’a Sorosa, wielkiego zwolennika ultraliberalnego obyczajowo społeczeństwa „otwartego” i rozmazywania tożsamości narodowych w świecie bez granic. Można się założyć, że będziemy świadkami identycznej hysterii lewicy i liberałów, gdy konserwatywna kontrrewolucja przyniesie „dobrą zmianę” w kolejnych krajach.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Wiele osób opowiedziało się „za życiem” podczas styczniowej manifestacji we Francji. FOT. JULIEN MATTIA/NURPHOTO/GETTY IMAGES

w Berlinie. Na zmianę tę również mają wpływ dobre notowania liberalno-konserwatywnej, antyimigracyjnej partii AfD.

CHRZEŚCJAŃSKA TOŻSAMOŚĆ

Nowi liderzy Węgier, Polski i Stanów Zjednoczonych różnią się od swoich poprzedników, i przede wszystkim od liderów innych krajów zachodnich, również tym, że nie ukrywają, iż ich wiara chrześcijańska wpływa na ich decyzje. W lutym 2016 r. papież Franciszek stwierdził w czasie jednej ze swych samolotowych telekonferencji na wysokości 10 tys. metrów nad ziemią, że ten, kto chce wybudować mur z Meksykiem, nie może być chrześcijaninem. Tymczasem Donald Trump należy do Kościoła prezbiteriańskiego i choć określał siebie w przeszłości jako nieaktywnego członka swojego lokalnego Kościoła, to jest osobą wierzącą i uważa Biblię za najlepszą książkę wszech czasów. Jego wiara chrześcijańska jest zresztą dużo bardziej oczywista niż wiara jego poprzednika i ulubieńca środowisk lewicowo-liberalnych – Baracka Husseina Obamy. W swoim przemówieniu inauguracyjnym prezydent Trump odwołał się kilka razy do Boga („Będziemy chronieni przez wielkich ludzi naszej armii i naszych służb porządkowych oraz, co najważniejsze, jesteśmy chronieni przez Boga”; „Biblia mówi nam:

do końca lat 60., kiedy Amerykanie uważali siebie za naród chrześcijański, choć instytucje państwowe traktowały wszystkie wyznania jednakowo.

Pomimo różnic trudno nie dostrzegać związku takiej postawy chociażby z aktem przyjęcia Jezusa Chrystusa za Króla i Pana w Łagiewnikach w listopadzie ubiegłego roku w obecności prezydenta Andrzeja Dudy i dwóch ministrów rządu premier Beaty Szydło. Dla Francuzów, Niemców czy Brytyjczyków taka postawa najwyższych władz państwowych jest czymś niezrozumiałym, a w przypadku elit lewicowo-liberalnych nawet bardzo irytującym. Podobnie jak irytujące jest to, że węgierski premier Viktor Orbán, będący wiernym Kalwińskiego Kościoła Reformowanego, twierdzi, iż chrześcijaninem jest nie tylko w niedzielę i że jego wiara chrześcijańska wpływa na jego decyzje. Takie zachowania i deklaracje liderów wymienionych trzech krajów bardzo mocno kontrastują z postawą Francuza François Fillona. Mimo że Fillon wygrał prawyborzy centroprawicy nad Sekwaną, przedstawiając siebie jako wierzącego katolika i wielkiego zwolennika obrony tradycji oraz wartości chrześcijańskich, w przypadku aborcji zarzekał się przed prawyborami, że choć jako katolikowi trudno mu aborcję akceptować, to jako polityk absolutnie nigdy nie próbował



Z prof. Ryszardem Legutką,
filozofem, europosem Prawa
i Sprawiedliwości
rozmawia Maciej Pieczyński

**WIELKA
ZMIANA**

Główny nurt się załamał

MACIEJ PIECZYŃSKI: Czy mamy do czynienia z konserwatywną, pravicową kontrrewolucją na świecie?

PROF. RYSZARD LEGUTKO: Taki wniosek jest przedwczesny. Na pewno mamy do czynienia ze zmianą. Nazwałbym ją załamaniem się polityki głównego nurtu, która rządziła światem zachodnim przez ostatnie dziesięciolecia, sprawiając wrażenie bezalternatywności. Główny nurt jest swoistym aliansem lewicy i prawicy. Prawica poddała się ideologii lewicowej, a lewica zrezygnowała z najbardziej radykalnych haseł. Na przykładzie Europy Zachodniej widać, że różnica między lewicą a prawicą jest niewielka. Przecież, by dać przykład, właśnie konserwatyści wprowadzili w Wielkiej Brytanii coś tak absurdałnego jak „małżeństwo” homoseksualne, które pierwotnie było radykalnym hasłem lewicy, kiedyś kategorycznie i z oburzeniem odrzucanym przez partie prawicowe.

Czyli główny nurt załamał się na Zachodzie, zanim u nas zapanował?

U nas główny nurt wygrywał wybory, ale nigdy nie miał pełnej kontroli, bo duża część Polski jest dość konserwatywna. Tego nie można powiedzieć o krajach zachodu Europy ani Stanach Zjednoczonych. Na razie dochodzi tam do buntu przeciw politycznej poprawności, czego dowodem było zwycięstwo Trumpa. Czy za tym pójdą inne rzeczy, takie jak odpowiednie nominacje do Sądu Najwyższego w Ameryce, zoba-

czymy. Jeśli chodzi o Francję, to nawet jeśli zwycięży Marine Le Pen, polityczna poprawność zapewne ucierpi, natomiast stąd ciągle jeszcze daleko do konserwatywnej rewolucji. Francja jest krajem mocno zsekularyzowanym, od wieków oddającym hołdy bożkom postępu.

Tak czy inaczej, mówiąc o konserwatyzmie czy prawicy, należy chyba zaznaczyć, że chodzi o sprawy ideologiczne, bo w temacie gospodarki linia podziału między prawicą a głównym nurtem nie jest tak ostra, skoro np. Polska i Węgry stawiają raczej na etatyzm i pomoc społeczną niż na wolny rynek.

W ostatnich dziesięcioleciach to właśnie główny nurt wielbił wolny rynek, ale raczej retorycznie, bo wszędzie, nawet w Stanach Zjednoczonych, mieliśmy gospodarkę mieszaną. Gdybym miał wymienić jeszcze coś, co łączy te wszystkie ruchy i wydarzenia, które dążą do wielkiej zmiany, to wskazałbym na pragnienie suwerenności. Występuje ono zarówno w USA, jak i w Europie, we Francji i w Polsce, choć niekoniecznie w każdym przypadku hasło suwerenności znaczy to samo.

Powrót do Europy ojczyzn?

Również. W Polsce po upadku komunizmu główny nurt nie zdążył co prawda podporządkować sobie wszystkiego, ale utrwalił pewien sposób myślenia, zgodnie z którym rozwiązania najlepsze dla Polski zostały już wymyślane, my musimy te rozwiązania imitować, a kontrolę nad tym wdrożeniem powin-

ny sprawować podmioty zewnętrzne, głównie europejskie. Powrót do idei suwerenności oznacza u nas powrót do myślenia w kategoriach państwa, którego budowę po roku 1989 właściwie zlekceważyliśmy, kładąc nacisk na prywatyzację, społeczeństwo obywatelskie, Unię Europejską i uznając, że z tego wszystkiego jakieś państwo się wyłoni. I ten program okazał się fatalny w skutkach. Żeby istnieć w strukturach międzynarodowych i się rozwijać, trzeba mieć sprawne instytucje państwowe. Tej sprawności i mechanizmów rozwoju nie przyniesie nam Unia ani nikt inny. Unia zresztą już dawno przestała być wehikułem rozwoju i stabilności. Mechanizmy rozwoju i instytucje stabilnego państwa można zbudować tylko tutaj, w Polsce, własnymi siłami, często wbrew unijnej presji. Nie można ulegać presji ze strony organizacji, która w przypadku niepowodzenia przedsięwzięcia nie ponosi żadnej odpowiedzialności ani nie może być z porażki rozliczana. Wyborcy mogą rozliczać swoje partie krajowe, natomiast nie mają żadnych narzędzi, by rozliczać Komisję Europejską czy jakichś lewicowych wariatów z Parlamentu Europejskiego.

Skąd ten bunt przeciwko głównemu nurtowi na Zachodzie?

W różnych krajach jest różnie. Weźmy Francję. Myślę, że francuski ruch na rzecz suwerenności byłby znacznie słabszy, gdyby nie marna prezydentura François Hollande'a. Gdyby Francja miała taką pozycję jak wcześniej, kiedy to mówiło się, że Europą rządzi Merkozy, czyli duet Merkel-Sarkozy, to wtedy te nastroje antyunijne mogłyby być słabsze. Francuzi mieliby przekonanie, że mają wpływ na Europę. Teraz oczywiście takiego przekonania nie mają, co dodatkowo wzmacnia partie w rodzaju Frontu Narodowego. Jednak poza tym główna przyczyna to imigracja. Zorientowano się, że tożsamość narodowa, którą traktowano jako oczywistą, może być zagrożona przez tożsamość muzułmańską, której – przy najlepszej woli – z francuską nie da się pogodzić. Dla Francuzów, przynajmniej od czasów rewolucji francuskiej, religia nigdy nie była wartością szczególnie drogą, a chrześcijan we Francji mocno gnębiono. Co innego jednak gnębienie przez francuskie państwo laickie, a co innego kapitulacja tego państwa przed milionami muzułmanów, co do których

ma się wątpliwości, czy w ogóle są Francuzami, nawet w najluźniejszym sensie tego słowa.

A Niemcy? Merkel wycofała się częściowo ze swojej błędnej polityki imigracyjnej. Może więc jest światełko w tunelu?

Niemców w ogóle nie dotyczy żadna konserwatywna zmiana. Niemcy to królestwo głównego nurtu: od momentu powstania po wojnie, z krótkimi przerwami, rządziła w Niemczech wielka koalicja. Na razie nie ma tam takiego zróżnicowania, które mogłoby napędzać dynamikę ideowych zmian.

Alternatywą dla obecnej kanclerz jest Martin Schulz. Czyba Merkel jest mniejszym złem dla konserwatystów?

Merkel jest doświadczonym politykiem. Przewodniczący Parlamentu Europejskiego to znacznie mniejsza ranga i mniejsze doświadczenie. Schulz nie miał okazji negocjować ważnych spraw z najważniejszymi podmiotami politycznymi. Tego wszystkiego będzie musiał się uczyć. I nie wiemy, czy się nauczy. Kierowanie rządem to jest zupełnie inna polityka niż kierowanie Parlamentem Europejskim. Merkel zrobiła jeden straszny błąd, wpuszczając imigrantów do Europy, przez co rozpętała gigantyczny kryzys, ale mimo wszystko jest to polityk bardziej roztropny. Chociaż niestety ona również reprezentuje typową niemiecką arogancję.

Jednak z histerii proimigracyjnej wycofała się z pragmatycznych względów...

Tylko do pewnego stopnia. Pamiętamy, że jest pod dużą presją i gwałtownego zwrotu dokonać nie może, bo by się skompromitowała. W każdym razie twierdzę, że Niemcy są jak najdalej od jakiegokolwiek rewolucji prawicowej. U nich jeszcze długo będzie tak, jak było.

Jaką rolę odgrywa tutaj Polska? Po pierwsze, Merkel przyjeżdża do Jarosława Kaczyńskiego. Po drugie, Niemcy w pewnym sensie przyznali rację Polsce w sprawie polityki imigracyjnej i zagrożenia rosyjskim imperializmem... Jesteśmy awangardą zmian?

W jakimś zakresie tak. Byliśmy jednym z pierwszych krajów, który kontestował monolit polityczny głównego nurtu, za co nam się dostało. Obecne jego załamanie nam służy, wzmacniając naszą pozycję, i myślę, że per saldo dobrze się przysłuży światu. Niestety, nie wszędzie on się ła-



FOT. KRYSZTOF KWIATKOWSKI/AGF

mie. W mediach nadal mocno się trzyma. Polskie media, przy wszystkich złych rzeczach, które można o nich powiedzieć, są rzeczywiście zróżnicowane i jest w nich wielość głosów. Natomiast w Europie Zachodniej już nie. O mediach niemieckich da się powiedzieć to, co kiedyś Kisiel mówił o mediach PRL-owskich: pracuje w nich jeden dziennikarz, który posługuje się wieloma nazwiskami.

To może będzie reforma Unii w kierunku Europy ojczyzn?

Jeszcze nieprędko, choć mam nadzieję, że w końcu to się stanie. Na razie opór stawiają władze unijne zdominowane przez twardogłowych w rodzaju Jeana-Claude'a Junckera i Fransa Timmermansa. Nie przyjmują do wiadomości kryzysu i dalej uważają, że Unia ma być coraz bardziej scentralizowana: wspólna armia, wspólny minister finansów. Czytając treść porozumienia zawartego przez Europejską Partię Ludową (EPP) i europejskich liberałów (ALDE), można pomyśleć, że nie ma żadnej „prawicowej rewolucji”. Ten dokument to jedna wielka lewicowo-liberalna litania pisana przez i dla twardogłowych eurofederalistów. Jeśli ten program będzie realizowany, to czekają nas nowe kryzysy i nowe exity.

Antonio Tajani, nowy przewodniczący Parlamentu Europejskiego, mówi o sobie „demokratyczny katolik”. Czy to tylko mniejsze zło niż Martin Schulz czy jednak realna „dobra zmiana”?

Był to najlepszy możliwy wybór. To od wielu lat pierwszy konserwatysta na tym stanowisku. Problem w tym, że Tajani nie jest samodzielny, bo reprezentuje Europejską Partię Ludową, która wysyła sprzeczne sygnały – od horrendalnie agresywnego federalizmu unijnego do zapowiedzi budowy nowej prawicowej większości w PE. Do tej zapowiedzi należy jednak podchodzić sceptycznie. Mówi się, że wielka koalicja w PE, czyli kartel EPP, socjalistów i liberałów, się rozpadła, bo socjaliści wystawili kandydata przeciw Tajanemu. Ja w to nie wierzę. Doszło do sporu personalnego, lecz nie ideowego. We wspólnym dokumencie EPP i ALDE, o którym wspominałem, nie ma niczego, pod czym socjaliści nie mogliby się podpisać. Podsumowując, dobrze, że wygrał Tajani, ale Parlament przynajmniej do następnych wyborów pozostanie taki, jaki był: reprezentujący w większości federalistyczny beton.

Przenieśmy się za ocean. Donald Trump realizuje swoje obietnice wyborcze kierowane do prawicowego elektoratu: zakaz finansowania organizacji promujących aborcję, dekret o budowie muru na granicy z Meksykiem, zakaz wjazdu dla imigrantów...

Widać więc, że realizuje to, co obiecał. Czy uda mu się dalej trwać w konsekwencji i przesunąć Amerykę na prawo, zobaczymy. Trump ma komfortową sytuację wewnętrzną, bo republikanie sprawują władzę w większości stanów i w instytucjach federalnych. Nie musi więc się liczyć z opozycją, choć ta jest wściekła, niemal tak furiacka jak u nas w Polsce, a niekiedy jeszcze gorsza. Główny nurt nie umie przegrywać. Ta niby cywilizowana elita, gdy tylko przegra, zmienia się w stado żuli i posługuje się odpowiednim dla nich językiem. „Jak go spotkam, to dam mu w mordę” – to mniej więcej typowa retoryka anty-trumpowska. Opozycje totalne w Polsce i w Ameryce zachowują się podobnie: głupio i chamsko.

Unia już dawno przestała być wehikułem rozwoju i stabilności. Mechanizmy rozwoju i instytucje stabilnego państwa można zbudować tylko tutaj, w Polsce

Jednak z drugiej strony konserwatyizm to też izolacjonizm. Konserwatywnymi ideami szermuje Putin, ciesząc się sympatią wielu ruchów prawicowych w Europie. Czy aby ta rewolucja nie skończy się tym, że staniemy się przestrzenią wolnych elektronów, z których te słabsze będą ulegały presji tych silniejszych?

Amerykański izolacjonizm w swojej klasycznej, XIX-wiecznej wersji, już praktycznie nie istnieje.

Trump jednak chciałby go wskrzesić.

Amerykanie są zaangażowani w różne międzynarodowe alianse polityczne, z których nie tak łatwo byłoby im się wyplątać. Poza tym ten rzekomy izolacjonizm w wykonaniu Trumpa nie polega przecież na wycofaniu się z sojuszy, lecz na zwiększeniu wymagań finansowych wobec sojuszników. Z tego rzeczywiście wyniknie awantura, bo

nikt w Europie nie chce płacić więcej niż do tej pory za amerykańskie wsparcie. Można jednak na to patrzeć z drugiej strony. Jeśli europejskie ramię NATO zaktywizuje się pod presją amerykańską, to nam to wyjdzie na dobre.

Reasumując: konserwatyizm trzyma się mocno.

Nie przyzwyczajałbym się do tej tezy. Powtarzam: możemy mówić o zmęczeniu polityczną poprawnością, ale na razie nie o powrocie konserwatyzmu, w każdym razie poza Polską i, być może, Węgrami. Jednak jeśli za rewolucję konserwatywną uznalibyśmy odkręcenie np. szalonego prawodawstwa liberalnego, to droga jeszcze długa. Na razie nie ma co marzyć o obaleniu orzeczenia Roe versus Wade, które usankcjonowało prawo do aborcji w Stanach Zjednoczonych, ani o odwołaniu decyzji o legalizacji „małżeństw” homoseksualnych w Wielkiej Brytanii i w dziesiątkach innych krajów. Jeśli dojdzie rzeczywiście do rozbitcia głównego nurtu, a prawica odzyska swój głos i swoją tożsamość w opozycji do lewicy, jeśli doprowadzi się do ograniczenia nienasyconych apetytów instytucji unijnych, a polityczna poprawność zostanie zapędzona do kąta, to już będzie można mówić o sukcesie.

Uczestniczył pan w rozmowie Jarosława Kaczyńskiego z Angelą Merkel. Można mówić o jakimś przełomie we wzajemnych relacjach, skoro jednak kanclerz upomniała się o Tuska?

W rozmowach o reformie UE trudno o spektakularny przełom. Temat Tuska pojawił się lakonicznie, na samym końcu. Prezes przypominał znane już stanowisko PiS w tej sprawie. Rozmowa dotyczyła przyszłości Unii. Jarosław Kaczyński przedstawił nasz pogląd: zaznaczył, że zasada pomocniczości powinna być przestrzegana, że jesteśmy przeciwni dzikiej centralizacji Wspólnoty, dokonywanej na granicy czy też z naruszeniem prawa traktatowego. Pani kanclerz podczas spotkania nie zadeklarowała się jako zwolenniczka federalizacji. Na tę chwilę jest niechętna otwieraniu traktatów, ale uznała sensowność rozmów na ten temat, by w końcu dojść do satysfakcjonujących ustaleń. Nie ma więc w tej sprawie dramatycznych rozbieżności między Angelą Merkel i Jarosławem Kaczyńskim.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Na wystawie światowej w Paryżu w roku 1900 nasi bratankowie po raz pierwszy mieli własny pawilon. Ozdobili go wielkim malowidłem, sławiącym męstwo huzarów. Dzieło Pála Vágó obwożono potem po świecie, co przyczyniło się do umocnienia stereotypu Madziara – nieustraszonego kawalerzysty. Wkrótce został on zresztą potwierdzony na polach bitew I wojny światowej. Belle époque uwielbiała monumentalne projekty artystyczne, a Vágó miał w tej branży spore doświadczenie. Był jednym z siedmiu wspaniałych zwerbowanych przez Jana Stykę do wykonania „Panoramy siedmiogrodzkiej”, która uświetniła węgierskie obchody 50-lecia Wiosny Ludów (ale najpierw pokazano ją we Lwowie). Wcześniej pracował w zespole tworzącym milenijne „Przybycie Węgrów”. Renowację gigantycznego płótna, uszkodzonego podczas zdobywania Budapesztu przez Armię Czerwoną, wykonali specjaliści z Polski.

Z ZIEMI WŁOSKIEJ

Jak widać, ścieżki naszych bratanków wciąż przecinają się z naszymi. Mamy podobną historię. Na arenę dziejów weszliśmy niemal w tym samym momencie, z impetem, który jednak z czasem osłabł. Państwo węgierskie już w XVI w. stało się igraszką w rękach ościennych potęg. Rzeczpospolitą ten los spotkał dwa wieki później. Szlachecko-chłopski rodowód i powstańcze tradycje sprawiły, że w kulturze obu nacji łatwo jest wytropić zjawiska paralelne. Wiek XIX zastał Polskę nie tylko pozbawioną suwerenności, lecz także beznadziejnie prowincjonalną. Jednak już pod koniec stulecia w kategoriach literatura i sztuki plastyczne plasowaliśmy się w europejskiej czołówce. I podobnie jak Madziarzy potrafiłmy wypracować własny niepowtarzalny styl. Literatów ceniono u nas już wcześniej, ale swoje wielkie dni przeżywali wtedy malarze. Z kieszonko opłacanych rzemieślników awansowali na demiurgów, wyrazicieli dążeń rodaków i duchowych przywódców narodu (vide Matejko). Niestety, nadal kieszonko opłacanych, bo w odróżnieniu od kolegów znad Dunaju nie mogli liczyć na państwowego mecenasa.

Złoty wiek malarstwa węgierskiego zaczął się w 1836 r. – jak twierdzą kuratorzy wystawy pod tym samym tytułem. Wcześniej życie artystyczne w Kotlinie Panońskiej właściwie nie istniało. Jak jednak miało istnieć bez publiczności, krytyków, uczelni oraz mecenatu z prawdziwego zdarzenia? Za pędzel najczęściej

Powiew sztuki znad



Wiesław Chełmiński

Od kosmopolityzmu do sztuki narodowej i z powrotem – tak w największym skrócie można opisać drogę, jaką przeszli węgierscy artyści

chwyтали wynajęci cudzoziemcy, kulturalne nowinki docierały do Madziarów via Wiedeń. Pierwszą akademię malarską założył Włoch Jacopo Marastoni. A oficjalną stolicą był do cna zgermanizowany Preszburg, czyli dzisiejsza Bratysława.

Rok 1836 można uznać za początek nowej ery, bo wtedy Węgierskie Muzeum Narodowe kupiło pierwszą partię dzieł rodzimych artystów. A pejzażysta Károly Markó namalował, eksponowany w Krakowie, obraz „Kobiety przy studni”. Widoczne w tle antyczne ruiny nie bardzo kojarzą się z ojczyzną gulaszu. Wytlumaczenie jest proste – twórca spędził większość życia w Italii. Finansowo na tym z pewnością nie stracił. Tematy typu: „Zachód słońca na Capri”, „Wenecki handlarz ryb” miały i zawsze będą mieć wzięcie. Ówczesni artyści natchnienia szukali w Biblii i grecko-rzymskiej mitologii, bo do takiej estetyki przyzwyczajeni byli klienci. Dopiero następne pokolenie od-

kryło urodę Puszczy, Balatonu i Tatr (które wówczas były węgierskimi górami).

Półtora wieku po śmierci autor „Powołania Piotra” znów staje się popularny. To zasługa Gábora Kovácsa – bankiera i filantropa, który skupuje za granicą dzieła rodaków. I nie trzyma ich w ogniotrwałym sejfie, lecz pokazuje w galerii znajdującej się przy najbardziej prestiżowej ulicy Budapesztu. Połowa eksponatów na wystawie w krakowskim Muzeum Narodowym pochodziła właśnie ze zbiorów fundacji Kovácsa. Markó senior musi być jednym z ulubieńców kolekcjonera, skoro na aukcji w Londynie kupił od ręki 16 jego płócien.

SZABLĄ I PĘDZLEM

Dumni arystokraci, muzykujący Cyganie, szlachta biesiadująca w gospodzie – oto Węgry w pigułce. Do stworzenia tego stereotypu walenie przyczynili się XIX-wieczni malarze. Miklós Barabás, uważany za twórcę narodowego malar-

Dunaju



Károly Markó starszy „Kobiety przy studni” („Zabójcy węży”), 1836 r. FOT. WIKIPEDIA

stwa, specjalizował się w realistycznych wizerunkach VIP-ów. Uwiecznił chyba wszystkich wybitnych Madziarów swojej epoki – od wirtuoza fortepianu Ferencza Liszta do przywódcy antyhabsburskiego powstania Lajosa Kossutha. O tych dwóch słyszał chyba każdy wykształcony Polak. Mniej znany, choć dla naszych bratanków zrobił najwięcej, jest inny model Barabása – hrabia István Széchenyi. Za jego sprawą powstała Węgierska Akademia Umiejętności w Peszcie i stały most łączący to miasto z Budą. Magnat reformista przyłożył też rękę do rozwoju żeglugi na Dunaju i Balatonie, zbudowania Teatru Narodowego, pierwszego w kraju konserwatorium, banku, młyna parowego, fabryki maszyn, odlewni żelaza i klubu sportowego. Przede wszystkim zaś zbulwersował opinię publiczną, wygłaszając w senacie mowę po węgiersku. Ówczesne elity żyły bowiem w przekonaniu, że ten dziwny język nie ma żadnej przyszłości, i wola-



Viktor Madarász „Peter Zrinyi i Ferenc Frangepán w więzieniu w Wiener Neustadt”, 1864 r. FOT. WIKIPEDIA

ły porozumiewać się po niemiecku lub francusku. Ta piękna biografia ma jednak smutne zakończenie. Széchenyi przegrał walkę o reformy społeczne i przywództwo ruchu liberałów, załamał się i popełnił samobójstwo – tak jak wielu (zbyt wielu) węgierskich polityków i artystów.

Wielkość hrabiego uznawali nawet jego przeciwnicy, ale w tej romantycznej epoce rząd dusz mógł sprawować tylko poeta. „Dwa zjednoczone macie w nas plemiona / I jeszcze jakie – Węgrzy a Polacy! / Jakaż potęga zegnije im ramiona / gdy w jeden cel mkną jak ptacy?” – straszył wrogów powstania z 1848 r. Sándor Petőfi. Adiutant gen. Bema pacholęciem będąc, chciał zostać malarzem, a Orlai Petrics, jego kuzyn i rówieśnik, literatem. Pozostali tylko dziękować Bogu, że stało się odwrotnie. Petrics często portretował autora „Pieśni narodowej” i trzeba przyznać – nie czynił z niego postaci pomnikowej. Na obrazie, który przyjechał do Krakowa, wieszcz minę ma dość nietęgą. Może dlatego, że cnił fajkę o długim na metr cybuchu.

Petőfi zginął w bitwie pod Segesvárem. Ciała nie znaleziono, co stało się źródłem różnych fantastycznych teorii. Ponoć widziano go na Syberii, lecz ekshumacja domniemyanych szczątków poety przyniosła rozczarowanie – okazało się, że to kobieta w ciąży. Upadek powstania miał swoje dobre strony – zbliżył nasze narody

jak nigdy dotąd. Widać to w malarstwie historycznym, które w ówczesnej hierarchii gatunków zajmowało bezapelacyjnie pierwszą pozycję. Madziarzy, podobnie jak Polacy, tworzyli „ku pokrzepieniu serc” i „ku przestrodze”. Przypominali czasy dawnej potęgi, ale też zaprzeczające szanse i brzemienne w skutki błędy popełnione przez przodków.

KONSERWATYWNA REWOLUCJA

Publiczność w lot łapała polityczne aluzje. Oglądając „Petersa Zrinyiego i Ferencza Frangepána w więzieniu w Wiener Neustadt” czy „Aresztowanie Franciszka II Rakoczego na zamku w Nagysáros”, nie miała wątpliwości, że tak naprawdę chodzi o zaordynowane przez Franciszka Józefa prześladowania patriotów (cesarz nie był wtedy jeszcze tym dobroliwym dziadzią z anegdot). Obraz „Królowe Elżbieta i Maria przy grobie króla Ludwika w 1385 roku” symbolizował narodową żałobę po klęsce insurekcji. Zanim jednak nasi bratankowie doczekali się swojego Matejki, stała się rzecz niesłychana. Węgierskie elity zeszły z rewolucyjnej ścieżki i dogadały się z Wiedniem. Bez jednego wystrzału uzyskano faktyczną suwerenność na całym historycznym obszarze Korony św. Stefana, przy zachowaniu unii personalnej z Austrią. Daremnie Kossuth piekł się na emigracji, że to „śmierć narodu”.

■ Aby uzmysłwić sobie charakter zmiany z 1866 r., wyobraźmy sobie, że po stłumieniu powstania styczniowego Polacy pojednali się z carem, a ten w zamian za utrzymanie związku państwowego z Rosją oddał im w zarząd wszystkie ziemie należące do szlacheckiej Rzeczypospolitej przed rozbiorami. Nic dziwnego, że w drugiej połowie XIX w. mimo ponawianych zapewnień o przyjaźni drogi Sarmatów i Węgrów zaczęły się rozchodzić. Nasi bratankowie stali się wiernymi sojusznikami Niemiec. Hasło „Za wolność naszą i waszą” trafiło na śmietnik historii.

Dla artystów uгода miała tę zaletę, że zostali objęci państwowym mecenatem i zdjęto z nich obowiązek patriotyzmu typu powstańczego. Mogli teraz uprawiać „sztukę dla sztuki”. Nastąpiła też nieunikniona zmiana pokoleniowa. Sentymentalni romantycy wykształceni w Wiedniu i Monachium ustąpili miejsca paryżanom. Wzorem impresjonistów węgierscy malarze śmiało wychodzili w plener. Prowincja inspirowała ich bardziej niż Budapeszt, który wyrósł na jedną z największych metropolii ówczesnej Europy. Większość mistrzów pędzla wywodziła się z ziemianstwa i nie miała żadnych związków z miejską cyganerią.

W 1896 r. Simon Hollósy przyjechał ze studentami swojej prywatnej szkoły w Monachium na wakacje do Nagybánya. Tak powstała pierwsza i najsłynniejsza węgierska kolonia artystyczna, która wychowała co najmniej pół setki wybit-

nych malarzy. Byli tam i Polacy: przyszły ekspresjonista Konrad Krzyżanowski i kojarzony z secesją Edward Okuń. Akademickie kanony piękna odchodziły do lamusa, lecz w zamian nastąpiła istna eksplozja kolorów. Może sprawił to klimat, zdecydowanie łagodniejszy niż po północnej stronie Tatr?

ŚMIECH PRZEZ ŁZY

W tym samym roku inne wydarzenie przykuwało uwagę węgierskiej opinii publicznej. Nasi bratankowie hucznie obchodzili tysiąclecie państwowości. Z tej okazji w Budapeszcie zbudowano największy na świecie gmach parlamentu i kolej podziemną, drugą po londyńskiej. Gdzie leje się szampan, tam muszą być bąbelki. Pojawiały się więc fantasmagorie o narodzie wybranym, który ma do spełnienia wielką misję cywilizacyjną w Europie. Naukowcy przewidywali, że w XX w. 30-milionowe Węgry staną się światowym mocarstwem, a Serbia i Bułgaria dobrowolnie przyjmą kulturę i język lepiej rozwiniętego sąsiada. Najpierw trzeba było jednak zrobić porządek u siebie, czyli zmadziaryzować Słowian i Rumunów, którzy razem stanowili połowę ludności państwa.

18 lat po milenijnej fecie wybuchła I wojna światowa i z królestwa św. Stefana został tylko ogryzek. Artyści podobno mają intuicję, lecz żaden węgierski malarz nie przepowiedział katastrofy. Owszem, pod koniec wieku działało kilku symbolistów, był to jednak europejski standard.

No, chyba że poważnie potraktujemy dwóch twórców, których współcześni uważali za wariatów. Tivadar Csontváry Kosztka, z zawodu aptekarz, z zamiłowania podróżnik, na niwie sztuki zadebiutował w wieku 40 lat. Farby wytwarzał własnoręcznie. Gdy umarł z głodu, jego monumentalne obrazy (największy – „Baalbek” – ma 30 mkw. powierzchni) trafiły pod młotek. Chcieli je kupić woźnice na plandeki, lecz zostali przelicytowani przez pewnego architekta. Dzisiaj Kosztka jest uważany za jednego z największych malarzy węgierskich, a w Peczu istnieje muzeum poświęcone wyłącznie jego twórczości.

O pokolenie młodszy był Lajos Gulacsy. Dekadencki poeta, mistyk i narkoman tworzył w stylu trochę podobnym do Klimta i brytyjskich prerafaelitów. W zakładzie dla psychicznie chorych w Lipótmező, gdzie spędził ostatnie lata życia, malował dopóty, dopóki nie oślepl. Wizje tego nieszczeniaka cieszą się większym zainteresowaniem niż prace jego bardziej zrównoważonych kolegów. W Krakowie pokazano aż cztery obrazy Gulacsyego. Oprócz niego takiego wyróżnienia dostąpił tylko János Vaszary, malarz kameleon, który zaczynał od naturalizmu, a skończył jako apostoł awangardy.

Madziarzy w oszałamiającym tempie przerobili wszystkie „izmy”, lecz najbardziej zajadli nowatorzy musieli opuścić kraj, skompromitowani udziałem w bolszewickim przewrocie z 1919 r. W siłę urosli zwolennicy powrotu do tradycji i „malarzkości” w duchu Nagybánya. W międzywojniu zaznaczyły się, podobnie jak w Polsce, wpływy włoskiego Novecento. Nasi bratankowie również próbowali wypracować styl narodowy, który byłby wypadkową tradycji i nowoczesności, ale nadeszła kolejna katastrofa. Wystawę „Złoty wiek malarstwa węgierskiego” nieprzypadkowo zamykały depresyjne płótna dwóch przyciętów z kolonii artystycznej w Szentendre. Imre Ámos zakończył życie w niemieckim obozie koncentracyjnym, Lajos Vajda trzy lata wcześniej umarł na gruźlicę.

Jak głosi stare porzekadło: „Madziar weseli się, płacząc”. Najbardziej osamotniony naród Europy ma powody do melancholii, ale Paul Lendvai, autor książki „Węgry. Tysiące lat zwycięstw w klęskach”, pociesza, że zbiorowym tragediom zawsze towarzyszyły indywidualne sukcesy. Nasi bratankowie dali ludzkości zbyt wielu geniuszy, by świat zupełnie o nich zapomniał.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Árpád Feszty „Przybycie Węgrów”
(fragment panoramy), 1894 r. FOT. WIKIPEDIA



Powtórka z literatów polskich

Bohaterami „W pisarskim czyścću” Krzysztofa Maślonia są XX-wieczni pisarze. Jest ich 32. Czytamy o nich m.in., co następuje:

STANISŁAW BARAŃCZAK

„W tomie »Bóg, trąba i ojczyzna« poeta postanowił zabrać głos w temacie »słoń a sprawa polska«, a uczynił to, parodiując najbardziej znane polskie wiersze – od Mikołaja Reja do Jarosława Marka Rymkiewicza. Czytelnicy mogli więc podziwiać poczucie humoru Stanisława Barańczaka tak »przerabiającego« na przykład Jana Kasprowicza: »Rzadko na moich wargach zjawia się święta, jedyna / w dymie pożarów wędzona Najdroższa nazwa słonina«.

Dalej jest nie lepiej”.

TADEUSZ BOROWSKI

„W wydanych w 2005 roku czterotomowych »Pismach« Borowskiego czytelnik próżno będzie szukał kwestii odnoszących się do Jarosława Iwaszkiewicza. Zostały ocenzurowane (!), a brzmiały tak: »Oto dwoje nieszczęśliwych kochanków spotyka się po latach, wspominają dawne lata na Ukrainie, potem kochanka topi się w kanale weneckim. W rzeczywistości jednak kochanka nie pochodziła z Ukrainy, tylko z Warszawy, i wcale nie była kochanką, tylko szoferem. [...] O naiwności młodych adeptów literatury! Braliśmy te »wtajemniczenia« za dobrą monetę. Nie

wiedzieliśmy jeszcze wtedy, że podobne seminaria urządzał Gorki. Ale Gorki nie opowiadał o przeróbkach doświadczeń homoseksualnych na kompozycje». Niewątpliwie było to hunwejbinstwo w najczystszej postaci, podobnie jak publicznie postawione pytanie:

»Czy nie jest obroną połowicznej dzisiejszej postawy kaganie się Brandysa w »Drewnianym koniu«, że nie uczestniczył w ruchu oporu, Sandauera, że przeżył getto, moje, że przeżyłem obóz, Adolfa Rudnickiego, że nie upiekli go w piecu?«.

ROMAN BRATNY

„Przed »Rokiem w trumnie« z jego pisarstwa można było jeszcze pokpiwać, chociaż takie książki jak »Dzieci Świętej« (1980) wydawały się już tylko wredne (w »Dzieciach...« wyjątkowo paskudnie potraktował Bratny Halinę Mikołajską). Psy wieszał na opozycji, wytykając jej stalinowską proveniencję, co w wielu wypadkach było zgodne z prawdą, tyle że taką samą stalinowską przeszłość miał i on. Jan Walc podsumował go zresztą najpiękniej i najkrócej: »Został stalinistą, choć nie wierzył w Stalina«.

TEODOR BUJNICKI

„Nie zetknąłem się z afirmacją wyroku AK wykonanego na Bujnickim. Bo też jest to smutny paradoks, że akurat on zapłacił życiem w sytuacji, gdy sowiecką agenturą wileńska Armia Krajowa przeżarta była na wylot”.

ZBIGNIEW HERBERT

„Na kluczowe zapytanie o przynależność poety do Armii Krajowej Studium

Polski Podziemnej odpowiedziało:

»Przykro nam, ale w naszych archiwach nie natrafiono na ślad informacji potwierdzającej przynależność Zbigniewa Herberta do AK«. Wcześniej podobnej odpowiedzi udzieliło Koło Byłych Żołnierzy AK w Londynie”.

IRENEUSZ IREDYŃSKI

„To, co Jadwiga Staniszkis naopowiadała Cezaremu Michalskiemu o swoim pożyciu z autorem »Dnia oszusta«, może stanowić przede wszystkim bardzo ciekawy materiał dla psychologa. I dla



nikogo więcej. Za dużo tu autorytatywnych ocen, przeinaczeń, niewiarygodnych relacji. Z wyjątkami: Iredyński rzeczywiście nie znał języków obcych, a szefowi »Pegaza«, Grzegorzowi Lasocie, zgasił peta w uchu, co jednak niekoniecznie było bezpośrednim powodem zamknięcia go na trzy lata do więzienia za gwałt (nie, nie na Lasocie, bez przesady). Poza tym Iredyński nie zdał matury, a to, że był świetnie odczytany, zawdzięcza swemu stałemu i nieprzemijającemu kontaktowi z literaturą, a nie erudycji nabytej w liceum księgarskim. Tak naprawdę nie można zakwestionować jedynie tych kilku zdań Jadwigi



■ Staniszkis, przez Iredyńskiego zwanej Docencią: »Przychodzi Irek i mówi: wyznacz sobie karę. Mówię dla świętego spokoju: uderz mnie trzy razy smyczą... czy coś takiego, a dla oderwania pomyślałam sobie o procesach moskiewskich. On mnie już wcześniej czasami tak smyczą czy pękiem kluczy «karał», może nawet jakieś blizny po tym zostały, ale to była taka gra między nami...«.

TADEUSZ KONWICKI

„W swoich książkach sylwicznych obgadywał przyjaciół i kolegów po piórze. Trzeba jednak przyznać, że miernotami się nie zajmował. A nieraz mocno ukłuci przez niego pisarze i filmowcy, zachowujący na ogół olimpijski spokój, potrafili się obrazić, jak Stanisław Dygat, nad czym Konwicki szczerze bolał. Pióro miał ostre, dostało się więc od niego i Wajdzie (»Nie posiada uczniów i naśladowców. Bo nie można naśladować naśladownictwa«),



i Iwaszkiewiczowi (»Wypełnił istotną lukę w polskiej literaturze dziewiętnastowiecznej«), i Tyrmandowi (»Jeśli był antykomunistą, to tak jakby należał do jachtklubu«). Czynił jednak, rzadkie bo rzadkie, wyjątki. Po pierwsze, dla Antoniego Słonimskiego, który z kolei – z racji wieku i urzędu – szydził sobie z niego, zastanawiając się na przykład, jakie miejsce w literaturze zajmowałby jego młodszy kolega, gdyby po wielokroć opisywał nie swoje Miasto (czyli Wilno), a – dajmy na to – Bydgoszcz».

LEON KRUCZKOWSKI

„Gdy Jerzego Putramenta, innego zarządcę »masą literacką«, po cichu nazywano »farbowanym lisem«, krył się za tym pewien cień podziwu. Kruczkowskiego, owszem, jak i innych »czynowników«, bano się, ale za plecami określano mianem »drętwy muł«.

Bo też drętwy był nad wyraz. Komunistyczną nowomowę opanował do perfekcji i zadreczętał nią słuchaczy swo-

ich niezliczonych przemówień, jakby nie zwracając uwagi na to, że mówi do niekoniecznie takich samych odbiorców, jak na przykład na plenum KC czy KW. A obrastał w rozmaite funkcje partyjno-państwowe, zasiadał w prezydiach, przewodniczył obradom, reprezentował i... pieprzył bez opamiętania”.

ANDRZEJ KUŚNIEWICZ

„Ze współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa wycofał się dopiero w 1981 roku. Był już w podeszłym wieku, po wprowadzeniu stanu wojennego oddał wreszcie legitymację partyjną, nie wstąpił też do neo-zlepu, nowej organizacji pisarskiej powołanej w miejsce dawnego ZLP. Właściwie było logiczne, że przestał donosić, o kim miał bowiem sporządzać notatki. Ale może – stawia znak zapytania Joanna Siedlecka – »stan wojenny coś mu wreszcie uświadomił? Czy też dobiegający osiemdziesiątki, po drugim zawale, syty sukcesów, z rozkręconą karierą, niepotrzebującą już wsparcia SB, zaczął myśleć o własnym nekrologu i ustawiać się pod tych, na których całe życie donosił?«. W każdym razie prezydent RP Lech Wałęsa przyznał mu pośmiertnie Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski. Tego jeszcze w bogatej kolekcji odznaczeń, nie tylko polskich, nie miał”.

MAREK NOWAKOWSKI

„Mógł zostać beneficjentem III Rzeczypospolitej, tymczasem wybrał zupełnie inną drogę, nie kryjąc swego sceptycyzmu i krytycyzmu wobec środowisk, które objęły w Polsce ster rządów. W opowiadaniu »Mój Przyjaciel Pisarz« z tomu »Portret artysty z cza-



sów dojrzałości« tak mówił o swoim dojrzewaniu pisarskim: »Wiedziałem, że sztuka to nie żadna lekkość i bajeczna kraina uniesień, ale ciężka harówka, gdzie najważniejsza jest uczciwość wobec siebie i mozolne przedzieranie się przez gąszcz kłamliwych słów w poszu-

kiwaniu tego jednego jedyne, która przylega do rzeczy jak skóra do ciała«.

AGNIESZKA OSIECKA

„Zygmunt Hertz, najdowcipniejszy człowiek w Maisons-Laffitte, złośliwie skomentował wizytę Osieckiej w »Kulturze«, pisząc do Miłosza: »Z panią Passen-



tową było sztywnawo, bo sam rozumiesz, przypomniawszy się bajka o fabrykacji złota: sypiesz piasek, lejesz wodę i nie wolno myśleć o białym słoniu. Paskudztwo Passent awansowało, jak widzisz, do słoniowego formatu«. A sama Osiecka wspominała, że z ust Hertza usłyszała kiedyś dowcip: »Agnieszka nie wraca do Polski, tylko do ZAiKS-u«.

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

„Nierozumienie jego ostatnich książek wzięło się w dużej mierze z tego, że i czytelnicy, i recenzenci traktują autora »Samuela Zborowskiego« jako pisarza historycznego, a takim ten poeta i prozaik nigdy nie był. A że historia stanowi jego pasję, to zupełnie inna sprawa. Choć w równym stopniu pasją Rymkiewicza jest współczesność, żaden bowiem polski pisarz nie bierze tak aktywnego i twórczego udziału w debacie publicznej jak on. Tyle że nazwanie go pisarzem politycznym byłoby kolejnym błędem. J.M.R. najlepiej czuje się w I Rzeczypospolitej, w latach, gdy tworzył jego ukochany Jan Kochanowski, a rycerstwo – bo tak ze starodawna określa szlachtę – wszystkie te jego umiłowane podgolone łby realizują swój ideał życia: życie w wolności. Ta wolność jest dla Rymkiewicza absolutem. I w jego rozumieniu oznacza ona niezgodę na to, co nas spotyka w sporze z losem, także pojmowanym metafizycznie”.

EDWARD STACHURA

„Miał przyjaciół, miał i jeśli nie wrogów, to przeciwników tego rodzaju twórczości, jaką uprawiał. To nie przypływ złego humoru Juliana Strykowski ani

homoseksualna zazdrość stały się powodem opuszczenia »Twórczości« przez wieloletniego kierownika działu prozy tej redakcji. »Strykto« nie zaakceptował szkicu (traktatu?) »Fabula rasa«, odrzucił go i nie przyjął – sensownego, jak się zdaje – wyjaśnienia Iwaszkiewicza, że i najwybitniejszym autorom zdarzają się utwory zaskakująco dziwne i że w szczególnych sytuacjach warto wznieść się ponad własne sady i uprzedzenia. Inny członek tej redakcji, Andrzej Kijowski, już po śmierci Stachury zauważył w dzienniku: »Szpitale i poradnie psychiatryczne zmieniają się w centra literatury, a Związek Literatów w dom wariatów«.

JULIAN STRYKOWSKI

„Najpierw zafascynował się syjonizmem, był szomrem (kimś w rodzaju żydowskiego skauta), należał do młodzieżówki Ha-Szomer Ha-cair, ale wraz z całą organizacją zaczął ewoluować w kierunku marksizmu. W 1927 r. rozpoczął studia polonistyczne na uniwersytecie we Lwowie. Zamieszkał w żydowskim akademiku, gdzie poznał wielu studentów o poglądach komunistycznych, które wnet podzielił. Sześć lat później wyrzucono go z pracy w żydowskim gimnazjum w Płocku za agitację komunistyczną wśród młodzieży. Był już wtedy członkiem Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy. W październiku 1935 r. zaarrestowano go i w więzieniu lwowskim przesiedział dziewięć miesięcy. Wkrótce w obawie przed ponownym uwięzieniem wyjechał do Warszawy, gdzie pracował jako akwizytor w Księgarni Naukowej, publikując w żydowskim »Naszem Przeglądzie«, oczywiście w jidysz. To należy podkreślić, polszczyzna nie była pierwszym językiem autora »Austerii«.

WISŁAWA SZYMBORSKA

„W tomie wierszy »Pytania zadawań sobie« zamieściła, między innymi, utworek »Wstępującemu do partii«, ot taki poetycki adres: »Pytania brzmią ostro, / ale tak właśnie trzeba, / bo wy-

brałeś życie / komunisty i przyszłość / czeka twoich zwycięstw«.

Żywot komunisty to – gdybyśmy nie wiedzieli – stąpanie po cierniach, nie po różach. I zażarta walka o lepsze jutro dla mas pracujących, walka z bandą wyzyskiwaczy, fabrykantów i obszarników, krwiopiców. Panów i plebanów. Ci ostatni, niestety, wpisali się w biografię przyszłej autorki »Nienawiści«. Czym jest owa tytułowa nienawiść, Szyborska miała okazję dowiedzieć w 1953 roku, kiedy podpisała się pod rezolucją grupy krakowskiego oddziału Związku Literatów Polskich potępiającą duchownych skazanych w procesie księży z kurii krakowskiej. (Z siedmiu oskarżonych, na podstawie spreparowanych dowodów o szpiegostwo, troje otrzymało wyroki śmierci. W zamyśle organizatorów proces miał być preludium do rozprawy z całym polskim Kościołem).

LEOPOLD TYRMAND

„Od dawna śmiertelnie nudzą mnie opowieści o skarpetkach Leopolda, o jego



umiejętnościach tanecznych i znajomości (nieco wątpliwej) jazzu, pasjach sportowych itd. Dlatego też przypomniane we fragmentach »Listy do Amandy«, gdzie autor występuje jako obrońca biustonoszy, których zbyt chętnie – jego zdaniem – wyzbywają się współczesne kobiety, może budzić jedynie uśmiech politowania. Na pewno Tyrmand nie był Balzakiem dla gówniarzy, jak chciał tego Andrzej Kijowski. Przeciwnie, był autorem nieprawdopodobnie serio, piszącym dla dorosłych, jak książką dla dorosłych jest »Zły«, bo to powieść wcale nie o Warszawie lat pięćdziesiątych, ale przywołanie miasta, które w 1944 roku przestało istnieć. A za sprawą talentu pisarza ożyło w zupełnie innych dekoracjach».

WIKTOR WOROSZYLSKI

„Stawiał znak równości między życiem prywatnym a publicznym. Fama głosiła, że zwalczając drobnomiesz-

czański styl życia, zakazał żonie wieszać w oknach firanki. Tadeusz Drewnowski



utrzymywał, że »jednemu z przyjaciół polecił się rozwieść z żoną drobno-mieszczanką, drugiemu udzielił błogosławieństwa w romansie z dziewczyną z dobrego, rewolucyjnego domu«. Syna nazwał Feliks na cześć Dzierżyńskiego».

WOJCIECH ŻUKROWSKI

„Antysemitą, już bez jakichkolwiek nieudomówień, uznany został po tym, jak Jarosław Iwaszkiewicz ujawnił treść listu, jaki od niego otrzymał. Mowa w nim była, między innymi, o »niedoszlachtowanych Żydach«. Słowa to z całą pewnością haniebne, niemniej pochodzące z prywatnego listu, o czym na ogół się zapomina». ©

Tom, na który składają się teksty swój pierwodruk mające w »Do Rzeczy« i »Do Rzeczy Historia«, dopełniają sylwetki: Wojciecha Bąka, Mariana Brandysa, Andrzeja Bursy, Marii Dąbrowskiej, Tadeusza Gajcego, Stanisława Grochowiaka, Mieczysława Grydzewskiego, Mariana Hemara, Janusza Kasińskiego, Juliana Przybosa, Tadeusza Różewicza, Antoniego Słonimskiego, Andrzeja Trzebińskiego i Wandy Wasilewskiej. »W pisarskim czyścću« to naturalny ciąg dalszy książki wydanej przez tego samego wydawcę – Zysk i S-kę w roku 2015. Nosila ona tytuł »Od glorii do infamii«, a opowiadała m.in.



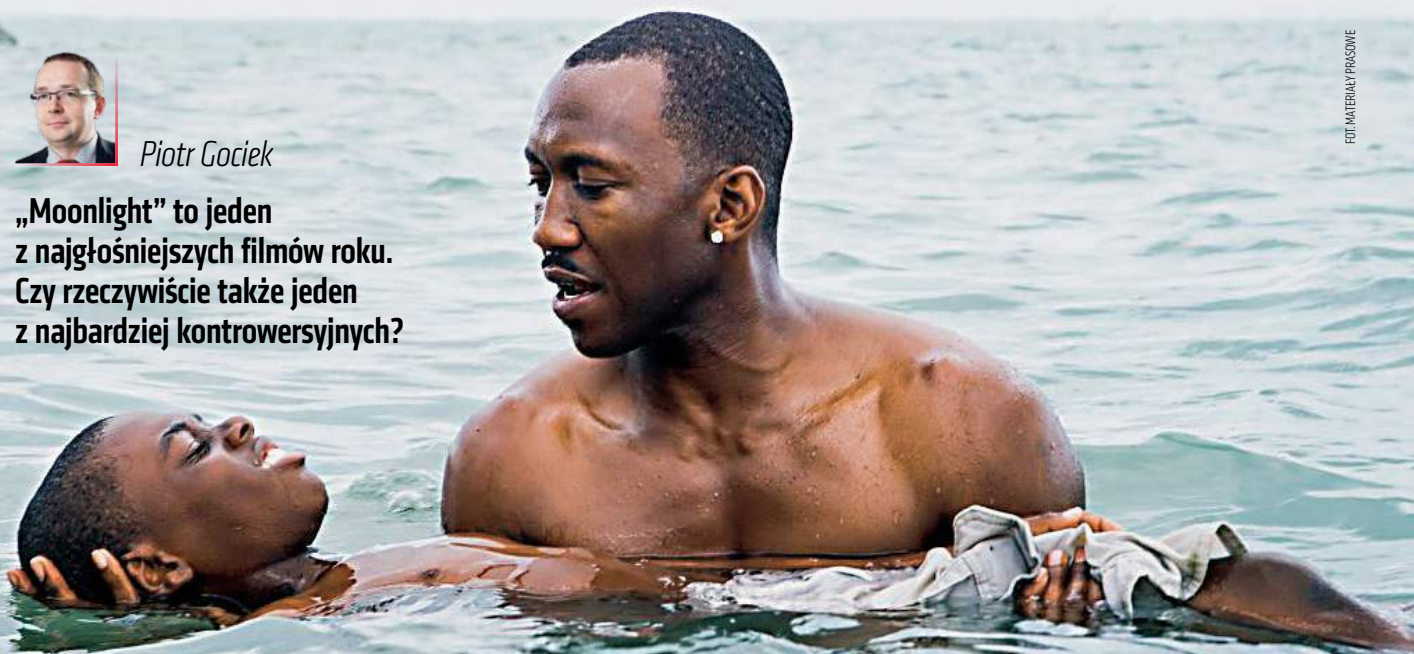
o Gustawie Herlingu-Grudzińskim, Janie Lechoni, braciach Mackiewiczach – Józefie i Stanisławie, Czesławie Miłoszu, Melchiorze Wańkowiczu. W sumie w tamtym tomie znalazło się 31 literackich portretów. I one miały swój początek w »Do Rzeczy«. (red.)





Piotr Gociek

„Moonlight” to jeden z najgłośniejszych filmów roku. Czy rzeczywiście także jeden z najbardziej kontrowersyjnych?



FOT. MATERIAŁ PRASOWY

Księżyc odludka

Dorastanie to ciężki czas. Co dopiero kiedy jest się jednocześnie biednym, czarnym i gejem? To zdanie właściwie wyczerpuje dyskusję o filmie „Moonlight”, jeśli chodzi o pytanie: „A co to właściwie za opowieść?”. Jednak spory dopiero się rozkręcają i pewnie przybiorą na sile za kilkanaście dni, kiedy poznamy tegoroczne werdykty amerykańskiej Akademii Filmowej. „Moonlight” to niespodziewane wydarzenie sezonu w USA – zdobył Złoty Glob dla najlepszego filmu, ma osiem nominacji do Oscara i półtorej setki rozmaitych innych nagród na koncie. A jest dziełem reżysera właściwie znikąd – urodzony w 1979 r., debiutował w krótkim metrażu w roku 2003. Od tej pory nakręcił kilka „shortów” i w 2008 r. jeden skromny, arthouse’owy film „Medicine for Melancholy” (nie mylić z opowiadaniem Raya Bradbury’ego o tym samym tytule). Teraz Jenkins z dnia na dzień stał się twórcą, do którego ustawiają się kolejki żądnych wywiadu dziennikarzy, a jego kolejny projekt zapowiada się

wielce ciekawie – ma to być ekranizacja znakomitej powieści graficznej Willa Eisnera „Umowa z Bogiem”.

OSCAR RÓWNOŚCIOWY

O honorach już wspomniałem, teraz o sporach – po ciągnącej się w ostatnich latach awanturze wywołanej oskarżeniami Akademii Filmowej o rasizm, jej przedstawiciele zapowiedzieli, że będą przyznawać nominacje i nagrody w sposób bardziej zróżnicowany. Za tym sformułowaniem kryje się po prostu obietnica, że będzie więcej wyróżnień dla czarnoskórych aktorów, reżyserów i ich filmów (nie tylko o tych chodzi, mowa w ogóle o „zróżnicowaniu”, czyli dopieszczeniu Latynosów, Azjatów, mniejszości seksualnych itd.). Gdy wziąć pod uwagę te deklaracje, natychmiast rodzi się pytanie: czy to „Moonlight” jest tak dobry, czy po prostu trzeba było znaleźć kandydata do wymierzenia kwotowej sprawiedliwości? A ten jest idealny – autor czarnoskóry, obsada także, w dodatku wątek homoseksualnej miłości. Po prostu Oscar równościowy, nieprawdaż?

Na szczęście „Moonlight” nie jest agitką, a nakręcony został w sposób budzący uznanie. To oczywiście nie jest film dla bardzo szerokiej publiczności, większość typowych widzów będzie sarkać (o ile nie odstraszy ich hasło: „Historia biednego, czarnego geja”), że nudny, że snuj. Typowa produkcja festiwalowa, chciałoby się powiedzieć. Skoro jednak mamy odkładać na bok uprzedzenia, to oprócz ewentualnych rasowych porzucmy i te komercyjne. I przynajmniej, że kino może być sztuką, a nie tylko kawałkiem puzzli pt. „Ile dochodów w box office?”. Chociaż – gwoli ścisłości – warto zauważyć, że i w tej kategorii „Moonlight” poradził sobie znakomicie. Nakręcony za 5 mln dol. (kwota jak na amerykańskie standardy wręcz obraźliwie niska) przyniósł już ponad 20 mln dol. wpływów. Może po prostu biały przemysł filmowy nie docenia potencjału rynku etnicznego? Przecież rok temu niechciany przez Warner Bros z powodu zbyt dużego ryzyka i pokaźnego budżetu „Straight Outta Compton” okazał się najbardziej

kasowym filmem w historii nakręconym przez czarnoskórego reżysera. Swoją drogą – czy sam fakt prowadzenia takich statystyk nie jest już objawem rasizmu?

TRUDNE RELACJE Z MATKĄ

Dajmy spokój rozważaniom o rasie i uprzedzeniach, spójrzmy na film. Skromny, ale nakręcony pewną ręką „Moonlight” to historia czarnoskórego chłopaka imieniem Chiron, którego dzieje poznajemy w trzech odstępach – dziecko, licealista, człowiek dorosły. Niemal jak u Lwa Tołstoja. Pamiętają państwo jego wspomnienia: „Dzieciństwo, lata chłopięce, młodość”? Słowo „wspomnienia” też pasuje, bo w wywiadach reżyser opowiada, jak wychował się na tym samym przedmieściu, w którym mieszka jego bohater (Liberty City, zamieszkała przez czarnoskórych biedna dzielnica Miami). I podobnie jak Chiron miał Barry Jenkins trudne relacje z matką.

W części pierwszej („Mały”) prócz matki, która niespecjalnie interesuje się wychowaniem syna (w tym czasie zarabia na narkotyki numerkami z przygodnymi znajomymi), najważniejszą osobą w życiu Chirona okazuje się poznany przypadkowo diler – Juan. Gra go nominowany do Oscara Mahershala Ali (charyzmatyczny lobbysta Remy Danton z „House of Cards”). Juan z jakiegoś powodu współczuje dzieciakowi i próbuje nieco (przy sprzeciwie biologicznej matki) zastąpić mu ojca. Gdy domem dzieciaka trzęsą awantury, może szukać schronienia u Juana. Ten uczy dzieciaka pływać, zachowywać się przy stole i prowadzi z nim poważniejsze męsko-męskie (no, chłopięco-męskie) dyskusje o życiu. Chłopak jest zamknięty w sobie, nieufny, dręczony przez rówieśników.

W części drugiej („Chiron”) nasz bohater jest już nastolatkiem, którego życie wygląda tak jak kilka lat wcześniej, ale bardziej. W nowej szkole jeszcze bardziej dają mu się we znaki prześladowcy, matka przemienia się w rozedrganą, agresywną ćpunę, a spokojny kąt dalej może znaleźć u Juana, tyle tylko że jego dorosły przyjaciel już nie żyje (nie wiemy, jak zginął, w domyśle padł ofiarą jakichś bandyckich porachunków). Wdowa po Juanie, Teresa, jest ostatnim dorosłym, jakiemu ufa Chiron. Do czasu. W części drugiej dojdzie także do wydarzeń, które na zawsze odmienią życie bohatera.

Część trzecia („Czarny”) to już wczesna dorosłość Chirona, a akcja przenosi się

z Miami do Atlanty. Oczywiście we wszystkich segmentach postać tę odtwarza inny aktor. Małego Chirona gra debiutant Alex R. Hibbert, nastoletniego – Ashton Sanders, a dorosłego – Trevante Rhodes. Cała trójka spisuje się bardzo dobrze, zaś ten ostatni wręcz świetnie, wplatając w rolę charakterystyczne ruchy i spojrzenia młodszych kolegów. Iluzja jest pełna, wierzymy całkowicie, że to jedna i ta sama osoba w różnych fazach życia.

Imponujący jest sposób, w jaki film został opowiedziany obrazem i zmontowany. Kamera, często z ręki, podąża za bohaterem, kadry bywają piękne, lecz nie ma w nich żadnego efekciarstwa – po prostu służą temu, by jak najlepiej opowiedzieć historię i ewolucję bohatera. Montaż pomaga w tej opowieści do tego stopnia, że staje się niezauważalny, na dobrą sprawę zdajemy sobie sprawę z przerw w opowieści dopiero wtedy, gdy następuje wyciemnienie obrazu pomiędzy częściami. Nominacja oscarowa dla Jamesa Laxtona za zdjęcia jest w pełni zasłużona, podobnie jak ta dla duetu Joi McMillon i Nat Sanders za montaż. Oszczędna muzyka Nicholasa Britella („Big Short”, „Opowieść o miłości i mroku”) też robi wrażenie.

Reżyser Barry Jenkins zafascynowany jest nowym kinem azjatyckim i francuską Nową Falą, nie rysuje storyboardów do filmu, daje współpracownikom dużo miejsca na własną inwencję, ale cały czas panuje nad materiałem. Film jest estetycznie bardzo dopieszczony i nie jest to żaden hollywoodzki glamour. Kolejny plus. No i bardzo odświeżające jest oglądanie zwykłych ludzi rozmawiających o zwykłych kłopotach, a nie jakichś pacynek przedstawianych na tle greenboxów. Ta codzienność getta zirytowała zresztą część krytyków – co ciekawe, głównie czarnoskórych, którzy wyrzucają autorowi, że co postać – to stereotyp.

Wspominałem już na początku – na szczęście „Moonlight” nie jest agitką i stereotypy w oglądaniu nie przeszkadzają. Jenkins nie piętnuje, nie podlega, nie załamuje rąk nad losem mieszkańców Liberty City. Po prostu pokazuje pewien kawałek rzeczywistości, a robi to z talentem i wrażliwością artysty kina. Paradoksem –

ale i dowodem umiejętności reżyserskich Jenkinsa – jest to, że w niektórych momentach widz będzie narzekał, że ukazane na ekranie postacie nie są nazbyt oryginalne czy barwne, ale jednocześnie będzie miał kłopot z oderwaniem się od sugestywnego tonu opowieści. Chociaż mamy tu stereotypową toksyczną matkę i stereotypowych szkolnych prześladowców, tudzież nazbyt uszlachetnionego diler narkotyków, to nie jest opowieść o nich. To tylko dekoracja.

AMBITNE KINO Z SERCEM

A o czym to film w takim razie?

W pierwszej scenie z udziałem Chirona widzimy, jak ucieka przed dziećmi ze szkoły wołającymi: „Łapać pedała!”. Wśród rówieśników ma jednak także sojusznika – kumpla imieniem Kevin. Od pierwszej rozmowy między nimi widać, że dla Chirona jest on (mógłby być) kimś więcej niż powiernikiem czy kolegą. I widzimy także, że sam Kevin nie ma o tym zielonego pojęcia. Sytuacja zagaści się w części drugiej (szkoła średnia), wyjaśni zaś w finale, ale cała kwestia jest potraktowana z wielkim wyczuciem i wrażliwością.

Odludek Chiron jest wyobcowany na kilka sposobów – orientacja homoseksualna, z której zresztą na początku nie zdaje sobie sprawy – to tylko jedna ze szklanych szyb oddzielających go od reszty świata. I na dobrą sprawę, kiedy po seansie przez chwilę się zastanowimy, łatwo wyobrazimy sobie podobną fabułę, która obeszłaby się bez wątku homoseksualnego. Być samotnym oraz wyalienowanym można bowiem na wiele sposobów i z wielu przyczyn. A delikatność, z jaką rzecz potraktowano, przypomina trochę zapomniany już dziś obraz Hectora Babenco „Pocałunek kobiety pająka” (1985), z kolei opowiadanie obrazem i montażem – „Spragnionych miłości” (2000) Wong Kar Waia. Piękno kryje się w oku obserwatora – przypomina Barry Jenkins (stąd wzięta się w filmie przypowieść o świetle księżycy). Efekt? Film o miłości, sprawa płci nie ma tutaj znaczenia. Czy to wystarczy na wielkie kino? Tak bym „Moonlightu” nie nazwał. Jednak wysmakowane, ambitne kino z sercem – na pewno.



wyst. Alex R. Hibbert, Naomie Harris, Mahershala Ali, Ashton Sanders

★★★★★
REŻ. BARRY
JENKINS
„MOONLIGHT”
USA 2016



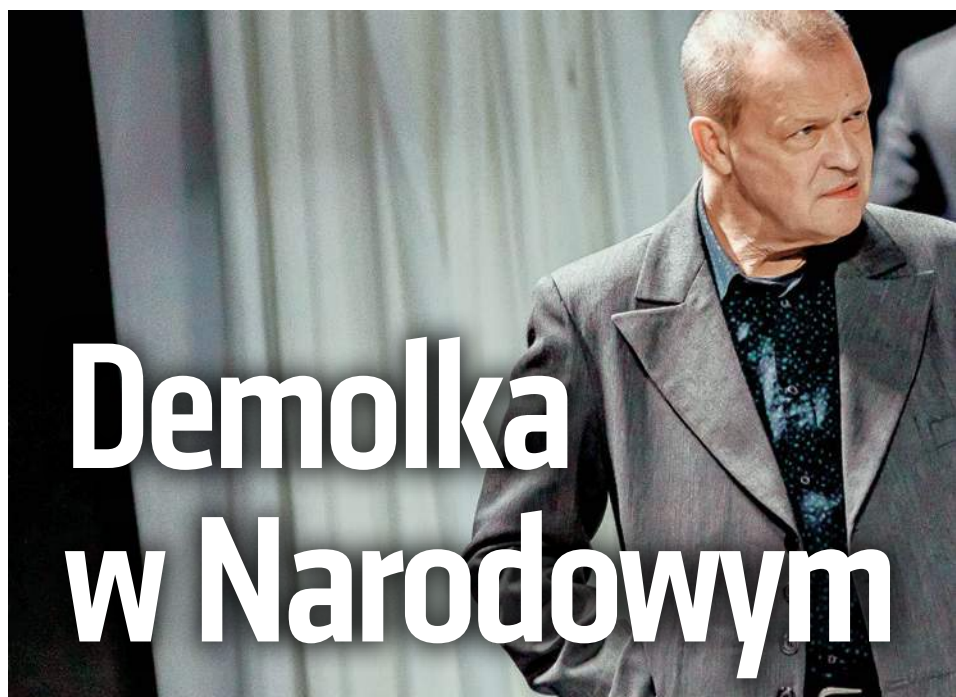
Andrzej Horubała

Wstrząsająca premiera w Teatrze Narodowym. Reżyser w niezrozumiałym akcie autodestrukcji niszczy świetnie zapowiadający się spektakl

Oczywiście można powiedzieć, że takiego gościa jak ja trudno zaspokoić. „Idiota” to przecież dla mnie bez jakiegokolwiek przesady książka kultowa. Ba, ważąca wiele w moim życiu, bardzo wiele. Egzemplarz, który mam, mógłbym adorować jak rodzinną relikwię: na pierwszej stronie ma kreślony piórem mój podpis i numer telefonu 25-28-47. Pożyczyłem tę książkę oprawną w przybrudzone nieco białe płótno 18-letniej blondyneczce, licząc, że oddzwoni, licząc, że opowieść o Myszkinie ujmie ją, że będzie chciała porozmawiać, że znajomość nasza będzie kontynuowana. Kończyło się słoneczne lato niesamowitego roku 1981, a ja z Dostojewskim w rękę uderzałem w konkury do mojej przyszłej żony, Agnieszki.

No tak: ale była to pierwsza faza obcowania z Fiodorem Michajłowiczem, faza naiwna, gdy tytułowego idiotę, powracającego z leczenia w Szwajcarii, księcia Myszkina traktowało się jako wcielenie Chrystusa, gdy szlachetne postaci kreowane przez mistrza z Petersburga przyjmowało się bardzo prostodusznie, sekundując w ich zmaganiach z cynicznym zepsutym światem. Spuszczanie wzroku, ciche szczere wyznania, załamujący się głosik i ostentacyjna naiwna dobroć bohaterów działały niesamowicie na piękne zepsute kobiety, a ja – młody czytelnik – utożsamiałem się czy to z Aloszą, czy z księciem Myszkinem, nie dostrzegając fałszu zabaw w Jezusika. Żeby odkryć, jak zakłamany jest właśnie taki szczerusek, do jakich katastrof doprowadza pozornie niezdarne szlachetniaczek – na to potrzeba było wielu, wielu lat.

Lektura mało którego pisarza tak zmienia się w czasie, lektura mało którego pisarza przechodzi przez różne fazy, mieniąc się znaczeniami, każąc inaczej stawiać znaki, zaprzeczać poprzednim doświadczeniom czytelniczym, wybuchając śmiechem nad dawnymi fascynacjami



Demolka w Narodowym

i złudzeniami. Dostrzec, że u podstaw zachowań Myszkina i Alosz leży niezdarne maskowane marzenie prawiczka o dziwce, dostrzec, jak zakłamani są ci szczerzy na pozór bohaterowie, jaki handelek chcą poprowadzić: zafascynowani upadłymi kobietami dawać im certyfikat niewinności, ze swej czystości czynić wabik, ruszać z misją nawracania jawnochrześcijan, a przecież: łydka, łydka, łydka... – och, aby delektować się tak czytany Fiodorem Michajłowiczem, trzeba było lat.

A na razie, na progu lat 80., dominował Dostojewski dość prostodusznie wchłaniany. I to on wraz z – czy ja wiem – balladami Cohena, „Absolwentem” Mike’a Nicholasa określał moje myślenie o miłości, moje rozpoznanie tajemniczej wiecznej kobiecości. Jakże to było wspaniale niedojrzałe! Jak naiwne i czyste!

Ale Fiodor Michajłowicz był przecież autorem znaczącym nie tylko dla mnie: wszyscy zaczytywaliśmy się w nim, cała nasza paczka, cały nasz krąg i przez pryzmat jego typów patrzyliśmy na świat, układaliśmy swoje relacje, przeżywaliśmy różne zauroczenia i wstrząsy.

TEATRALNA MAGIA

I przecież, gdy w przerwie spektaklu Pawła Miśkiewicza, oszołomiony fenomenalną grą Jana Frycza w roli Afanasija Iwanowicza Tockiego, fantastycznym pomysłem na ekspresyjny monolog Nastazji Filipownej (w tej roli Wiktoria Gorodeckaja), która miesząc dumę z rozpaczą, w egzaltacji przechodzi na rosyjski, ujęty

przez Dominikę Kluźniak dodając spektaklowi niesamowitej energii i dowcipu w roli generałowej Jepaczyn, podekscytowany oczekiwaniem na nadchodzącą drugą część, ciesząc się, że będę mógł zaprosić moje dzieciaki na tak wspaniałą kongenialną teatralną ucztę, nie mogłem się spodziewać nadciągającej katastrofy.

Wszystko było przygotowane wyśmienicie. Paweł Miśkiewicz, pamiętny Alosza z kilkunastu godzinnych ekstazy, „Braci Karamazow” Krystiana Lupy, teraz jako reżyser – zdawało się – pewną ręką prowadził zespół Teatru Narodowego ku sukcesowi. Pierwszy akt łączący sceny z salonu femme fatale – Nastazji Filipownej Baraszkow z opowieścią o wizycie księcia Myszkina u swej dalekiej krewnej generałowej Jepaczyn stanowił mistrzowskie otwarcie opowieści Dostojewskiego o szlachetnym i czystym młodzieńcu, który zstąpił do robaczywej petersburskiej socjety, by stać się katalizatorem wielu kompromitacji i katastrof.

Oto jesteśmy świadkami, jak znudzeni zepsuci goście bawią się w taką małą niewinną grę, ot, petits jeux „aby każdy z nas głośno opowiedział o sobie, ale coś takiego, co sam w swoim sumieniu uważa za najpodlejszy ze swoich podłych postępów”, poznajemy losy Nastazji Filipownej, widzimy śliniących się młodzieńców i starców – konkurentów do jej ręki lub łóża, słyszymy o intrygach, jakie snuł i snuje jej opiekun, patron, promotor i deprawator – Afanasij Tocki. Owszem, w tej pierwszej części nie istnieją prawie dwaj główni protagoniści



Jan Frycz wzbija się na
wzwyżny aktorskiego kunsztu
FOT. KRZYSZTOF BIELIŃSKI/TEATR NARODOWY

i nigdy być nie może), gdyby mogło tak być, by każdy z nas opisał wszystkie swoje tajemne myśli, ale tak, żeby się nie bał wyjawiać nie tylko tego, czego się boi powiedzieć i czego za nic w świecie nie powie ludziom, nie tylko tego, czego się boi powiedzieć swoim najlepszym przyjaciołom, ale nawet i tego, do czego niekiedy boi się przyznać sam przed sobą, powstałby wówczas na świecie taki smród, żebyśmy się wszyscy udusili. Oto dlaczego, nawiasem mówiąc, tak dobre są nasze światowe reguły i konwencje. Jest w nich głęboka myśl, nie powiem moralna, lecz po prostu zapobiegawcza, wygodna, co naturalnie jest tym lepsze, że moralność w gruncie rzeczy jest także wygodą, to znaczy, jest wynaleziona jedynie dla wygody...”

Och, cały Dostojewski! A jakże doskonale Frycz wspominający swe lubieżne zachowania, gdy znudzony się zabawą w metafizyka i filantropa, zaczął na swej wsi „zaznajamiać się z małymi, ładnymi dziewczynkami”... Niesłychane spektrum uczuć odbijające się nie tylko na twarzy, nie tylko w intonacji głosu, czasem kpiarskiego, czasem dramatycznie żałującego się, gdy przeziiera zeń rozpacz, smutek i lęk, ale także w kapitalnej grze ciała. To na pewno jedna z ról życia.

NIEDOCZEKANIE WASZE!

Owszem, są w tej pierwszej części lekkie zgryzoty: agresywna muzyka mająca podbijać szaleństwo i akcentować jakieś mózgu przeciążenia, zupełnie niepotrzebna wobec wyrazistej gry aktorów. Nastazja Filipowna też trochę za długo się rozpędza, nie otrzymując wsparcia partnerów, w rozbudowanym monologu i dopiero w kulminacji, gdy wyrzuca z siebie rosyjskie słowa oraz przekleństwa, staje się poruszająca i magnetyczna. Ale mocne kreacje Mariusza Benoit w roli apokaliptyka Lebidiewa, Mariusza Bonaszewskiego jako generała i przede wszystkim Domini Kluzniak powodują, że gdy już Nastazja wrzuci do kominka oferowane za nią 100 tys. rubli, gdy do szaleństwa zakochany Rogożyn uwiezie ją w dal, a Myszkina dozna ataku epilepsji, to przecież wyjdziemy na antrakt z niesamowitym apetytem na część drugą.

Co robi Miśkiewicz z tak mistrzowsko przygotowaną akcją? Jak poprowadzi bohaterów ku kulminacji, kiedy wreszcie zaiskrzy główny bohater, grany przez Pawła Tomaszewskiego, tak celebrowanego w akcji promującej premierę? Jak ułoży się jego relacja z Rogożynem?

Niestety, w drugiej części Miśkiewicz jakby postanowił zniszczyć wszystko to, co miśkiewicznie budował przez początkowe półtorej godziny, gdy czarował nas teatralną magią. Wstrząs jest niesamowity: po rewelacyjnym pierwszym akcie, który mógłby kończyć się owacją na stojąco, tak wyostriwszy apetyt na arcydzieło, reżyser serwuje nam półtorej godziny bełkotu, najgorszego manierycznego postdramatycznego teatru.

Trudno się dziwić furii, z jaką rzuca się na swoim blogu na „Idiotę” Jacek Zembrzowski – to, co manifestuje reżyser w drugim akcie, wydaje się świadomą prowokacją łączącą się z rażącą nieudolnością. Wejście w bełkot, w nieczytelność, w drażniące manieryzmy znajduje swą kulminację w scenie rozmowy Myszkina z Rogożynem. Zadżgana przez porywczego kochanka Nastazja leży upozowana na fortepianie, pokodem leżą też inni aktorzy, po scenografii kuriozalnie przesuwają się slajd z Holbeinowskim martwym Chrystusem, a dwaj aktorzy masakrują kultową scenę, jakby sztychli chcieli z naszych oczekiwań, że w Teatrze Narodowym A.D. 2017 uda się powtórzyć cud Wajdowego arcydzieła sprzed 40 prawie lat, gdy Jerzy Radziwiłowicz razem z Janem Nowickim spotykali się przy zwłokach kobiety i odprowadzali w Starym Teatrze misterium miłości i śmierci. Chcieliście tego? – jakby szyderczo zapytywał Miśkiewicz. I odpowiadał: Nie, doczekanie wasze. Chcieliście teatru emocji, chcieliście naiwnego wcielania się aktorów w rolę, ułudy rzeczywistości, o nie, nie do mnie z takimi oczekiwaniami, nie będzie po bożemu, jam – nowoczesny. Chcieliście ujrzeć Myszkina i Rogożyna jak żywych? To nie z moimi aktorami. Oni – zdadzą sprawę, zdystansują się.

I Miśkiewicz postdramatyczny, przez pełne półtorej godziny, rozwał swój spektakl. Młodzi aktorzy – Paweł Tomaszewski i Mateusz Rusin – cóż, siedzą na ławeczce, żałośni, niewiele kunsztu pokazawszy, wystudzeni przekazują tekst, potem jeszcze Myszkina w rozciągniętych do bólu monologach i duecie z Mariuszem Benoit coś tam pogada o prawosławiu, powyrzeka na katolicyzm i tyle będzie z arcydzieła.

Chciałoby się krzyknąć: Dlaczego nikt z dorosłych z Teatru Narodowego nie powstrzymał Miśkiewicza? Czemu nikt nie powiedział mu: „Stop”? Ale przecież to Miśkiewicz, dawny Alosza, facet po pięćdziesiątce, robi teraz za dorosłego i daje nam popalić jako dorosły. Smutek. Tak zmasakrować mojego „Idiotę”.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CZEŁMNIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Nie mów do mnie „Janina”



★★★★★
REŻ. AGNIESZKA
HOLLAND
„POKOT”
POLSKA/CZECHY/
NIEMCY/SZWECJA
2016

wyst. Agnieszka
Mandat,
Wiktor Zborowski,
Patrycja Volny,
Jakub Gierszał

Papier jest cierpliwy, wszystko zniesie. Taśma filmowa nie ma tak cudownych właściwości. Olga Tokarczuk, pisząc powieść „Prowadź swój pług przez kości umarłych”, beztrudno mieszała konwencje, zaś narratorką uczyniła osobę – delikatnie mówiąc – nie zrównoważoną. Czytelnicy mieli prawo poczuć się zdezorientowani, odkrywając, że dwukrotna laureatka Nike miota się między ekologicznym dreszczowcem (a może nawet horrorem), czarną komedią, moralitetem i bajką dla potłuczonych. Niektórych zniechęciło to do dalszej lektury, innych – wręcz przeciwnie.

Literatura, jak wiadomo, uruchamia wyobraźnię. Czasem do tego stopnia, że stajemy się właściwie współautorami czytanych książek. Film atakuje nie słowem, lecz obra-

zem. Brutalnie, niczym ów tytułowy pług, wydobywa na wierzch naiwności i mielizny fabuły. Konsternacja oglądających „Pokot” jest tym większa, że ekranizacji hybrydowej powieści podjęła się Agnieszka Holland, której trudno odmówić zawodowych umiejętności. Jednak na tak skrojonym materiale poległby chyba każdy reżyser.

Dziwactwami głównej bohaterki można by obdzielić kilku ludzi. Janina Duszejko, kobieta już nie pierwszej młodości, wierzy w astrologię, bije pokłony przed twórczością wyklętego poety Williama Blake’a, słucha muzyki klasycznej, kolekcjonuje szczątki zwierząt w celu ich przyszłego sklonowania i obrusza się, gdy ktoś mówi do niej po imieniu (nazwisko wszyscy przekręcają). W Warszawie może by to jakoś uszło, lecz pani Janina

mieszka w sudeckiej wsi. Okolicą rządzi równie chamski co bogaty właściciel lisiej fermy. Równie karykaturalną postacią jest komendant miejscowej policji, pouczający dobroćliwie: „Psa trzymamy w budzie na łańcuchu”. Czego jednak wymagać od łapsa, skoro nawet książdź dobrodziej naucza z ambony, że „myśliwi są ambasadorami Pana Boga”? A rolnicy, nie zważając na dyrektywy Unii Europejskiej, rąbią las, co powoduje „holokaust larw”.

Ten film o miłości do zwierząt i nienawiści do patriarchatu trudno traktować serio. No cóż, poczucie humoru nigdy nie było najmocniejszą stroną autorki „Kobiety samotnej”. Holland chyba sama wie, że „Pokot” jest porażką. Stąd biorą się rozpaczliwe próby nadania mu aktualnych politycznych sensów. Obronną ręką z pobjowiska wyszły jedynie Agnieszka Mandat, marnująca się w serialach telewizyjnych, i Jolanta Dylewska, której zdjęcia oddają – wciąż za mało znaną Polakom – urodę ziemi kłodzkiej. Jeśli jednak wierzysz, że ptasia grypa i choroba szalonych krów są zasłużoną karą dla ludzkości za łamanie praw natury, zaś sięgając do lodówki po pasztet z dzika, masz wyrzuty sumienia – gnaj do kina, bo „Pokot” to film dla ciebie. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „UKRYTE DZIAŁANIA”

„Ukryte działania” nominowano do Oscara w trzech kategoriach: najlepszy film, scenariusz adaptowany i aktorka w roli drugoplanowej (Octavia Spencer). Rzecz o ciemnoskórych kobietach, matematkach, które walnie przyczyniły się do sukcesu amerykańskiego programu kosmicznego. Reżyser Theodore Melfi może

być zaś znany ze swojego poprzedniego filmu „Mów mi Vincent” z Billem Murrayem w roli głównej. ©© **Piotr Gociek**

• „Ukryte działania” („Hidden Figures”), reż. Theodore Melfi, wyst. Taraji P. Henson, Octavia Spencer, Janelle Monáe, USA 2016

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Pokot”, reż. Agnieszka Holland, Polska/Czechy/Niemcy 2016 (recenzja powyżej)
- „Porady na Złoty”, reż. Ryszard Zadorski, Polska 2016
- „xXx: Reaktywacja” („xXx: Return of Xander Cage”), reż. D.J. Caruso, USA 2017
- „Planetarium”, reż. Rebecca Zlotowski, USA/Francja 2016

Samotna niezależność

Piekło istnieje i znajduje się w Szwecji – zapewnia dokumentalista urodzony we Włoszech. Gandini wspiera się autorytetem Zygmunta Baumana i duńskiego twórcy największego na świecie internetowego banku spermy. Skandynawki, u których odzywa się instynkt macierzyński, wolą korzystać z jego oferty, niż męczyć się w związkach. Andrzej Rosiewicz już w 1980 r. przewidział taką sytuację, śpiewając, że „Szwedki są wysokie, zgrabne, higieniczne, zdrowe / Ale ponoć dosyć chłodne, bo... polodowcowe”. Nie ma się co dziwić, że sfrustrowani Szwedzi szukają partnerek po drugiej stronie Bałtyku lub emigrują do Afryki.



★★★★★

REŻ. ERIK GANDINI
„SZWEDZKA TEORIA MIŁOŚCI”
(„THE SWEDISH THEORY OF LOVE”)
SZWECJA 2015

Idee starzeją się jak ludzie. Jeszcze niedawno Szwecja uchodziła za raj, w którym kobiety wyzwoliły się spod władzy mężczyzn, dzieci spod władzy rodziców, a państwo opiekuje się obywatelem od kołyski aż do grobowej deski. Teraz narzeka się, że w imię wolności wyhodowano tam społeczeństwo egoistów i odludków, których przeznaczeniem jest żyć i umrzeć w samotności. Coś niewątpliwie jest na rzeczy, lecz Gandini to taki sam efekciarz jak Michael Moore. Wygodniej mu głanować Amerykę, telewizję i rozbuchany konsumpcjonizm, niż ruszyć głową. Wtedy może dostrzegłby, że kij zwykle ma dwa końce. ©©

Wiesław Chelminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „DILUVION”

Wyobraź sobie, że Ziemię zalewa drugi potop, a po nim następuje kolejna epoka lodowcowa. Ludzkość, nie mając wyboru, kolonizuje głębiny oceanów i tam zaczyna podwodną egzystencję. Bez możliwości wydostania się na zewnątrz. Właśnie w takim świecie przyjdzie ci zasiąść za sterami

okrętu podwodnego w grze „Diluvion”, która łączy w sobie elementy symulatora ze szczyptą strategii i RPG. Wszystko w steampunkowym sosie, podane z przymrużeniem oka. Brzmi jak przepis na udaną produkcję i w dużej mierze tak jest – grafika nie razi, pomysł ciekawy, tylko po

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

RĘCE DO GÓRY

Aż cztery nominacje do Oscara dla filmu „Aż do piekła” to dowód na posuchę wśród tegorocznych propozycji. Historia braci napadających na banki, by za ukradzione pieniądze odzyskać rodzinną farmę, do połowy jest bardzo dobra. Świetne są dialogi, zwłaszcza między starym strażnikiem Teksasu (Jeff Bridges) a jego półindiańskim pomagierem. Bardzo dobre jest zawiązanie całej historii, ładnie nakreślono tło wydarzeń (upadający świat amerykańskiej prowincji plus ekspansja przemysłu naftowego). To kolejny filmowy głos w dyskusji o nowym wielkim kryzysie i odpowiedzialności bankierów za krach, a jednocześnie przyzwoity kryminał. W drugiej części film staje w miejscu, fabularne rozwiązanie finałowe wydaje się kiepską próbą naśladownictwa klasycznego „High Sierra” z Bogartem. I choć zdjęcia oraz montaż nadal są piękne, to jakoś szybko przestajemy się przejmować losem braci Howardów. ©©



★★★★★

REŻ. DAVID MACKENZIE
„AŻ DO PIEKŁA”
(„HELL OR HIGH WATER”)
USA 2016,
KINO ŚWIAT

wyst. Dale Dickey, Ben Foster, Chris Pine, Jeff Bridges

TAK. ALE PO CO?

Niepotrzebny remake klasycznego filmu z 1959 r. nagrodzonego 11 Oscarami. Dzieje Judy Ben Hura i jego przyjaźni z Rzymianinem Messalą zostały mocno uproszczone, zmieniło się też zakończenie. Zniknęła sekwencja rzymskiej edukacji zesłanego na galery bohatera, który przecież długo pracował, by stać się przybrany synem Rzymu i po latach otrzymał możliwość stanięcia oko w oko ze swym dawnym przyjacielem/wrogiem. „Opowieść o Chrystusie”, jak głosił w podtytule oryginał, u Wylera w 1959 r. odbywała się bez twarzy Zbawiciela, który pozostawał tajemnicą. W nowej wersji Jezus spaceruje po planie i wygłasza teksty jak w tanim telewizyjnym filmie biblijnym. Obsada ubrana jest i zachowuje się jak na planie romansu dla nastolatków. Wytchnieniem jest finałowy wyścig rydwanów, bo przynajmniej gra tam kamera, a nie bardzo przeciętni aktorzy.



★★★★★

REŻ. TIMUR BEKMAMBETOV
„BEN HUR”
USA 2016,
IMPERIAL

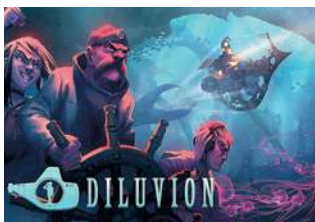
wyst. Jack Huston, Toby Kebbell, Rodrigo Santoro

©© recenzuje Piotr Gociak

★★★★★

pewnym czasie wszystko zaczyna się powtarzać. ©© **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** Symulacja
- **Platforma:** PC
- **Producent, dystrybutor:** Arachnid Games/Cdp.pl
- **Klasyfikacja wiekowa PEGI:** 16+



KRZYSZTOF
MASŁOŃ

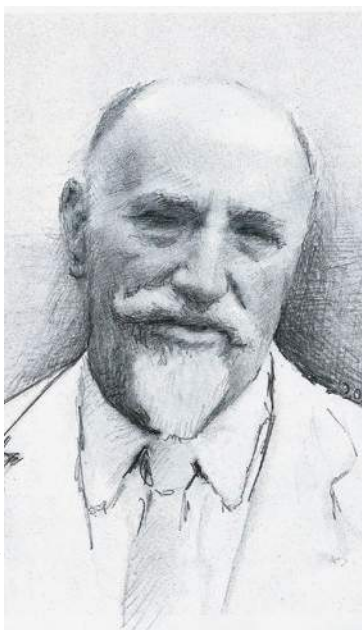
MOJA PÓŁKA

Podręcznik **niepoprawny**

Ten opowiedziany żywym, choć już nie współczesnym językiem, wykład historii Polski świetnie uzupełnić może wiadomości zawarte w oficjalnie zatwierdzonych podręcznikach naszych dziejów ojczystych. Poprawnych jak jasna cholera, a nudnych jak nieszczęście.

Feliks Koneczny (1862–1949) niepoprawny był zawsze, jego książki przepisywano sobie ręcznie (!), a i dzisiaj nie brakuje światłych mędzów oraz niewiast, którzy najchętniej spaliliby wszystkie dzieła tego wykłętego autora wraz z pamięcią o tym profesorze Uniwersytetu Wileńskiego, już przed wojną odsuniętego od pracy dydaktycznej za poglądy antysanacyjne. Po wojnie o nauczaniu młodzieży mógł sobie jedynie pomarzyć. Zdaje się, że funkcjonował jedynie jako autor bynajmniej nie politycznych tekstów w piśmie „Niedziela”. Po śmierci autora „Dziejów Polski opowiedzianych dla młodzieży” jego książek nie wznawiano, a są wśród nich takie pozycje jak m.in.: „Państwo i prawo w cywilizacji łacińskiej”, „Polskie Logos a Ethos”, „Dzieje Rosji”, „Cywilizacja żydowska”. No i najważniejsze – „O wielości cywilizacji” z 1935 r. Pierwsze wydanie angielskie tego dzieła, w latach 60. zeszłego wieku, poprzedził wstępem sam Arnold Joseph Toynbee. I to jest prawdziwa zagwozдка dla naszych „nowoczesnych”, którzy najchętniej pamięć o Konecznym – „antysemicie” przecież i „klerykale” – pogrzebaliby na wieczne czasy.

Jeśli chodzi o mnie, to wznawienie „Dziejów Polski opowiedzianych dla młodzieży” powitałem z radością. Książki autora miałem w bibliotece domowej. Jakimś cudem przetrwały wojnę, a dla mojego ojca były ważne z racji przynależności korporacyjnej do tej samej Conraddi, której Koneczny był założycielem, a potem kuratorem i honorowym filistrem.



FOT. WELDOSTILK/WIKIPEDIA

Istotniejsze było jednak co innego – otóż książki Konecznego mówiły o tym, o czym próżno było szukać wiadomości w innych tytułach. Zgoła inne były też interpretacje, co możemy teraz sprawdzić przy, pobieżnej nawet, lekturze „Dziejów Polski...”. Przykładowo o ukochanym przez naszych światłych Europejczyków królu Stasiu Feliks Koneczny pisał: „Caryca chętnie uznała kandydaturę Poniatowskiego do korony. Dobrze znała jego chwiejność, słaby charakter i zupełny brak zdolności na króla. Zresztą był to człowiek bardzo światły i doskonale wiedzący, czego państwu potrzeba, lecz zgoła nieumiejący tego zrobić. Byłby z niego doskonały bibliotekarz, dyrektor muzeum, protektor sztuk i nauk, lecz żadną miarą nie nadawał się na króla. Miał przy tym niewielkie poczucie godności osobistej, a cóż dopiero mówić o majestacie monarszym! Przywiązany ogromnie do wygodnego życia, niezdolny był do poświęceń. Prowadząc od młodości do najpóź-

niejszej starości lekkomyślne życie, wiecznie był grubo zadłużony, a pomocy szukał u... carycy Katarzyny, nie rozumiejąc nawet, jak to osłabia jego stanowisko. Mimo to uważał się za dobrego polityka i zdawało mu się, że potrafi wszystko wypolitykować, gdy tymczasem był politykiem tak nieudolnym, iż zawsze Rosja i Prusy robiły za jego plecami coś wręcz przeciwnego, niż on sobie obliczał. Rzeczywistość polityczna była zawsze inna, niż się zdawało Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu”.

Feliks Koneczny i w tej książce, i w innych swoich pracach akcentował narodowościowy charakter konfliktów polsko-niemieckich, uwypuklając znaczenie i pozytywny wpływ Kościoła na rozwój naszego społeczeństwa. Niemców zaś (a potem Krzyżaków) ustawia historyk na dziejowym ringu w przeciwieństwie do narożnika. Omawiając czasy pogańskie, powiada: „Niemcy wymyślili sobie szczególną regułę, że poganin nie jest bliźnim, jego ziemia jest jakby niczyja i wolno ją zagarniać, a pogańskich mieszkańców uważać za niewolników. Co za ohydne przekręcenie chrześcijaństwa! Toteż Czesi i Połabianie bali się takiego chrześcijaństwa i nie chcieli »wiary niemieckiej«”.

Autor, okazując radość z odzyskanej niepodległości, którą – jego zdaniem – zawdzięczaliśmy oświacie, apeluje: „Im więcej będzie w Polsce ludzi naprawdę coś umiejących, dobrze znających się na czymś, a posiadających przy tym szerokie ogólne wykształcenie, im więcej będzie szkół i to szkół najrozmaitszych, a im lepiej będą się uczyć uczniowie tych szkół, tym świetniejsza czeka Polskę przyszłość. Niemcy niczego zrobić nie potrafią; to rzecz wiadoma”.

To nie pomyłka: „Niemcy niczego zrobić nie potrafią; to rzecz wiadoma”. ©©



★★★★★
FELIKS KONECZNY
„DZIEJE POLSKI
OPOWIEDZIANE
DLA MŁODZIEŻY”
ZYSK I S-KA,
POZNAN 2017



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Siedmiu skłamanych

Chwaliliśmy w ubiegłym roku piórem Piotra Zychowicza książkę Patryka Pleskota „Zabić. Mordy polityczne w PRL”. „Przekręt” to nowa propozycja Pleskota, tym razem z podtytułem „Największy kanciarze PRL-u i III RP”.

Siedmiu bohaterów książki podzielonych zostało na trzy grupy: „Genialni iluzjoniści”, „Kalibabki” oraz „Złap mnie, jeśli potrafisz”. W pierwszej mamy m.in. Czesława Śliwę, czyli słynnego fałszywego dyplomata Jacka ben Silbersteina, o którego losach opowiadał film „Konsul”, oraz rzekomego cudotwórcę, energoterapeutę Zbigniewa Nowaka. W drugiej o uwagę czytelnika rywalizują sekskandaliści, czyli Jerzy Kalibabka oraz Anastazja Potocka. Ostatnia zaś łączy Elżysza Naszkowskiego, ochotnika SB, oraz Zdzisława Najmrodzkiego, króla ucieczek z PRL-owskich więzień.

Co zdaniem autora łączy te postacie? „Pragnienie założenia maski, udawania kogo innego, wyjścia poza siebie”. Były i wględy komercyjne – chodziło o to, by bohater był Polakiem, działał w miarę współcześnie (druga połowa XX w.) i by można było, opisując go, sięgnąć do wiarygodnych źródeł. Jednak nawet przy tych wszystkich zastrzeżeniach

zasady doboru są wątpliwe. Otrzymał zestaw ciekawych tekstów o różnych postaciach, ale nie wyszła z tego spójna książka.

Pierwsze weto – naprawdę w tym przypadku powinniśmy rozdzielić PRL i III RP. Realia, w których działali przekręciarze, wyglądały inaczej. Weto kolejne – uzasadnienia bywają wątpliwe. Elżys Naszkowski, związkowiec, esbek, agent, robił to, co robił, bo niemal od małego marzyła mu się kariera w świecie półcienia, a nie dlatego, że marzył o „wyjściu poza siebie”. Marzena Domaros vel Anastazja P., autorka głośnych „Erotycznych immunitetów”, była złodziejką i prostytutką, która tylko zaczynała jako drobna aferzystka, potem jej przebranie hrabianki było po prostu mundurkiem założonym na potrzeby operacji służb specjalnych. Po latach widać wyraźnie, że ten polityczny kontekst – kompromitacja prawicowej opozycji poprzez

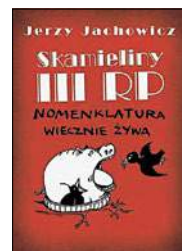
podstawioną panienkę zmyślającą niestworzone rzeczy – jest tu dużo ważniejszy od jej „pragnienia założenia maski”. Gwoli prawdy – czyta się te opowieści dobrze, research jest solidny, całość robi jednak wrażenie napisanej w pośpiechu, jakby wydawnictwo pogañało, żeby mieć następny bestseller. ©©



★★★★★
PATRYK PLESKOT
„PRZĘKREĆ.
NAJWIĘKSZY
KANCIARZE
PRL-U I III RP”
ZNAK 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Weteran i legenda polskiego dziennikarstwa ma gigantyczną wiedzę o dziejach oraz kulisach III RP, ale zbyt rzadko się nią dzieli. Zbiór krótkich felietonów z ostatnich lat układa się w polityczno-kryminalny alfabet Jachowicza.



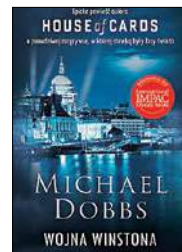
JERZY JACHOWICZ
„SKAMIELINY
III RP”
ZYSK I S-KA

Po dekadzie spędzonej na pisaniu sagi „Pan Lodo-wego Ogrodu” Grzędowicz przypomina się czytelnikom powieścią SF, której akcja rozgrywa się w 2058 r. Konceny i rządy walczą o nowe źródło energii – tytułowy pierwiastek.



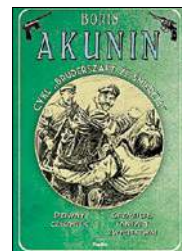
JAROSŁAW
GRZĘDOWICZ
„HEL 3”
FABRYKA SŁÓW

Autor powieści „Domek z kart” (inspiracji do powstania serialu „House of Cards”) tym razem jako autor opowieści biograficznej. Skupia się na latach 1938–1940, kiedy to Winston Churchill prowadził bój o stanowisko premiera.



MICHAEL DOBBS
„WOJNA
WINSTONA”
ZNAK

Trzecia odsłona cyklu „Brudersaft ze śmiercią” – każdy tom zawiera dwie mikropowieści. Autor serii o Eraście Fandorinie oddaje się snuciu intryg szpiegowskich retro w rywalizacji między Rosją a Niemcami.



BORIS AKUNIN
„DZIWNY
CZŁOWIEK.
GRZMIJCIE,
FANFARY
ZWYCIĘSTWA!”
REPLIKA

BESTSELLERY EMPIKU 2016:

- **Literatura polska:** Katarzyna Grochola „Przeznaczeni” (Wydawnictwo Literackie) – nowa powieść autorki „Nigdy w życiu”: pięcioro bohaterów, pięć wątków, wspólny finał.
- **Literatura zagraniczna:** Haruno Yanagihara „Małe życie” (W.A.B.) – czworo przyjaciół w Nowym Jorku, nominacja do Nagrody Bookera i National Book Award.
- **Literatura faktu:** ks. Jan Kaczkowski „Grunt pod nogami” (WAM) – autor „Życia na pełnej petardzie” o Bogu, wierze i Ewangelii. Jego pożegnania, jak się okazało, książka.
- **Literatura dla dzieci:** Nela Moła Reporterka „Śladami Neli przez dżunglę, morza i oceany” (Burda Książki) – kolejny tom ilustrowanej serii „Podróże Neli”, której narratorką jest rezolutna dziewczynka.
- **Literatura dla młodzieży:** J.K. Rowling, John Tiffany, Jack Thorne „Harry Potter i przekłute dziecko” (Media Rodzina) – dorosły Harry pracuje w Ministerstwie Magii. Szkoda, że to tekst sztuki, a nie powieść.



KONTRA/BASEM

Grammy dla Polaków

W tegorocznych nominacjach do nagród Grammy pojawiły się dwa polskie akcenty: album z muzyką chóralną Krzysztofa Pendereckiego i DVD z operą Karola Szymanowskiego „Król Roger” w nagraniu z Royal Opera House z udziałem polskich chórów, London Symphony Orchestra i z rewelacyjnym Mariuszem Kwietniem w roli głównej. Rankiem 13 lutego dowiedzieliśmy się, że nagrodę Grammy 2017 otrzymał album „Penderecki conducts Penderecki”. Nagrodzona płyta jest przekrojowym zapisem twórczości chóralnej Pendereckiego. Od słynnych „Psalmów Dawida” z 1958 r. – utworu, który torował kompozytorowi drogę do światowej kariery, przez dwie



Krzysztof Penderecki FOT. PIOTR WOJNAROWSKI/FORUM

kompozycje z 1997 r. – „Hymn do św. Wojciecha” i „Hymn do św. Daniła” – do premierowego nagrania „Dies illa” – oratorium napisanego w 2014 r. Tym samym album jest fonograficzną prapremierą dzieła napisanego dla upamiętnienia ofiar I wojny światowej, w setną rocznicę jej wybuchu. Choć kompozycje powstawały w ciągu półwiecza, to w dziełach oratoryjnych Pendereckiego daje się wyczuć jego konsekwentny, niezmienny styl. Odważny, współczesny, nowatorski, lecz niestroniący od pięknej tonalności, monumentalny, ale zawsze zaprawiony liryzmem.

Werdykt przyznający złotą statuetkę najważniejszego konkursu fonograficznego na świecie to też wyróżnienie wszystkich, którzy

wzięli udział w nagraniu: polskiej mezzosopranistki Agnieszki Rehlis, obdarzonej mocnym sopranem Finki Johanny Rusanen, śpiewającego basem, urodzonego w Moskwie Mikołaja Didenki i muzyków naszej Filharmonii Narodowej. W dotychczasowej karierze Chóru i Orkiestry FN to druga nagroda Grammy. Poprzednia w 2013 r. przypadła artystom „Narodowej” również za płytę z utworami Pendereckiego, ale wtedy muzyków prowadził maestro Antoni Wit. Tegoroczny sukces to piękny akcent, wieńczący cztery dekady pracy na stanowisku szefa chóru, prof. Henryka Wojnarowskiego. Pogratulować należy też reżyserom nagrania – Andrzejowi Sasinowi i Aleksandrze Nagórko (CD Accord). © ©



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Pamiętnik pewnej miłości

W 2011 r. Anna Maria Jopek nagrała album „Polanna”, w którego powstaniu wziął udział kubański pianista jazzowy Gonzalo Rubalcaba. Płyta zawierała polskie pieśni ludowe, kościelne i patriotyczne.

Teraz duet zinterpretował przedwojenne tanga autorstwa m.in. Władysława Dana, Mariana Hemara i Jerzego Petersburskiego. Jest też słynne żydowskie tango „Miasteczko Bełż”. Teksty Juliana Tuwima „Co nam zostało z tych lat” i „Pokoik na Hożej” (tak dla przypomnienia), a także pozostałych sześć szlagierów na trwałe zapisały się w historii rodzimej piosenki.

„Minione” to szalenie kameralna płyta (fortepian, kontrabas, perkusja). Anna Maria, śpiewając

delikatnie, momentami szeptem, pisze pamiętnik tragicznej miłości.

Gonzalo Rubalcaba (laureat dwóch nagród Grammy) traktuje oryginalną linię melodyczną jako punkt wyjścia do jazzowych interpretacji (wspinała improwizacja w „Kogo nasza miłość obchodzi”). W jego grze dyskretnie pobrzmiewa latynoska nuta. Najwyraźniej słychać ją w „Miasteczku Bełż”, w którego finale mamy uroczy dialog między fortepianem i głosem. Ukłonem w stronę latynoskiego partnera jest nagranie „Besame Mucho”. Mruczana, spowolniona wersja meksykańskiego evergreenu „Cafaj mnie mocno” doskonale wpisuje się w ideę albumu.

Płytę nagrano w Miami na Florydzie i pewnie dzięki temu każdy detal wybrzmiewa powalająco! © ©



★★★★★
ANNA MARIA
JOPEK & GONZALO
RUBALCABA
„MINIONE”
UNIVERSAL



★★★★★
WARSAW AFROBEAT
ORCHESTRA
„MAN IS ENOUGH”
POLSKIE RADIO

Multi-kulti, zabawa

na maksa! Nasz folk miesza się z berberyjską tradycją i płynnie przechodzi w afrobeat. Jedenastoosobowy kolektyw ze zmrózzonej Polski ląduje na Czarnym Łądzie, a na jego sztandarach widnieją Fela Kuti po kubistycznych przeobrażeniach. © ©



★★★★★
MIKOŁAJ HERTEL
„DŹWIĘKI
DALEKIEGO ŚWIATA”
GAD

Liryk polskiej

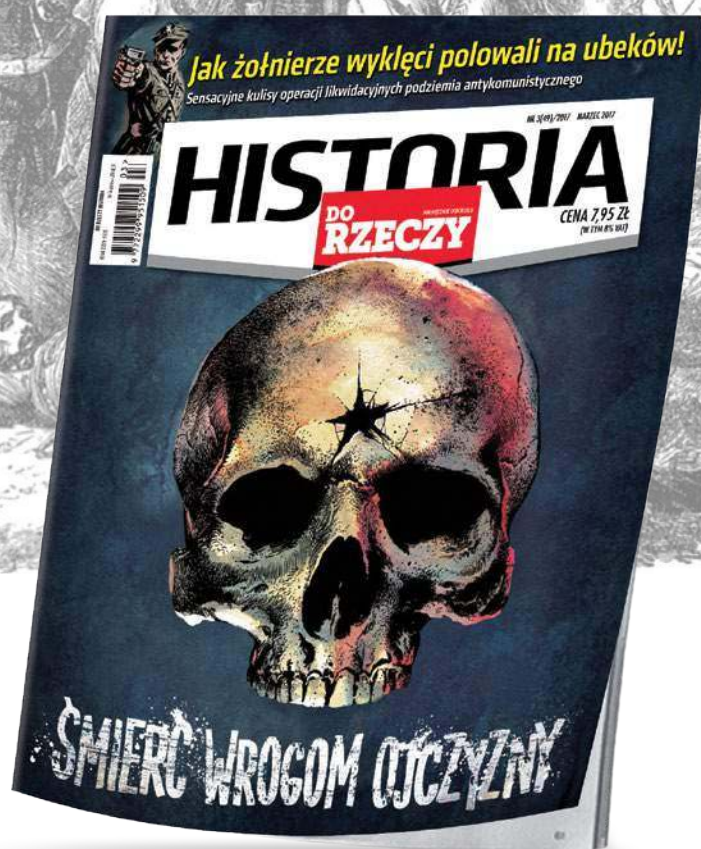
elektroniki przypomina się nagraniami sprzed 30 lat. Swego czasu były one wykorzystywane przez fonotekę TVP. Niestety, czas obszedł się nimi niedelikatnie, a dokładniej – z cyfrowymi brzmieniami. Dla dojrzałych romantyków pamiętających „Sondę”. © ©



TYLKO U NAS!
LEGENDA LWOWA: SZCZEPICIO I TOŃCIO

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

HISTORIA
DO RZECZY



NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

Arkadiusz Karbowskiak – **Akcje likwidacyjne wyklętych** / Grzegorz Motyka – **Wyklęci kontra Sowieci** / Jakub Ostromęcki – „Braveheart” a prawda historyczna / Sławomir Cenckiewicz – **Jaruzelski i kopalnia Wujek** / Marian Zacharski – **Seks agentki PRL** / Marco Patricelli – **Kulisy porwania Mussoliniego** / Sławomir Koper – **Skandale rodziny Kossaków** / Piotr Zychowicz – **Samospalenie polskiego księdza w ZSRS**

i wiele, wiele więcej

eprasa.pl 253d0d17f0



Piotr Semka

**Prawica nie musi idealizować
Ukrainy, powinna z nią rozmawiać**

Ukraina – czynnik

Podczas lipcowego szczytu NATO w Warszawie prezydent Ukrainy Petro Poroszenko złożył kwiaty i uklęknął przed pomnikiem Rzezi Wołyńskiej

FOT. MARCIN OBARA/PAP

PiS przedstawia wajchę” – ogłosił na łamach „Do Rzeczy” Tomasz Kwaśnicki, redaktor portalu Kresy.pl. Na zasadzie kontrastu przedstawił najpierw odpowiednio wybrane i opatrzone zjadliwymi komentarzami wypowiedzi nie lubianych przez siebie reprezentantów tego, co nazywane jest w części polskiej prawicy „giedroycyzmem” – czyli naiwnym nastawieniem proukraińskim. Dopiero na tym tle Kwaśnicki przynosi zwolennikom swojej publicystyki krzepiącą nowinę – sam Jarosław Kaczyński zmienia kurs.

Jako dowód publicysta przedstawia jedno z wydań telewizyjnych „Wiadomości”, w których reporter wygłosił opinię o tym, że „na Ukrainie kult Bandery kwitnie”. Dla Kwaśnickiego znaczące było umieszczenie we flagowym programie informacyjnym TVP wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego: „Prezydent Ukrainy nie może mieć wątpliwości, że Polska na taką sytuację, w której oprawcy, masowi mordercy, ludobójcy są na Ukrainie bohaterami, się nie zgadza”.

Jeszcze bardziej karkołomne było powiązanie domniemanego zwrotu PiS z wypowiedzią Kaczyńskiego o końcu epoki nacisków zewnętrznych na Polskę. Kwaśnicki interpretował to jako echo nacisków dyplomatów USA w epoce Baracka Obamy na łagodzenie relacji z Kijowem.

I na koniec bomba – Kwaśnicki ujawnia to, co spowodowało ostateczną decyzję o zmianie kursu PiS: „26 stycznia media obiegrała informacja mówiąca, że na biurku Donalda Trumpa znajduje się już czekający na prezydencki podpis dekret o zniesieniu sankcji na Rosję”.

Brzmi efektownie. Tyle że upływ czasu dla niektórych tekstów bywa bezlitosny. Od 26 stycznia minęły trzy tygodnie, a Trump nie tylko nie wycofał sankcji, lecz także jeszcze odwołał z hukiem doradcę do spraw bezpieczeństwa, gen. Michaela Flynna za zbyt nieładzenie Rosjan wizją zakończenia embarga.

Kiedy jednak Kwaśnicki pisał tekst, wszystko układało mu się w logiczną całość. Trump na 100 proc. dogaduje się z Rosją, więc PiS musi podkulić ogon pod siebie i – niczym lokaj podążający za zmianą kursu za panem – też odważyć się na cieniutki głosik krytyki wobec Kijowa.

Wszystko to nie zmyli oczywiście Kresów.pl, które i tak wiedzą, że tron lidera PiS otaczają „giedroyciowcy”. Jednak na bezrybiu i rak ryba, więc łaskawie przyjmuje do wiadomości ten zwrot taktyczny jako coś mimo wszystko lepszego od promajdano-owego „zwycięstwa”.

Trudno polemizować z tekstem opartym na niezwykle uznaniowej i naciąganej analizie przyczyn i skutków.

Z charakterystycznym mentorstwem publicysta portalu Kresy.pl przystępuje w puencie tekstu do publicystycznego moralitetu. Oto Jarosław Kaczyński dopiero teraz odkrywa to, co portal Kwaśnickiego wskazywał już od dawna, i próbuje niezdarnie zmieniać front. Niewiele to oczywiście daje, bo wokół PiS wciąż jest zbyt wiele naiwnych i szkodliwych dla polskiej racji stanu wyznawców „giedroycizmu”, by teraz zrehabilitować się za lata ukraińfilii.

No cóż, dość naiwny, a jednocześnie arogancki ten wywód. Jednak tekst publicysty Kresy.pl pobudza do postawienia innych pytań. Jak PiS definiuje swój stosunek do polityki wschodniej? Drugie pytanie: Jaki pomysł ma polska prawica na koegzystencję z Ukrainą – krajem, który jest naszym sąsiadem i kluczem do stabilizacji regionu?

MIĘDZY IDEĄ A NASTROJAMI

Jeśli przyjrzeć się drodze politycznej braci Kaczyńskich w latach 1990–2005, to widać wyraźnie, że przez pierwszych 15 lat swojej walki politycznej skupili się niemal wyłącznie na sprawach krajowych. Jarosław Kaczyński otarł się o politykę zagraniczną jedynie w latach 1990–1991 w trakcie kierowania kancelarią prezydencką Lecha Wałęsy, potem jednak budował Porozumienie Centrum, a później PiS. Z kolei drugi z braci, Lech Kaczyński, w następstwie rozpolitykowanego Wałęsy prowadził w latach 1990–1991 NSZZ „Solidarność”, potem na chwilę otarł się o problemy międzynarodowe w BBN, ale po zerwaniu z Wałęsą zajmowała go praca w Najwyższej Izbie Kontroli, a później funkcja prezydenta Warszawy. Dopiero zdobycie prezydentury Polski dało Lechowi Kaczyńskiemu pole działania w polityce zagranicznej. Jarosław Kaczyński, od 2006 r. szef rządu, oddał te sprawy bratu.

Jeśli jakiś rys dominował w jego polityce zagranicznej w czasie tragicznie przerwanego życia, to polityka budowania współpracy państw Międzymorza w obliczu recydywy rosyjskiego neoimperializmu. Ta polityka zaczęła się jednak komplikować w ostatnim półroczu przed Smoleńskiem. Pojawiły się kłopoty w relacjach z Litwą. Prezydenta RP zabrała też wniosek prezydenta Wiktora Juszczenki, aby Stepan Bandera otrzymał oficjalny tytuł bohatera Ukrainy. Czy Lech Kaczyński miałby pomysł na nowy styl relacji z Kijowem? Nie wiemy i nigdy się nie dowiemy.

stały

Jednak w latach 2007–2015 jego brat wyraźnie kontynuował linię wzmacniania wolnościowych ambicji narodów za naszą wschodnią granicą. To dlatego wspierał demonstrantów Majdanu w Kijowie w grudniu 2013 r., a także po agresji Putina na Krym i Donbas. Od tego czasu nastąpiły jednak znaczące zmiany w nastrojach części elektoratu prawicowego. Ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski odniósł sukces, żądając wejścia rzezi wołyńskiej do świadomości zbiorowej Polaków, co podjęło chętnie młode pokolenie. Generacja polityków z Ruchu Narodowego, a potem Kukiz'15 zaczęła zmieniać priorytety: najpierw troska o Polaków na Wschodzie i uznanie winy za mord wołyński, a dopiero potem solidarność z Ukrainą.

Kaczyński nie zdecydował się na żadną wyraźną reakcję na te nowe tony w polskiej polityce. Zwyciężył pragmatyzm – do wygrania znów były podwójne wybory w 2015 r. i liczył się każdy wyborca – także ten niechętny Ukrainom.

Wreszcie Warszawa z niemiłym zaskoczeniem zauważyła, że nowy prezydent Petro Poroszenko, choć dokonał takich gestów jak np. klęknięcie przed warszawskim pomnikiem Rzezi Wołyńskiej, to przeciw Moskwie w ramach formatu normandzkiego woli stawiać na pomoc Berlina i Paryża.

A potem zaczęła się wojna na historyczne gesty między Sejmem RP a Radą Najwyższą Ukrainy. Okazało się, że w klubie PiS nie ma już nikogo z dawnej generacji zwolenników „linii Lecha Kaczyńskiego”, a nowi posłowie wyczuwają trendy niechęci wobec Kijowa. Symbolicznie specja od Ukrainy posła Pawła Kowala, który odszedł z PiS wraz z secesjonistami z PJN, zastąpił młody poseł Michał Dworczyk.

Lider PiS nie zdecydował się ani na przypomnienie założeń wschodniej polityki brata i jednocześnie sformułowanie nowej polityki wobec Wschodu, ani na wyraźne ochłodzenie relacji z Ukrainą.

Partijni oportuniści w PiS, słysząc brak poparcia z Nowogrodzkiej dla hasła solidarności z Kijowem, ale i brak hasła schłodzenia relacji, uznali, że temat jest śliski i lepiej nie wypowiadać się zbyt wyraźnie. A rywale PiS z obozu narodowego oraz z Kukiz'15 i tak wypominali Kaczyńskiemu wizyty na Majdanie.

Problem w tym, że w rządzącej obecnie partii o wszystkim decyduje prezes. Zabiera głos rzadko, głównie poprzez przemówienia partyjne lub wywiady w mediach. A w nich o Ukrainie było mało. Jeśli już temat się pojawiał, to w formie przypo-

minania Kijowowi, że Polacy z pamięci o Wołyniu nie zrezygnują.

W tej sytuacji jak sygnał do zmiany kursu na wspieranie Międzymorza wybrzmiała najpierw decyzja o likwidacji Bielsatu, a potem awantura o uznanie za personę non grata na Ukrainie prezydenta Przemysła, oskarżanego we Lwowie o antyukraińskość. Oba te spory zakłajstrowano po cichu. W pierwszym przypadku – ponoć pod wpływem prezesa – Beata Szydło obiecała, że pieniądze na Bielsat się znajdują, w drugim spór załagodziła kancelaria prezydenta Andrzeja Dudy, uzyskując od Poroszenki cofnięcie zakazu wjazdu dla prezydenta Przemysła.

Głównym problemem Ukrainy i Polski nie są dziś banderowcy, lecz oligarchowie, skorumpowane sądy i policja

Jednak jasnej, nowej linii wobec Ukrainy od Jarosława Kaczyńskiego jego partia nie słyszy. I to tworzy sytuację, w której powstają takie „sensacje” jak wspomniany już tekst Kwaśnickiego.

W KTÓRĄ STRONĘ?

Milczenie prezesa PiS i łatanie na bieżąco problemów ze Wschodem pozwalają nie antagonizować zbyt mocno ani ukraińskich wyborców na dole, ani zwolenników starej linii w propisowskich elitach. Jednak na dłuższą metę oddalac będzie PiS od tradycji Lecha Kaczyńskiego. A w jeszcze dłuższej perspektywie – będzie korzystne dla narodowców, którzy z potępienia „giedroycyzmu” uczynili swoje hasło firmowe.

PiS nie umiał zdefiniować, co w dotychczasowej polityce wobec Kijowa było zbyt- nym idealizmem, a co pozostaje czynnikiem stałym, zgodnym z polską racją stanu.

W mojej opinii warto podjąć polemikę z definiowaniem każdej refleksji o znaczeniu wolnej Ukrainy dla bezpieczeństwa Polski jako oznace naiwności lub nadskakiwania „tym, którzy nas nie chcą”.

Zarzut, że otwarcie na Ukrainę to leczenie kompleksów postkolonialnych, można łatwo odbić. Dogmatyczny antyukrainizm to z kolei echo innej pozy kolonialnej – aroganckie przekonanie, że z „rezunami” nie ma co gadać i lepiej już się dogadywać z innym panem, tyle że rosyjskim. Można

narzekać, że dialog z Ukrainą zdominowały „Krytyka Polityczna” i „Kultura Liberalna”. Co jednak zrobiło zaplecze intelektualne PiS, by znaleźć partnerów do dialogu z ukraińskim centrum?

Taka praca trwa latami i przynosi efekty po czasie. Bez niej pozostaje albo oburzać się na nacjonalistyczny Lwów, albo narzekać na zapatrzonych w zachodni model kijowskich „Intellos”, których kręcą Berlin i Londyn, a nie Warszawa.

Nie będę zaprzeczał, że rozwijana latami sympatia do Ukrainy skłoniła wielu uczestników dialogu z Kijowem do zamykania oczu na niepokojące tendencje szowinistyczne za wschodnią granicą. Jednak teza, że na Ukrainie rządzi banderyzm, to przerysowany ideologiczny dogmat. Przejaw schematyzmu niezauważający wielu barw pośrednich – choćby tych posłów parlamentu ukraińskiego, którzy niedawno odrzucili progenderową konwencję o zwalczaniu przemocy z racji dojrzałej refleksji konserwatywnej. Dialog z Ukrainą nie jest łatwy, ale jest kontynuacją idei ruchu Solidarność, wskazań Jana Pawła II i wreszcie jest dziedzictwem Lecha Kaczyńskiego. Problemem Ukrainy nie są fani Bandery – 1 stycznia 2016 r. w dwumilionowym Kijowie na marszu ku czci lidera UPA maszerowało tysiąc, może dwa tysiące demonstrantów. Profanacje polskich miejsc pamięci w Hucie Pieniackiej i Bykowni muszą niepokoić, ale nie sposób wykluczyć, że mogą być prowokacją rosyjskiego FSB. Jednak głównym problemem Ukrainy i Polski nie są dziś banderowcy, lecz oligarchowie, skorumpowane sądy i policja.

Nie możemy udawać, że tego kraju nie ma, bo Ukraina jest czołową zaporą przed jakimikolwiek planami odbudowania wpływów Kremla w naszej części Europy. Zaporą, niekiedy irytującą, ale jak na razie trwałą.

Dlaczego nie dostrzegają tego ci, którzy sławią realizm Romana Dmowskiego? Dlaczego lubią w kółko powtarzać slogan „Rosja – czynnik stały”, a nie chcą dostrzec Ukrainy jako czynnika stałego u granic Polski?

Prawica nie musi idealizować Ukrainy, powinna z nią rozmawiać. A temperaturę rozmów dostosowywać do zachowania drugiej strony. Jednak rozmawiać, a nie czekać z szampanem, kiedy wolną Ukrainę wreszcie diabli wezmą. W 1939 r. tak zachowywali się wobec Polski Litwini. Długo nie nacieszyli się naszą porażką.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Widełki, bułki... i biała broń

Uciekając przed zimą, trafiliśmy do pewnego ciepłego kraju. A w tym kraju rozłożyliśmy się nad pięknym oceanem. Cóż jednak, siedmiolatkowi nawet dwumetrowe fale w końcu się nudzą i wtedy padają słowa, które są strapieniem każdego rodzica: „Co mam robić?”.

Akurat zupełnie nie byłem przygotowany na to pytanie, więc rozpaczyliwie zaimprovizowałem. – Zagrajmy w eee... pikuty – wypaliłem. – Zwariowałeś? – czujnie zareagowała matka siedmiolatka. – Chcesz naszego syna uczyć rzucać nożem?! – zapytała dramatycznie. – Tak, tak – wrzasnął naturalnie siedmiolatek. – Chcę rzucać nożem!!!

Nie wiem, co się wydarzyło przez ostatnich 40 lat, ale kiedy ja byłem w wieku mojego syna, wszyscy graliśmy w pikuty. W piaskownicy. Na podwórku. I nikomu to nie przeszkadzało. Ba, szło się do domu i wołało: „Mama! Daj mi nóż, bo chcemy pograć w pikuty”. Na co matka dawała nóż, tylko taki z tępym czubkiem, i można było rozpocząć rozgrywkę. A prawdę mówiąc, niektórzy mieli własne noże. Finki były popularne już wśród zuchów, a dobrze wyważony kordelas lub zbajerowany scyzoryk był marzeniem każdego z nas. I – dodajmy – marzeniem, które dawało się zrealizować.

Nasi synowie na swoje noże muszą czekać do pełnoletniości. Gdyby dzisiaj na naszym podwórku grupa chłopców zaczęła grać

w pikuty w piaskownicy, dyżurujące na placu zabaw matki dostałyby zbiorowego zawału serca, a te ocalałe wezwałyby policję, która przeprowadziłaby bardzo poważne śledztwo, kto nieletnich wyposażył w broń białą. No i sąd rodzinny na wniosek psychologa prawdopodobnie odebrałby mi syna.

Ponieważ byłem jednak w kraju dość dzikim i z dotkliwym niedoborem psychologów, pobiegłem do pobliskiej knajpy po nóż stołowy. I zaczęliśmy grać: matka, ojciec, widełki, buła, ścianka, zegarek, łokietek... aż do pięciu pikutów w finale. To było jak smak magdalenki z dzieła Prousta. Spacerujący po plaży turyści z Europy przyglądali mi się podejrzliwie, a niektórzy z nieskrywanym potępieniem. Ale co tam. Mieliśmy frajdę. Zwłaszcza ja miałem, bo wygrałem.

Ciekawe, że ludzie z mojego pokolenia bardzo lubią szczycić się swym szczęśliwym dzieciństwem, tym naturalnym i bezgadżetowym, wypełnionym akrobacjami na trzepaku i podchodami w lesie. A jednocześnie labiedzą nad dolą dzisiejszych maślatów, które ślęczą nad smartfonami, zamiast grać w kapsle. Ci sami jednak 40- i 50-latkowie stanowczo zabraniają własnym dzieciom wspinać się na trzepaki i drzewa, że o grze w pikuty (która zanikła zupełnie) nie wspomnę. Jakby żałowali tego szczęścia własnym dzieciom. Kupują więc tablety, a potem na nie narzekają. No dobra – narzekamy. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Więcej subtelności

Zdarza się, że zazdroścę autorytetem postrzegającym świat jako prosty jak konstrukcja cepa. Albo święci, albo agenci, albo sowieckie matrioski, albo niezłomni herosi.

A gdzie miejsce na skomplikowaną naturę ludzką? Na rolę fatum? Często takie czy inne zachowanie jest kwestią przypadku, emocji lub spłotu okoliczności. Żołnierz heroiczny w boju na pobojuwisku może zmienić się w hienę, a dzielny konspirator po paru latach normalności – w cynicznego, żadnego szmalu i zaszczytów biznesmena.

Nieudacznik nawet z pomocą całego KGB kariery nie robi

To, że nie zostałem nigdy agentem, tylko w części zawdzięczam sobie, bo gdybym był bardziej kuszony, zaszczyty, zaszantażowany, gdyby zależało od tego życie mojego dziecka, to kto wie?

Czy Stanisław August był wyłącznie cynicznym płatnym zdrajcą czy patriotą, który w beznadziejnej sytuacji próbował ratować, co się da (nie zapominając o własnym majątku)? Czy realiści w rodzaju Wielopolskiego czy Rakowskiego byli anty-Polakami czy tylko postawili złą diagnozę, obrali złą strategię i ponieśli osobistą klęskę? Będąc za lustracją i dezubekizacją, myślę zarazem o niebezpieczeństwach generalizacji, która może sprawić, że (mówiąc po

sienkiewiczowski) i Kokosiński, i Kmicic jednako pozbawieni zostaną emerytury.

Czy naprawdę nie ma różnicy między Leszkiem Moczulskim, który spędził wiele lat w więzieniach, a Maleszką? Między obsypanymi zaszczytami do końca TW literatami w rodzaju Szczypiorskiego a Żelnikiem, który 50 lat temu popełnił błąd, a potem naprawiał go całe życie, trwając niezależnie od koniunktury po jasnej stronie mocy?

Stara rzymska zasada „Cui prodest” wskazuje, że winnym najprawdopodobniej jest ten, kto skorzystał na swych dawniejszych sprawkach. Stąd wystarczy zobaczyć, kto został baronem medialnym, zasobnym biznesmenem, wpływowym politykiem, głośnym dziennikarzem, luminarzem palestry, a kto klepie biedę, by ocenić jakość i stopień dawnego uwikłania (oczywiście należy brać poprawkę na to, że nieudacznik nawet z pomocą całego KGB kariery nie zrobi).

Straszne łatwo jest być nieuwikłanym, kiedy urodziło się niedawno, a tych, którzy z dumą oświadczają: „Nigdy nie byłem w partii”, przestrzegam – są tacy, którzy pamiętają, gdy chcieliście się zapisać, tylko nawet do PZPR skończonych durniów nie brali! A młodym historykom (niezależnie od tego, czy piszą o II wojnie czy stanie wojennym) przypominać, że obok tych kilkuset tysięcy Polaków, którzy byli w konspiracji, i kilkudziesięciu, którzy kolaborowali, istniały jeszcze miliony, które nie należały nigdzie. ©©

PIOTR SŁABEK: Jakie są sens i znaczenie Intronizacji Jezusa Króla w Polsce? Wielu ludzi patrzy na ten akt ze zdziwieniem, a nawet z zażenowaniem. Dla wielu to jakaś egzotyka, coś z zamierzchłej historii, z feudalnej epoki.

DR MARCIN MAJEWSKI: Jestem świadomy tych wątpliwości, w pracach nad przygotowaniem intronizacji bez przerwy pojawiały się takie powątpiewania i pytania. Idea intronizacji ma dwa główne aspekty.

Pierwszy to akt wiary, czyli fundamentalny ewangeliczny aspekt wyboru Chrystusa. Przez ten akt wyrażamy fundamentalny, radykalny wybór. O tym mówił śp. o. Jan Góra w Lednicy. Przyjeżdżały tam tysiące młodych ludzi, wybierały Chrystusa jako Pana naszego życia. Podobnych aktów wyboru Jezusa jako Pana – czyli Króla – dokonuje się np. w oazie czy Domowym Kościele, w ruchach charyzmatycznych. Wywodzi się on z samej Ewangelii. Święty Paweł mówi: jeżeli uznasz, że Jezus jest Panem, i w swoim sercu uwierzysz, iż Bóg Go wskrzesił z martwych, to osiągniesz zbawienie. To jest radykalny, fundamentalny akt wiary. To jest pierwszy aspekt, który dotyczy mnie osobiście, mojej rodziny czy wspólnoty.

Jest takie powiedzenie – raz wybrawszy, codziennie wybierać muszę. Ponowne potwierdzenie wyboru, uznanie Chrystusa to odnowienie wyznania wiary.

Człowiek ma taką naturalną konstrukcję, że potrzebuje symboli. Symbol ma ukierunkowywać, ma odpowiednio nastawiać.

Podsumowując: pierwszym aspektem intronizacji jest osobiste odnowienie wyznania wiary w Jezusa Zbawiciela. Mimo stałych praktyk religijnych, zanurzonych w tradycyjnej wierze, świadome osobiste przyjęcie Jezusa jako Pana wyrażone przez pewien symbol jest potrzebne.

Symbol w tym przypadku jest wydarzeniem, które ma charakter ewangeliczny, jest wezwaniem do nawrócenia – o tym właśnie mówiła Rozalia Celakówna, inspiratorka idei intronizacji, której proces beatyfikacyjny jest w toku.

Tak naprawdę wezwanie do intronizacji dla ludzi wierzących jest wezwaniem do nawrócenia, radykalnej zmiany życia, powrotu do Ewangelii, powrotu do pierwotnej gorliwości, powrotu do Chrystusa. Możemy mówić, że robiąc codziennie rachunek sumienia czy uczestnicząc w jakichś rekolekcjach, też próbujemy się nawracać. Powracam jednak do tego, że droga człowieka bez wyznaczonego



Z dr. Marcinem Majewskim, biblistą rozmawia Piotr Słabek

Intronizacja Jezusa Króla

celu jest mało skuteczna, pokazuje to cała historia biznesu. Najpierw należy wyznaczyć sobie cel, aby później krok po kroku go realizować.

Drugi aspekt, mimo że bardzo ważny, jest chyba trochę mniej zrozumiały. Wydarzenie intronizacji stoi w poprzek tak bardzo silnym poświeceniowym ideom całkowitej autonomii spraw publicznych i spraw religijnych. Nikt nie chce negować rozdziału Kościoła od państwa, rozdziału Kościoła od polityki i tego, że ten rozdział jest fundamentalnie potrzebny. Sam Chrystus w Ewangelii mówi, że to, co cesarskie, dajcie Cesarzowi, a Bogu to, co należy do Boga. Jest to rozdział na poziomie kompetencji. Kościół ma inną władzę, inny cel. Kościół służy zbawieniu człowieka, państwo służy bezpieczeństwu i zapew-

nieniu doczesnego dobrobytu obywateli. To są zupełnie inne instytucje, kompetencje mają zupełnie różne, więc naturalny jest ich podział i odrębny zakres działania. To, co dokonało się w tzw. nowoczesności, w postmodernizmie, o czym mówią Zygmunt Bauman i inni, to nie tyle podział kompetencji, ile całkowity rozdział Kościoła od państwa. Ten podział jest zbyt radykalny, poszedł zbyt daleko. We Francji, przez stulecia kształtowanej przez kulturę chrześcijańską, teraz dochodzi do całkowitej, ekstremalnej laicyzacji. Doszło do tego, że laicka republikańska tradycja oświeceniowa sprowadziła religię do czegoś niezwykle prywatnego, wewnętrznego, rzec można: intymnego.

Dzisiejsi ideolodzy czy historycy idei pozwalają chrześcijanom, by praktykowali



FOT. BEATA ZAWRZEŁ / REPORTER

to mesjańsko czy wręcz fan-
tastycznie, ale jestem głęboko
przekonany, że to jest idea
bardzo ewangeliczna.

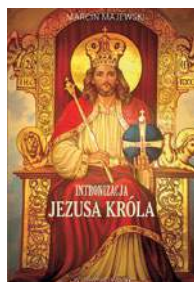
Wszystkie analizy czterech
Ewangelii wskazują na kluczo-
we znaczenie przypowieści
o Królestwie Bożym. Bliskie jest
Królestwo Boże, nawracajcie
się – to właśnie jest kluczowe
wezwanie Ewangelii, Chry-
stus głosi Królestwo Boże i On sam jest
Królem tego Królestwa, bo On zwiastuje
siebie. Doceniam to, że wiara powinna być
budowana od wewnątrz, ale intronizacja
to upomnienie się o aspekt publiczny wy-
rażania wiary. Uważam, że z tego wymiaru
wiary nie powinniśmy łatwo rezygnować.
Wiara powinna realizować się we wspól-
nocie, powinna mieć wymiar publiczny.
Jest to oczywiście nadeptanie na piętę
współczesnej idei państwa zakładającej
całkowity separatyzm. Mówienie o tym,
że państwo ma być całkowicie neutralne
światopoglądowo, to czysta utopia.

Coś takiego jak neutralność świato-
poglądowa nie istnieje, samo narzucanie
neutralności staje się konkretnym świato-
poglądem, mówienie o tym, że zbudujemy
sobie państwo na neutralności światopo-
glądowej, jest mrzonką.

Warto zadać pytanie: Czy rzeczywi-
ście rezygnujemy ze wszystkich prawd
chrześcijańskich? Czy chcemy traktować
je w całości jako mitologię? Czy warto bu-
dować państwo jedynie na współczesnej
świeckiej filozofii? Czy jednak chrześcijań-
stwo ma coś do powiedzenia o człowieku,
o instytucji państwa? Intronizacja wycho-
dzi z założenia, że chrześcijaństwo ma coś
mądrego do przekazania, ma antropologię,
który będzie szczęśliwszy i lepszy.

**Czy nie jest tak, że w Europie próbuje się
przeciwwstawić postęp, współczesność tradycji
chrześcijańskiej, chrześcijańskim korzeniom cy-
wilizacji europejskiej? Człowiek myślący racjonalnie
i obiektywnie nie jest w stanie zaprzeczyć histo-
rycznej prawdzie, że cywilizacja europejska została
zbudowana na podstawie chrześcijaństwa. To jest
fakt, czy komuś się to podoba, czy nie.**

Współczesna myśl mówi właśnie
o tym, z czym my staramy się wejść w po-
lemikę, czyli głoszenie postmodernizmu
i laickości. Przedstawiciele tych poglądów,
owszem, wiedzą, że historia europejska
ma korzenie chrześcijańskie, ale dla tych
nowych ideologów to jest bezpowrotna
przeszłość, której należy się wstydić.



**Czyli nowym ideologom chrześci-
jaństwo kojarzy się przede wszystkim
z wojnami, zabobonami, ciemnogro-
dem?**

Dokładnie tak jest.

**A jak się ma do tego głośna
sprawa preambuły do konstytucji Unii
Europejskiej?**

To jest właśnie jeden z tych
elementów debaty, która
wciąż się toczy, chociażby w Parlamen-
cie Europejskim, na temat wartości. To
ciągle jest zderzenie dwóch przeciw-
stawnych idei.

Czy to się wiąże z redukcjonizmem?

Oczywiście, to się wiąże z całko-
witym redukcjonizmem. Mamy tutaj
ideologię, która chce budować szczęście
człowieka na podstawie materializmu.
To są dość częste debaty, chociażby nad
uchodźcami, bioetyką, aborcją. W tych
dyskusjach widać zderzenie dwóch
koncepcji człowieka.

**Czyli sens intronizacji polega na tym, że jest
to pewien akt odnawiający tradycijną wiarę,
również w wymiarze społecznym. Jest wskazaniem
znaczenia, wagi chrześcijaństwa. Jest społecznym
wyzwaniem skierowanym do chrześcijan, żeby
budować Królestwo Boże, żeby ten świat był lepszy,
by był bliższy ludziom i Bogu.**

Tak, ale często pojawia się zarzut, że
to jest upolitycznianie chrześcijaństwa,
że Kościół miesza się do polityki. To
sztandarowe hasło – jeszcze komuni-
styczne, a później naszych niektórych
polityków: „Kościół miesza się do poli-
tyki”. Widzę tę sprawę zupełnie odwrot-
nie. Nie chodzi o upolitycznianie religii,
tylko o ureligijnianie polityki, to znaczy:
chcemy pokazać, że o ile pewne kom-
petencje – czy to Kościoła, czy państwa
– są autonomiczne, o tyle człowiek jest
jeden. Człowiek jest ten sam, ten, który
żyje w Kościele, który żyje w danym
państwie. Są dwa organa władzy: władza
 duchowna i władza świecka. Mimo że
kompetencje są różne i trzeba je roz-
dzielić, to nie ma rozdziału na poziomie
absolutnym.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



dr Marcin Majewski
– biblista, autor książki
„Intronizacja Jezusa Króla”

swoją wiarę tylko we wnętrzu własnej
izdebki – wtedy mogą wierzyć, w co sobie
chcą. Gdy jednak wiara ma się w jakimol-
wiek sposób przejawiać publicznie, to wtedy
czujni europejscy lewicowi myśliciele biją
na alarm. Podobne zdanie ma większość
elit intelektualnych (np. Jürgen Habermas),
można powiedzieć – światowa śmietanka.
Religia ma całkowity zakaz wstępu na sferę
publiczną. Moim zdaniem chrześcijaństwo
absolutnie nie może sobie na to pozwolić.
Kiedy pozwoli sobie na coś takiego, podda
się, rezygnuje ze swojej misji.

Dla chrześcijaństwa to, co głosi Chry-
stus, to Królestwo Boże. Chrystus mówi, że
Królestwo Boże jest pośród was, to znaczy,
że my budujemy wspólnotę i w ramach
tej wspólnoty budujemy Królestwo Boże
również tu, na ziemi. Może na pozór brzmi

Rzeź Polaków w



Piotr Zychowicz

**Setki polskich oficerów
służących w sowieckim wojsku
zostały eksterminowane
w trakcie wielkiego terroru**

Przy stole w podmoskiewskiej daczce Józefa Stalina w Kuncewie biesiadowała elita Związku Sowieckiego. Członkowie politbiura i najwyżsi rangą dowódcy Armii Czerwonej. U szczytu stołu zasiadał sam generalissimus w śnieżnobiałym, nienagannie wyprasowanym mundurze. W pewnym momencie Stalin odłożył serwetkę, odsunął krzesło i wstał. Wolnym krokiem podszedł do marszałka Konstantego Rokossowskiego, jednego z najwybitniejszych sowieckich dowódców podczas tzw. wielkiej wojny ojczyźnianej.

– Konstantynie Konstantynowiczu – zapytał – tam bili?

– Bili, towarzyszu Stalin – odparł marszałek.

Stalin odwrócił się na pięcie i wyszedł do ogrodu. Po chwili wrócił z bukietem kolczastych róż, który własnoręcznie zerwał w ogrodzie. Nie użył do tego nożyc, rwał rękami, całe dłonie miał we krwi... Podał kwiaty Rokossowskiemu i wypowiedział tylko jedno słowo:

– Przepraszam...

Za co miał przeprosić Stalin Rokossowskiego? Za wybite wszystkich przednich zębów, złamanie trzech żeber i pogruchotanie młotkiem palców u stóp. Uporczywe pozbawianie snu, lżenie, upokarzanie i bestialskie bicie. A także o pozorowane egzekucje.

W ten makabryczny sposób z sowieckim dowódcą w 1937 r. zabawiali się śledczy z NKWD. Konstanty Rokossowski był jednym z setek oficerów polskiego pochodzenia, którzy w trakcie wielkiej

czystki w Armii Czerwonej zostali wciążgnięci w tryby terroru.

„Rokossowskiego oskarżano – pisał biograf marszałka, rosyjski historyk Borys Sokołow – że w charakterze polskiego szpiega został zwerbowany w połowie lat 20. przez swojego towarzysza z pułku Adolfa Juszkiwicz. Na posiedzeniu sądu Rokossowski oświadczył, że Juszkiwicz w żaden sposób nie mógł go zwerbować, gdyż... 28 października 1920 roku zginął bohaterską śmiercią w walce z wranglowcami”.

Sowieccy śledczy i sędziowie nie przejmowali się jednak podobnymi drobnymi nieścisłościami! Bili Rokossowskiego dalej. Mimo tych koszmarnych przeżyć miał on sporo szczęścia. Jego sprawa przeciągnęła się i udało mu się przeżyć czystkę. W marcu 1940 r. wypuszczono go na wolność i przywrócono do służby.

POLOWANIE NA POLAKÓW

Większość innych Polaków wchodzących w skład korpusu oficerskiego Armii Czerwonej, a było ich bardzo wielu, takiego szczęścia nie miała. NKWD tropiło ich i eksterminowało z niebywałą wręcz zaciętością. Władcy Kremla uznali, że wojsko – przed spodziewaną konfrontacją militarną z II RP – powinno być „wyczyszczone” z potencjalnej V kolumny.

Fascynujące informacje o gehennie polskich oficerów Armii Czerwonej można znaleźć w książce prof. Pawła Wieczorkiewicza „Łańcuch śmierci”, wznowionej niedawno przez wydawnictwo Zysk i S-ka. Przeglądając zamieszczone w niej spisy oficerów aresztowanych w 1937 r., w oczy rzuca się olbrzymia liczba polskich nazwisk.

Bordowski, Kochański, Kozłowski, Paszkowski, Łagwa, Parcerżański, Budkiewicz, Żbikowski, Batorski, Sokołow-Sokołowski, Lewandowski, Siniawski. Wyliczać by tak można jeszcze długo. Ludziom tym nic nie pomogło, nawet to, że – jak podkreślał prof. Wieczorkiewicz

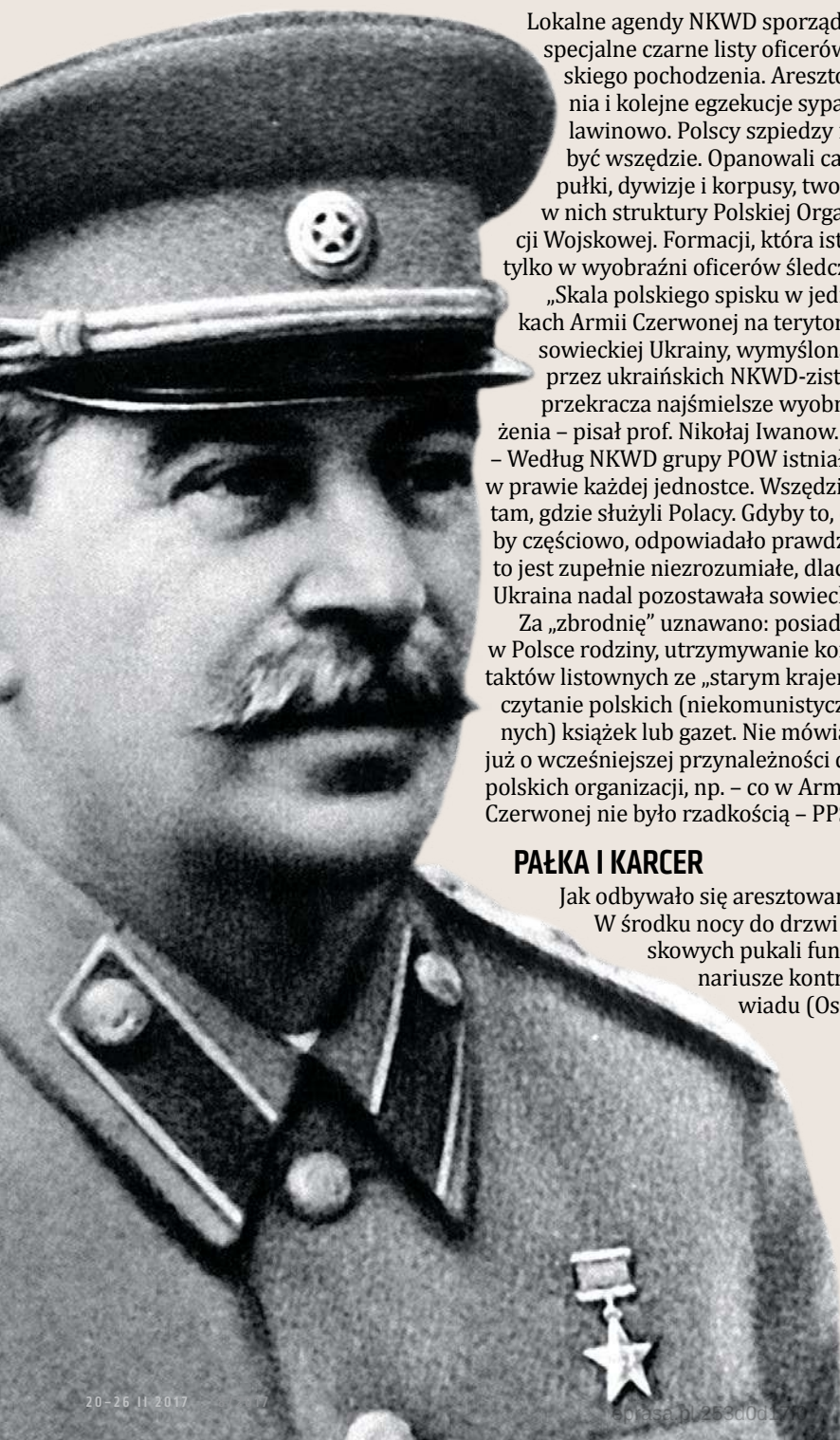
– „byli ideowymi komunistami, służącymi w Armii Czerwonej od jej zarania, co niezadko wymagało zaparcia się ojczyzny”.

Jednym z represjonowanych Polaków był kpt. Kazimierz Gąsiorowski ze sztabu 3. Dywizji Kawalerii. „Aresztowano mnie – pisał – ponieważ jestem Polakiem. Zrozumiałem to, kiedy przerzucono mnie do więzienia w Berdyczowie, do celi, gdzie siedziało 200 więźniów. 150 z nich byli to Polacy, z posiniaczonymi plecami, z gnijącymi ranami”.

Dochodziło do tego, że oficerowie z polskimi korzeniami w ankietach personalnych wpisywali fałszywą narodowość. Podawali się za Litwinów, Białorusinów, Żydów, Ukraińców, Niemców lub Rosjan. Na ogół „organa” nie dawały się jednak tak łatwo wywieść w pole.

„Zarzuty polskiego pochodzenia – pisał prof. Wieczorkiewicz – stawiano zresztą oficerom już tylko na podstawie nieodpowiednich etnicznie małżeństw (z Polką żonaty był m.in. marszałek Budionny) czy samego miejsca urodzenia. W pewnej jednostce zastosowano najprostsze kryterium. Szukano wedle końcówek nazwisk, np. jeśli nazwisko kończy się na »skij« lub »wicz« – wróg ludu”.

Armii Czerwonej



Lokalne agendy NKWD sporządzały specjalne czarne listy oficerów polskiego pochodzenia. Aresztowania i kolejne egzekucje sypały się lawinowo. Polscy szpiedzy mieli być wszędzie. Opanowali całe pułki, dywizje i korpusy, tworząc w nich struktury Polskiej Organizacji Wojskowej. Formacji, która istniała tylko w wyobraźni oficerów śledczych. „Skala polskiego spisku w jednostkach Armii Czerwonej na terytorium sowieckiej Ukrainy, wymyślona przez ukraińskich NKWD-zistów, przekracza najśmielsze wyobrażenia – pisał prof. Nikołaj Iwanow. – Według NKWD grupy POW istniały w prawie każdej jednostce. Wszędzie tam, gdzie służyli Polacy. Gdyby to, choćby częściowo, odpowiadało prawdzie, to jest zupełnie niezrozumiałe, dlaczego Ukraina nadal pozostawała sowiecka?”. Za „zbrodnię” uznawano: posiadanie w Polsce rodziny, utrzymywanie kontaktów listownych ze „starym krajem”, czytanie polskich (niekomunistycznych) książek lub gazet. Nie mówiąc już o wcześniejszej przynależności do polskich organizacji, np. – co w Armii Czerwonej nie było rzadkością – PPS.

PAŁKA I KARCER

Jak odbywało się aresztowanie? W środku nocy do drzwi wojskowych pukali funkcjonariusze kontrwywiadu (Osoby

Otdiel). A potem wszystko szło według znanego schematu. Rewizja, zatrzymanie, karetka więzienna, areszt.

Zanim podejrzany został wtrącony do celi, odbywała się upokarzająca procedura. Otóż funkcjonariusze NKWD odbierali pas i bezceremonialnie zrywali dystynkcje wojskowe z mundurów aresztowanych oficerów. Byli to tymczasem weterani wojny domowej, oficerowie wyższych stopni, których rozkazy jeszcze poprzedniego dnia karnie wykonywały tysiące żołnierzy. Teraz zaś jakieś młokosy z NKWD – z szyderstwami i obelgami – darli na nich mundury!

Oficerowie, którzy próbowali protestować, dostawali jednak natychmiast pięścią w zęby. Nietrudno sobie wyobrazić, że takie traktowanie było dla nich całkowitym szokiem. „Ty teraz nie komisarz, a gówno. Jeśli zechcę, będziesz liżał mnie w dupę, walał się u nóg śledczego. Od nas zależy wszystko” – usłyszał od NKWD-zisty pewien oficer.

Kolejnej nocy rozpoczynały się przesłuchania. Czyli „wybijanie” z wojskowych zeznań. Musieli się oni przyznać do przynależności do POW i podać jak największą liczbę nazwisk polskich kolegów biorących udział w wymyślanym spisku. Ludzi tych następnie aresztowano i cała procedura powtarzała się od nowa. W ten sposób terror się nakręcał, obejmując kolejne setki i tysiące aresztowanych.

„Jedyna moja wina polega na tym, że nie wytrzymałem konwejera, tortur, gróźb hańby i śmierci – pisał brigwojenjurist Anisim Sienkiewicz. – Nie mogłem znieść odbywających się w sąsiednim gabinecie przesłuchań mojej 14-letniej córki i żony. Słyszałem, jak bili żonę. Jej spazmy i płacz popchnęły mnie do samooskarżenia”.

Inną niezwykle skuteczną metodą był karcer. Siedział w nim m.in. hydrograf Czerniawski, którego NKWD dręczyło w więzieniu Floty Bałtyckiej w Kronsztadzie.

„Podczas przesłuchań nie dawano mi sięść i nie dawano zasnąć – relacjonował. – Przyszło mi stać w specjalnie wyłożonej ceglami jamie, gdzie nie można było

nie tylko usiąść, ale choćby zgiąć się, przy czym trzeba było stać w fekaliach, być może niejednego człowieka stojącego tam uprzednio”.

A oto relacja komkora Nikołaja Lisowskiego, którego głową NKWD-ziści wybili dziurę w ścianie:

„Stanie 10 dób lub więcej, bez chwili snu i odpoczynku. Zimny karczer, gdzie zimą temperatura osiągała minus 20–25 stopni. »Tarabagan«, gdy człowieka stojącego na prostych nogach wpychali głową pod stół i trzymali tak po osiem godzin. »Taborecik« – sadzanie na skraju tabore-

protokołach zachowały się rdzawe, krwawe plamy – jego sprawa trafiała do sądu. A konkretnie do Kolegium Wojskowego Sądu Najwyższego ZSRS.

Rozprawy trwały na ogół kilka minut. Oskarżonego pytano tylko o to, czy przyznaje się do winy. Jego odpowiedź – „tak” lub „nie” – na ogół nie miała żadnego wpływu na werdykt. Dowodem zbrodni był protokół przesłuchania. Gdy nieszczęśnik próbował tłumaczyć, że zeznania wymuszono na nim biciem, sędziowie arogancko przerywali mu w pół słowa.

skim szpiegiem” i prowadził „działalność niszczycielską” we flocie.

Oto niektóre z niedorzecznych zarzutów, jakie postawił mu – osobiście nadzorujący sprawę – Jeżow:

„Zaczął energicznie gromadzić kadry antysowieckie w celu wykorzystania ich w działalności POW [...]. Znajdujące się na pochylniach statki były rozkładane i składane od nowa [...] zamówienia na wyposażenie były wykonywane nie na czas. [...] szkodniczo powiększył gabaryt łodzi podwodnej »Malutka«, co uniemożliwiło jej przewóz koleją. [...] kadłub

Dawne więzienie i siedziba NKWD na Łubiance w Moskwie (stan obecny) FOT. WIKIPEDIA



tu z wyciągniętymi nogami. Oblewanie zimną wodą i wystawianie na przeciągu otwartego łufcika lub okna. Śledczy prześcigali się w wymyślaniu sposobów najbardziej poniżających i narażających na największy ból fizyczny”.

Czasami oficerom śledczym zdarzało się w rewolucyjnym zapale nieco przeholować. I – jak to było w przypadku płk. Waleriana Miączyńskiego – wysyłali przesłuchiwanego na tamten świat. Nie było to jednak przypadki częste. Niemal zawsze NKWD-ziści osiągli swój cel. Czyli „rozłupanie” ofiary. Prędzej czy później pękł każdy.

Kiedy zmaltretowany oficer składał podpis pod sfabrykowanym zeznaniem – do dziś na zachowanych w archiwach

Członkowie kolegium nie mieli czasu na podobne ceregiele. Byli niebywale przepracowani, na ich biurkach piętrzyły się setki teczek personalnych. Pracowali dniami i nocami. Musieli więc wydawać wyroki pośpiesznie i hurtowo. Na ogół były to wyroki śmierci.

Jednym z najwyższych rangą polskich ofiar czystki w wojsku był dowódca sowieckiej marynarki wojennej (lata 1925–1933), szef Głównego Zarządu Budownictwa Okrętowego – flagman Romuald Muklewicz. Był to Polak z Supraśla, były członek PPS-Lewica, który w Sowietach zrobił zawrotną karierę. Świetny fachowiec i organizator. A przy tym wierzący komunista. NKWD uznało jednak, że był „zakonspirowanym pol-

niszczycieli był zbyt lekki. [...] dywersja Muklewicza miała być realizowana przez krótkie spięcie linii elektrycznych, których jest mnóstwo na rusztowaniach otaczających pochylnie lub za pomocą wybuchu [...]”.

„Żelazny komisarz” zwałił po prostu na Muklewicza winę za wszystkie problemy, z jakimi się borykał – tak jak wszelka inna gałąź socjalistycznej gospodarki – wojskowy przemysł stoczniowy. Wystarczył tydzień „obróbki” w straszliwym więzieniu Lefortowo, aby Muklewicz przyznał się do wszystkiego. Między innymi do tego, że już od 1920 r. był agentem POW. 28 lutego 1938 r. został stracony – oddano do niego pojedynczy strzał w tył czaszki.

Zarzuty postawione Muklewiczowi to nie w porównaniu z tym, o co oskarżono komandarma Michała Lewandowskiego i innych polskich oficerów służących w Dalekowschodnim Okręgu Wojskowym. Otóż mieli oni rzekomo planować oderwanie kawału Syberii od Związku Sowieckiego i utworzenie niezależnego państwa pod protektoratem Japonii! Oczywiście wszyscy oskarżeni – podobnie jak Muklewicz – przyznali się do winy.

Apogeum czystki nastąpiło 24 czerwca 1938 r., gdy komisarz obrony Kliment Woroszyłow wydał ściśle tajną dyrektywę „200III” o usunięciu z Armii Czerwonej wszystkich „Polaków, Niemców, Łotyszy, Litwinów, Finów, Estończyków, Koreańczyków oraz innych urodzonych za granicą i związanych z nimi”. Wydaje się, że kolejność narodowości nie była przypadkowa.

Według szacunków prof. Pawła Wieczorkiewicza zawartych w „Łańcuchu śmierci” 26,6 proc. oficerów usuniętych z wojska na mocy rozkazu Woroszyłowa było Polakami. W Dalekowschodnim Okręgu Wojskowym odsetek ten wynosił zaś aż 38,4 proc.! Była to najlichniesza grupa represjonowanych.

„Los lwiej części z nich został tym samym przesądzony – pisał prof. Wieczorkiewicz – gdyż pełny spis relegowanych trafił do NKWD. W wyniku energicznych działań większość z nich została natychmiast lub prawie natychmiast zgodnie z obowiązującą procedurą policyjną uwięziona. Do »konspiracji POW« przypisano wszystkich niemal Polaków służących w wojsku”.

Według profesora była to prawdziwa czystka etniczna. Jej ofiarą padły tysiące oficerów polskiego pochodzenia. Hekatomba tych Polaków stanowi zapomnianą kartę wielkiej czystki w sowieckim wojsku.

WOZWRASZCZENY

Nieliczni oficerowie, podobnie jak Rokossowski, przetrwali czystki i zostali wypuszczeni na wolność. Często były to jednak ludzkie wraki, które – jak podkreślał prof. Wieczorkiewicz – wkrótce znalazły się w szpitalach psychiatrycznych lub na cmentarzach.

Weźmy płk. Iwana Strielbickiego, który po wyjściu z więzienia ważył 49 kg. A wcześniej

był to potężny mężczyzna, mierzący blisko 180 cm. Inny postawny, dumny oficer Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej po opuszczeniu więzienia zamienił się w przygarbionego, zaślinionego i płaczącego staruszka.

„Z połamanymi żebrami, ściśnięci pod bluzami gorsetami z bandaży, unikający objęć – wyliczał pisarz Gieorgij Władimow w powieści »Generał i jego armia«.

– Z powyrywaniem paznokciami, ukrywający dłonie w rękawiczkach i unikający podawania ręki. Z przypudrowanymi siniakami i powybijanymi zębami. Ci z kolei woleli się nie uśmiechać. Byli też i ci, których wyprowadzano na rozstrzelanie, odczytywano wyroki i strzelano ponad głowami, co sprawiało, że głowy pokrywały się w jednej chwili siwizną”.

Ludzi takich nazywano „wozwraszczeńcami”. Co ciekawe, część Polaków, którzy przetrwali czystkę, na tyle szybko wylizała się z ran, że 17 września 1939 r. zdążyła wziąć udział w agresji na II RP. Kilka lat później stali się zaś zrębem korpusu oficerskiego stworzonego przez Stalina Ludowego Wojska Polskiego. Byli to, żeby wymienić tylko generałów: Jerzy Bordziłowski, Bolesław Czarniawski, Władysław Korczyc, Antoni Siwicki i Stanisław Popławski.

Wszyscy oni przeszli przez katownie NKWD. W efekcie byli to ludzie o przetrąconych kręgosłupach, panicznie bojący się kolejnego aresztowania. Bez szemrania spełniali wszelkie dyrektywy Kremla, biorąc udział w sowietyzacji ojczyzny swoich rodziców i dziadków.

„Łagrowe czy więzienne doświadczenia – pisał prof. Wieczorkiewicz – były gwarancją pełnej dyspozycyjności. Także potem, w polskim mundurze. Absolutnym zatem wyjątkiem potwierdzającym tę regułę był Włodzimierz Radziwanowicz, który został skierowany do LWP, zaznawszy uprzednio do syta dobrodziejstw systemu sowieckiego



Konstanty Rokossowski w 1945 r.

FOT. WIKIPEDIA

(odsiedział dwa wyroki). W nowej służbie, wedle meldunków czujnej Informacji Wojskowej, »odnosił się wręcz wrogo do oficerów narodowości rosyjskiej, poddanych ZSRS«, faworyzując za to »elementy reakcyjne«, czyli dowódców z polskim przedwojennym rodowodem”.

Był jeszcze jeden taki oficer. Mowa o gen. Władysławie Korzycu. Podczas śledztwa w 1937 r. śledczy z NKWD zerwali mu paznokcie, połamali

palce i katowali karabinowym wyciorem. On jednak znalazł sposób na przeżycie. Gdy już wydawało się, że zostanie skazany na śmierć, sygnął kilkudziesięcioma nazwiskami kolejnych uczestników rzekomego spisku. I śledztwo zaczynało się od nowa.

Szkopuł w tym, że były to nazwiska zmyślane. Jako „polskich szpiegów” i „dywersantów” Korzyc podał m.in. bohaterów „Trylogii” Henryka Sienkiewicza. Gdy NKWD zorientowało się w fortelu, uznało Korzycę za wariata i wpakowało go do szpitala dla nerwowo chorych. W ten sposób ocalał głowę. Gdy po latach został odkomenderowany do LWP – podobnie jak Radziwanowicz – złorzeczył na Stalina i bolszewików. W efekcie w 1952 r. został karnie odwołany do Moskwy.

Diametralnie inną postawę przyjął minister obrony PRL Konstanty Rokossowski. A więc oficer, od którego zaczęła się ta opowieść. Mimo potwornych przeżyć w leningradzkiej katowni Rokossowski do końca życia pozostał fanatycznym bolszewikiem. Stalina podziwiał i kochał.

Nigdy nie ośmielił się skrytykować czystek z okresu wielkiego terroru. Tej wielkiej rzezi, która pochłonęła tyłu jego towarzyszy broni i odebrała mu kawał zdrowia. Zapytany kiedyś o swoją zdumiewającą postawę, powiedział:

„A jak odniósłby się pan do matki, która ukarała pana niesprawiedliwie?”.

Rokossowski jednak chyba nie do końca ufał tej „matce”. Jak wspominał jego wnuk, marszałek do końca życia nawet na chwilę nie rozstawał się z pistoletem. Jak bowiem zapewniał – drugi raz żywcem wziąć się nie da.



PAWEŁ WIECZORKIEWICZ
„ŁAŃCUCH ŚMIERCI.
CZYSTKA W ARMII CZERWONEJ
1937–1939”
ZYSK I S-KA

Zdanych Biura Śledczego MSW wynika, że w całym okresie funkcjonowania ośrodków do współpracy nakłoniono ponad tysiąc internowanych. Aby jednak mieć pewność, że praca operacyjna jest wykonywana fachowo, SB postanowiła ulokować wśród nich swoje sprawdzone wcześniej źródła informacji. Do najbardziej znanych należą Lesław Maleszka i Henryk Karkosza. Innym, choć może nie tak znanym, jest Franciszek Skwierczyński, osoba będąca w ścisłym kierownictwie szczecińskiej Solidarności.

NA SZCZYCIE SOLIDARNOŚCI

Do współpracy pozyskany został już w latach 60. Szkolony do realizacji zadań za granicą, nie poradził sobie z należyтым opanowaniem języka angielskiego, dlatego karierę agenta kontynuował w Szczecinie. Początkowo w swoim zakładzie pracy – Fabryce Mechanizmów Samochodowych „Polmo” – a od sierpnia 1980 r. w szczecińskiej Solidarności. Używał pseudonimów: Kamil, Śmiały i Port. Spotkania ze swym oficerem prowadzącym odbywał codziennie, a zawartość czterech tomów akt, dokumentujących współpracę, nie pozostawia złudzeń co do jego roli w rozbijaniu związku. Przeniknął do najwyższych struktur, zostając delegatem na I KZD w Gdańsku, a następnie członkiem prezydium Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” Pomorza Zachodniego. 13 grudnia 1981 r. został za własną zgodą internowany, najpierw w Goleniowie, następnie w Wierchowiu Pomorskim.

Umieszczono go w celi z innymi członkami Zarządu Regionu: z Marianem Jurczykiem, ze Stanisławem Wądołowskim, Stanisławem Kocjanem i z Janem Nowakiem. Przekazywane przez niego informacje dawały funkcjonariuszom SB niemal pełne rozeznanie nastrojów wśród internowanych i ich planów, tych najbliższych, na czas internowania, oraz tych po jego zakończeniu. Dzięki niemu wiedzieli, kto był ich nieformalnym przywódcą, jakie były kanały przerzutowe na zewnątrz, jak internowani porozumiewali się ze sobą, kogo podejrzewali o agenturalność itp. Zdobywana w ten sposób wiedza była cenna szczególnie z uwagi na to, że celem pracy operacyjnej SB było m.in. zastąpienie dotychczasowych przywódców wytypowanymi uprzednio źródłami informacji, które zajmowały się np. tonowaniem nastrojów. Wydaje się, że bardzo ważne były doniesienia Skwierczyńskiego o samopoczuciu internowanych, ich sympatiach i antypa-



Marta Marcinkiewicz

SB szukała współpracowników również wśród internowanych w ośrodkach odosobnienia. I wysyłała tam swoich sprawdzonych agentów

tiach, a także o sprawach osobistych oraz lękach z tym związanych. W czasie bezpośrednich rozmów funkcjonariuszy SB z internowanymi pozwalała ona na rzucanie wzajemnych podejrzeń i oskarżeń, a także sugerowanie np. zdrady przez żonę czy partnerkę. Skwierczyński ze swych zadań wywiązywał się bardzo dobrze, a przekazywanie wrażliwych informacji dotyczących kolegów nie wzbudzało jego oporów.

Ustaloną „legendą” dla jego częstych spotkań z funkcjonariuszem SB był stan zdrowia. Choroba i konieczność przyjmowania leków, zastrzyków oraz robienia dodatkowych badań były najczęściej wykorzystywaną przez SB „przykrywką” dla częstszych wyjść z celi współpracujących z nimi internowanych. Nie chcąc się zdekonspirować ani wzbudzać podejrzeń innych osadzonych, Skwierczyński pisał

do komendanta ośrodka odosobnienia skargi, prośby, m.in. o zgodę na operację, choć – jak tłumaczył w rozmowie swemu oficerowi – czuł się znakomicie.

Agenci bardzo radykalnie odnosili się do funkcjonariuszy Służby Więziennej, dzięki czemu zaufanie do nich pozostałych internowanych miało być nie do podważenia. Przykładowo Lesław Maleszka, czyli tajny współpracownik o ps. Ketman, w ośrodkach w Jaworzu i Darłównu łamał regulamin, zakłócał ciszę nocną głośnym słuchaniem radia, ignorował apele, za co był oczywiście karany jak pozostali internowani. Agentów wykorzystywano także do inspirowania pewnych przedsięwzięć. Dzięki temu SB odpowiednio wpływała na podejmowane przez niektórych internowanych decyzje; pewne nastroje podsycano, inne tłumiono.



FOT. MARK CARRUT/FOTONOWA

nymi tajni współpracownicy słabo wywiązywali się ze swych zadań, to funkcjonariuszom pozostawały informacje uzyskiwane tą drogą. Trudno orzec, który sposób był dla SB wygodniejszy. Informacje pozyskiwane od tajnych współpracowników musiały być subiektywne, w jakiś sposób wypaczone, z kolei podsłuchy zdawałyby w pełni egzamin, gdyby internowani o nich nie wiedzieli. Ponieważ taką świadomość mieli, o sprawach interesujących SB starali się rozmawiać ściszym głosem.

Internowanie tajnych współpracowników służyło nie tylko inwigilacji internowanych, lecz także miało uwiarygodnić ich w środowisku opozycyjnym. To przydawało się zarówno w ośrodku odosobnienia, jak i – a może przede wszystkim – po jego opuszczeniu. Zdarzało się, że do wcześniejszego zwolnienia wybierano osoby nieśluszenie podejrzewane o współpracę z SB, by jeszcze bardziej je pogрузić, a następnie w podziemiu kolportowano nieprawdziwą informację, że dana osoba faktycznie podjęła współpracę. Równie często stosowanym przez SB manewrem było trzymanie swego agenta w ośrodku nieco dłużej niż np. znanego działacza opozycyjnego, co miało podnieść jego prestiż w środowisku

opozycji. Podobnie było w przypadku Skwierczyńskiego. Kiedy uznano, że cel został osiągnięty i udało się go zakonspirować w środowisku na tyle, by uniknąć wobec niego podejrzeń o współpracę, został zwolniony. Po wyjściu z internowania (9 kwietnia 1982 r.) przez kilka miesięcy kontynuował swą agenturalną pracę w rodzajem się

choć de facto tym, którzy po wprowadzeniu stanu wojennego nie zostali zwolnieni, przysługiwało wynagrodzenie w miejscu pracy, odbierane przez upoważnionych członków rodziny. Agenci pobierali zatem pensję z dwóch źródeł. Tak było w przypadku Skwierczyńskiego, który dodatkowo otrzymywał jeszcze premie za wykonanie ważniejszych zadań oraz specjalną premię szefa Służby Bezpieczeństwa MSW, gen. bryg. Władysława Ciałonia. Należałoby też wspomnieć o pomocy rzeczowej i finansowej organizowanej przez kolegów z pracy.

Czy internowani zdawali sobie sprawę z podwójnej roli niektórych swoich kolegów? Dzisiaj trudno to jednoznacznie określić. Nie we wszystkich ośrodkach i celach panowała atmosfera wzajemnych podejrzeń o współpracę. Na pewno dzisiejsze wspomnienia wydają się w tej kwestii niemiarodajne. Niektórzy spośród byłych internowanych uważają, że doskonale wiedzieli, kto donosi, przy czym wśród wymienianych przez nich nazwisk rzekomych współpracowników nie wszyscy nimi faktycznie byli. W innych przypadkach pojawiają się nazbyt idealistyczne twierdzenia, że wśród internowanych panowała solidarność i wszyscy sobie ufali. Zarówno zachowane dokumenty, jak i pisanie w tamtym czasie dzienniki nie potwierdzają tej tezy. Wśród niektórych grup internowanych, choć nie wszystkich, panował nastrój rozliczeniowy. Przykładowo część internowanych w Wierzbowcu Pomorskim mówiła o potrzebie zwołania po zakończeniu stanu wojennego regionalnego parlamentu związkowego, którego zadaniem miała być odpowiedź na pytanie, dlaczego nie wszyscy działacze zostali internowani. Czy dlatego, że byli słabymi działaczami, czy np. współpracowali z SB?

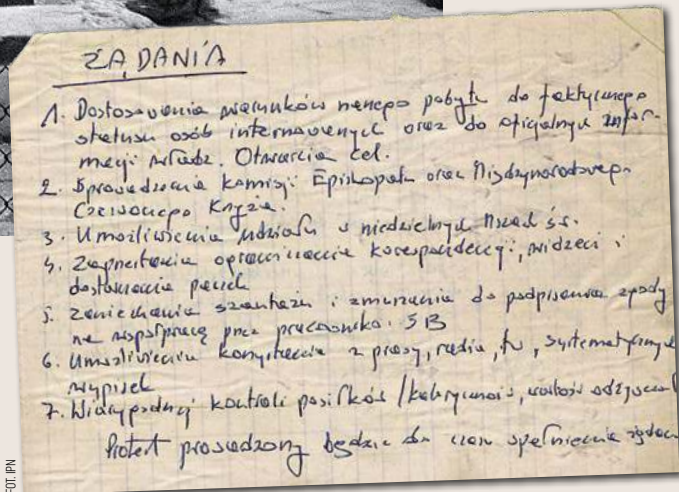
Z całą pewnością nie wszystkie pozyskane w ośrodkach odosobnienia do współpracy osoby były pożytecznymi i wartościowymi źródłami informacji, nie mniej funkcjonariusze SB mieli pełne rozeznanie w sytuacji internowanych, a sporządzane na podstawie donosów tajnych współpracowników charakterystyki opozycjonistów przyczyniły się do lepszego rozpoznania środowiska opozycji. W wielu przypadkach ułatwiło to SB działania dezintegracyjne w podziemiu oraz podejmowanie kroków zmierzających do eliminacji tych osób ze środowiska np. poprzez ich kompromitację.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

szczecińskim podziemiu, rozbijając jego strukturę, a w 1983 r. jako osoba przesładowana przez władze, razem z rodziną wyemigrował do Francji.

OPŁACALNA ODSIADKA

Tajni współpracownicy musieli wyrażać zgodę na internowanie, przy czym za swą pracę otrzymywali wynagrodzenie finansowe. Było ono na tyle wysokie, że rekompensowało straty wynikające z ewentualnego braku zatrudnienia w tym czasie,



FOT. IPN

W pracy operacyjnej korzystano z możliwości częstego przetasowywania osadzonych w celach. W ten prosty sposób wykorzystywano ludzką gadatliwość, ekscytację nową sytuacją, spotkaniem znajomych. Każdorazowa zmiana współwzięcia dawała okazję do nowych rozmów, sporów, wymiany informacji, snucia przypuszczeń, co sprzyjało pracy operacyjnej SB. Świetnie sprawdzały się również podsłuchy ukryte w celach i innych pomieszczeniach. Jeżeli zatem umieszczeni pomiędzy internowa-

Autorka jest pracownikiem Oddziału IPN w Szczecinie.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Polskie krzyże na Syberii

Jak co roku niezauważona – 10 lutego – minęła rocznica deportacji Polaków z ziem wschodnich II RP w głąb Związku Sowieckiego. Ocenia się, że w latach 1939–1941 bolszewicy wywieźli „na białe niedźwiedzie” ok. 350 tys. naszych rodaków – mężczyzn, kobiet i dzieci. Była to olbrzymia tragedia, znaczna część deportowanych nigdy z Sowietów nie powróciła.

Koszmar ten znakomicie oddaje wydana właśnie wstrząsająca książka „Kromka chleba”. Jej autorka – Dagmara Dworak – jest córką współbohatera publikacji Bogusława Żukowskiego, który jako dziecko został wywieziony z rodzinnej Hajnówki na Syberię.

Książka ma nietypową konstrukcję. Jej podstawę stanowią wspomnienia z deportacji, snute przez Bogusława Żukowskiego i jego siostrę Danutę. Kolejna część jest zaś opisem podróży Bogusława w miejsce zesłania, odbytej w 2011 r.

Trudno nie czytać „Kromki chleba” z największym wzruszeniem. Jest to bowiem książka rozdzierająca. Niech państwo ocenią sami:

„BOGUSŁAW: Cmentarz bardzo szybko zapełnił się krzyżami – było ich dużo.

DANUTA: Ludzie z głodu zaczęli puchnąć. I starcy, i dzieci, i dorośli. Całe rodziny puchły z niedożywienia i ludzie zaczęli umierać.

BOGUSŁAW: Krzyże były i małe, i duże. Dla dorosłych stawiało się duże, a dla dzieci – zapewne dla odróżnienia – małe. Takie zwykłe drewniane krzyże.

BOGUSŁAW: Agonia naszej mamy zaczęła się w nocy 16 lipca 1941 roku. Ojciec i zaprzyjaźnione kobiety, które były wtedy u nas w domu, postanowili obudzić nas, dzieci, żeby matka się z nami pożegnała.

DANUTA: Na Syberię zawędrowały z nami w skrzyni dwie przepiękne balowe suknie naszej mamy.

BOGUSŁAW: Tata kazał pochować mamę w tej czarnej balowej sukni.

DANUTA: Cmentarz polski nie był całym gołym placem, zostało na nim kilka drzew. Rosła tam piękna, rozłożysta jodła, a pod nią była mogiła naszej Matki”.

Bogusław i Danuta są wujostwem znanej polskiej aktorki, Joanny Brodzik. ©©



★★★★★
DAGMARA DWORAK
„KROMKA CHLEBA”
REBIS



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pech króla futbolu

Kazimierz Deyna był jednym z najwybitniejszych piłkarzy świata, ale właściwie nigdy nie zrobił kariery, do jakiej był predysponowany. Zapewne inaczej potoczyłoby się jego życie, gdyby pozwolono mu wyjechać na Zachód po mundialu w RFN. Miał wówczas 27 lat, był u szczytu swoich możliwości, uważano go za

pijaliśmy piwko, a on wódkę. Na butelki. W barze pili z nami kibice. [...] Dziennikarze pili z nami. Ostro”.

Deyna wypadł z pierwszego składu i sfrustrowany coraz częściej szukał zapomnienia w procentach. Po pijanemu spowodował wypadek (wioząc w samochodzie syna!), zaczął też regularnie bywać w kasynach. Przegrywał duże sumy, żona nie akceptowała jego trybu życia, dochodziło do domowych awantur. Po kolejnej kraksie dostał nakaz opuszczenia Wielkiej Brytanii, 23 lutego 1981 r. podpisał kontrakt z San Diego Sockers i przeniósł się wraz z rodziną za ocean. Z Kalifornią był związany do końca życia.

Niestety, chociaż w USA zarabiał niezłe pieniądze, to został oszukany przez swojego menedżera i stracił oszczędności całego życia (ok. 350 tys. dol.). Po tym ciosie już nigdy się nie podniósł, tym bardziej że zbliżał się do 40. roku życia i musiał zakończyć karierę piłkarską.

Gdy żona „wystawiła jego walizki za drzwi”, związał się z inną kobietą i planował u jej boku nowe życie. Zajął się trenowaniem najmłodszych zawodników, chciał zdobyć uprawnienia, które umożliwiłyby mu profesjonalne wykonywanie zawodu. Nie było mu to jednak dane, gdyż ostatniej nocy sierpnia 1989 r., prowadząc samochód po pijanemu, zasnął za kierownicą. Pojazd uderzył w stojącą ciężarówkę, a piłkarz zginął na miejscu. W jego kieszeniach znaleziono pół dolara, a w bagażniku samochodu 22 piłki futbolowe... ©©

Podpisał kontrakt z San Diego Sockers i przeniósł się wraz z rodziną za ocean

jedną z największych gwiazd światowej piłki. Niestety, dopiero cztery lata później, już po pechowych dla Polski mistrzostwach w Argentynie, trafił do Manchesteru City. Było już jednak za późno, a wybór klubu trudno uznać za właściwy. Liga angielska nie miała wówczas wiele wspólnego z techniką, grano systemem „kopnij i biegnij”. Dlatego też Deyna kariery na Wyspach nie zrobił, a rozczarowany coraz częściej sięgał po alkohol. Pił coraz więcej, choć przyznać trzeba, że wtedy w lidze angielskiej nie było to wyjątkiem.

„Wtedy była taka zasada, że kto nie umie pić, nie umie grać – opowiadał kolega Deyny z Manchesteru City, Peter Barnes. – Graliśmy ostro na boisku, ale poza nim też. Po każdym meczu szło się całą drużyną na piwo. Pierwsze jeszcze na stadionie, kolejne już w lokalu. [...] »Kazi« oczywiście chodził z nami, po-



LITWA, ALE FINLANDIA

Litewski departament turystyki ma m.in. promować na całym świecie piękno tego kraju, by zachęcać do jego odwiedzenia. Okazało się, że zatrudnieni tam urzędnicy byli nieco nadgorliwi. Zdjęcia, których używali w mediach społecznościowych, były naprawdę piękne, ale... nie wykonano ich na Litwie. Do odwiedzenia Litwy kuszone więc widokami z Finlandii i ze Słowacji. Gdy sprawa wyszła na jaw, rozbawieni internauci dodawali w sieci zdjęcia z innych krajów, opisując je jako fotografie z Litwy. Mniej zabawnie było szefowej departamentu – Jurgita Kazlauskienė – podać się do dymisji. Jej następcy trudno będzie teraz wizerunkowo uratować akcję promocyjną, którą prowadzono pod hasłem: „Litwa. Prawdziwe jest piękne”.

ZAKAZANA DZIECIĘCA PIOSENKA

Ratusz niemieckiego miasteczka Limburg ma wieżę z carillonem. Mechanicznie poruszany zespół dzwonów ma tam w repertuarze w sumie 33 piosenki, w tym 15 niemieckich piosenek dziecięcych, które odgrywane są w różnych porach dnia. Teraz dzwony grać będą o jedną dziecięcą piosenkę mniej. Jedna z miejscowych weganek zażądała od burmistrza usunięcia utworu opowiadającego o lisie, który kradnie gęś. Odgrywanie tej piosenki przypominało jej bowiem słowa, w których jest mowa o tym, że myśliwy dopadnie lisa, używając swojej strzelby. Dzieci w przedszkolach w Limburgu zapewne niedługo nie posłuchają też bajki „Rotkäppchen”, w końcu w niej złego wilka też zabija myśliwy.

HITLER ARESZTOWANY

Młody mężczyzna w nazistowskim mundurze z charakterystycznym przedziałkiem i wąsikami paradował po Braunau am Inn – mieście, w którym urodził się Adolf Hitler. 25-latek maszerował po centrum miejscowości, fotografował się przed domem rodzinnym przywódcy III Rzeszy. Wcześniej widywano go również na ulicach Wiednia i Grazu. Lokalne media podały, że po „występie” w Braunau am Inn mężczyzna został aresztowany – ujęto go w niemieckim miasteczku znajdującym się przy granicy z Austrią. Będzie odpowiadał za karalne w Austrii gloryfikowanie nazizmu. ©©

SZWEDZKIE WIELBŁĄDY DLA IMIGRANTÓW

Miastu Göteborg udało się połączyć wydawanie unijnych funduszy z krzewieniem unijnej polityki „herzlich willkommen” oraz promowaniem ekologii. Na zdominowanych przez migrantów przedmieściach ma powstać park z wielbłędami. Będzie on częścią większego unijnego projektu polegającego na tworzeniu miejsc pracy w zakładach cechujących się niską emisją zanieczyszczeń, na który gmina otrzymała 13 mln szwedzkich koron (w przeliczeniu: ok. 6 mln zł). Po co wielbłądzie centrum Skandynawom? Inicjator projektu, Géza Nagy, opowiadał gazecie „Göteborgs-Posten”, że będzie ono przyciągać turystów, na których się zarobi. Jego zdaniem

przybytek przyjadą podziwiać ludzie z całego świata, w tym z Japonii i Chin. Jednak projekt ma jeszcze jeden ważny cel. Zatrudnienie przy nim mają znaleźć uchodźcy. Nagy zauważył bowiem, że w Szwecji jest wielu imigrantów z Bliskiego Wschodu i Somalii, którzy „mają rozległą wiedzę na temat wielbłądów”. – Myślimy, że to jest ekscytujący pomysł na integrację, który może też doprowadzić do stworzenia miejsc pracy i przyciągnięcia turystów – mówiła mediom Marina Johansson z miejskiej administracji. Mniej ekscytują się sami imigranci. Jeden z nich powiedział szwedzkim dziennikarzom, że gdyby chciał paść zwierzęta, to zostałby w Somalii.

Nagła rezygnacja znanego z prorosyjskich sympatii gen. Michaela Flynna z funkcji doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego wywołała w Waszyngtonie polityczną burzę. Generał, którego kariera w Białym Domu trwała zaledwie 24 dni, musiał podać się do dymisji, gdy media poinformowały o jego podejrzanych kontaktach z ambasadorem Rosji w USA – Siergiejem Kislakiem.

Jak ujawnił dziennik „Washington Post”, pod koniec grudnia gen. Flynn rozmawiał z Kislakiem o ewentualnym złagodzeniu sankcji, które nałożył na Rosję rządzący jeszcze wówczas Barack Obama. Jednocześnie Michael Flynn miał wielokrotnie zapewniać wiceprezydenta Mike’a Pence’a i innych wysokiej rangi urzędników Białego Domu, że temat sankcji w czasie jego rozmów z rosyjskim ambasadorem wcale się nie pojawił. To samo generał stwierdził 8 lutego w wywiadzie dla „Washington Post”.

Amerykańskie służby wywiadowcze mają jednak pełny zapis rozmów telefonicznych Flynna z Kislakiem. Funkcjonariusze Federalnego Biura Śledczego (FBI) oraz Agencji Bezpieczeństwa Narodowego (jednej z najbardziej tajnych organizacji wywiadowczych w USA, której skrót NSA rozwijało się jeszcze kilka lat temu jako „No Such Agency”, czyli „nie ma takiej agencji”), monitorowali bowiem wszystkie rozmowy rosyjskiego ambasadora, a także czytali wszystkie SMS-y, które Kislak otrzymywał oraz wysyłał. Flynn, były dyrektor agencji wywiadu wojskowego, powinien był się tego domyślać, bo choć teoretycznie takie operacje są objęte klauzulą „ściśle tajne”, to w przypadku dyplomaty tej rangi fakt, że takie działania prawdopodobnie są podejmowane, jest raczej tajemnicą poliszynela. Dokładny zapis rozmów Flynna z Kislakiem ma też zapewne wywiad rosyjski.

Ostatnia rozmowa gen. Flynna i ambasadora Kislaka odbyła się 30 grudnia, a więc dzień po tym, jak Barack Obama zdecydował o wyrzuceniu z USA 35 rosyjskich szpiegów udających dyplomatów, dając im 72 godziny na opuszczenie Ameryki. Była to odpowiedź na ingerencję Rosjan w amerykańskie wybory prezydenckie. Co dziwne, Kreml nie zdecydował się wówczas na adekwatną odpowiedź i wydalenie 35 amerykańskich dyplomatów. Za ten „wspaniałomyślny gest” Władimira Putina pochwalił wówczas na Twitterze Donald Trump.

Ciemne chmury nad Trumpem



Jacek Przybylski

Na Białą Dom padł cień rosyjskiego niedźwiedzia. Skandal związany z dymisją prorosyjskiego gen. Flynna może zmusić Donalda Trumpa do rezygnacji z ocieplenia relacji z Rosją. To także pierwsza przegrana prezydenta w walce z własnym wywiadem



Generał Michael Flynn (drugi z lewej) stracił pracę w Białym Domu po zaledwie 24 dniach

FOT. CARLOS BARRIA/REUTERS/FORUM

Według informatorów „Washington Post” sankcje były głównym tematem rozmów amerykańskiego doradcy i rosyjskiego ambasadora. To zaś oznacza, że rozmowa gen. Flynn mogła być nielegalna – ustawa Logana zakazuje bowiem osobom nieupoważnionym prowadzenia rozmów z władzami krajów, z którymi USA są w konflikcie (przez ćwierć wieku z tego paragrafu nikt jednak nie został skazany). Ważniejsze wydaje się jednak to, że gen. Flynn – znany już wcześniej z tendencji do koloryzowania rzeczywistości – okłamywał w sprawie treści tych rozmów najważniejsze osoby w Białym Domu. Departament Sprawiedliwości ostrzegł więc, że ukrywając prawdę o rzeczywistym przebiegu rozmowy, generał naraził się m.in. na szantaż ze strony kremlowskich służb. Podobnego zdania był ówczesny szef CIA John Brennan. Pracownicy Pentagonu i FBI zaczęli zaś sprawdzać, jakie pieniądze w 2015 r. Rosjanie wypłacili gen. Flynnowi, gdy ten odwiedził Moskwę i wystąpił u boku Władimira Putina na gali propagandowej telewizji Russia Today.

ROSYJSKA PUŁAPKA

45. prezydent USA początkowo starał się uratować swojego człowieka. Jeszcze przed wyborami przecieki do mediów sprawiły bowiem, że Donald Trump musiał skazać na zesłanie ówczesnego szefa swojej kampanii – Paula Manafort, oskarżanego o prowadzenie mętnych interesów na Ukrainie. W końcu Trump musiał jednak ulec presji i przestać bronić gen. Flynn.

Prezydent nadal ma jednak ogromny problem. Sally Yates, odwołana przez Trumpa pod koniec stycznia prokurator generalna, twierdzi bowiem, że ostrzegała prezydenta przed gen. Flynnem. Demokraci i liberalne media dopytują więc, kto, kiedy i co wiedział, oraz dlaczego Trump, zdając sobie sprawę, że gen. Flynn prowadził podejrzaną i niedopuszczalną z punktu widzenia obowiązujących w USA standardów „prywatną dyplomację”, nic z tym nie zrobił do czasu wybuchu afery. Skandal jest więc poważny. Wydaje się jednak, że to wciąż za mało, aby spełnić marzenie zagorzałych wrogów 45. prezydenta i doprowadzić do jego szybkiego impeachmentu. Amerykańscy bukmacherzy już przyjmują zakłady, oceniając prawdopodobieństwo tego, że Trump zostanie odwołany lub sam zrezygnuje przed końcem kadencji, na niemal 48 proc.

Nie takie rzeczy Ameryka widziała. W 1969 r. najsłynniejszy prezydencki doradca Henry Kissinger spotkał się ze szpiegiem z KGB 18 dni przed oficjalnym zaprzysiężeniem Richarda Nixona. Różnica polega na tym, że Kissinger, zanim poszedł do sowieckiej ambasady, poinformował o swoich planach dyrektora FBI. Generał Flynn tego nie zrobił. I chociaż nie ma absolutnie żadnych dowodów na to, że mógł działać jako agent obcego mocarstwa, to senatorzy tacy jak republikanin John McCain czy Mitch McConnell z pewnością będą dążyć do dokładnego wyjaśnienia afery. Sprawa ta zostanie zapewne włączona do śledztwa mającego wyjaśnić kulisy rosyjskiej interwencji w amerykańskie wybory.

Na wszelki wypadek obecny gospodarz Białego Domu nie ograniczył się więc do odwołania skompromitowanego doradcy, ale szybko wyznaczył na to stanowisko człowieka znanego z antyrosyjskiej postawy: wiceadmirała Roberta Harwarda, byłego komandosa i dawnego zastępcę szefa Centralnego Dowództwa USA (CENTCOM). Ta zmiana może istotnie zmienić rozkład sił w Białym Domu: zagorzałym przeciwnikiem Moskwy jest bowiem również sekretarz obrony James Mattis. Obaj mogą więc przekonywać Trumpa, by nie spieszył się z ocieplaniem stosunków z Moskwą.

Zresztą w ostatnich dniach Donald Trump wyraźnie zaostrzył także stanowisko wobec Moskwy. Oficjalnie wezwał Rosję do deeskalacji przemocy na Ukrainie i do zwrotu Krymu, choć wcześniej wyraźnie powstrzymywał się od krytyki Rosji za zajęcie półwyspu. Powodem zmiany tonu mogło być m.in. wznowienie działań wojennych na wschodzie Ukrainy. Cień rosyjskiego niedźwiedzia i tak przesładowe jednak nowego amerykańskiego przywódcę. Wielu komentatorów uważa bowiem, że było to działanie na pokaz, a Trump, niby strofując Putina, robi to, puszczając do niego oko i dając władcy Rosji do zrozumienia: „Ty najlepiej wiesz, że muszę to teraz zrobić”.

Tym samym nowy gospodarz Białego Domu nie może wydostać się z pułapki i cały czas musi udowadniać, że nie jest sterowany z Kremla. Niewykluczone więc, że zostanie zmuszony do porzucenia swojego planu i rezygnacji z wszelkich prób ocieplenia relacji z Rosją.

Taki wariant zdaje się rozważać sam Kreml. Jak podała telewizja Fox News, u wschodnich wybrzeży USA zauważono

bowiem w zeszłym tygodniu rosyjski okręt szpiegowski, który ostatni raz w pobliżu Ameryki widziany był w kwietniu 2015 r. Z kolei „The New York Times” poinformował o innym wyzwaniu, jakie Trumpowi rzuciła właśnie Moskwa: mimo protestów USA Rosjanie w tajemnicy rozmieścili nowe rakiety samosterujące ziemia-ziemia, o zasięgu wynoszącym nawet 5,5 tys. km, łamiąc tym samym układ o likwidacji pocisków rakietowych średniego i krótszego zasięgu z 1987 r., który podpisali jeszcze Reagan i Gorbaczow.

ZABÓJSTWO POLITYCZNE

„Prawdziwy skandal polega na tym, że tajne informacje są nielegalnie rozdawane przez nasz »wywiad« niczym cukierki.

Dymisja Flynna to zaś pierwsza poważna porażka w walce 45. prezydenta ze służbami specjalnymi, które w USA mają – całkowicie zgodnie z prawem – ogromną siłę rażenia. Eli Lake na portalu Bloombergu wprost pisze więc o „politycznym zabójstwie Michaela Flynna”. I podkreśla, że zapewnienia Białego Domu o tym, że główną przyczyną dymisji Flynna było wprowadzenie w błąd wiceprezydenta, brzmią tak samo wiarygodnie jak słowa prezydenta wypowiedziane podczas spotkania z funkcjonariuszami CIA o tym, że to media wymyśliły historię o jego wrogości wobec agencji (choć sam Donald Trump zaledwie dwa tygodnie wcześniej zarówno na własnym koncie twitterowym, jak i podczas konferencji

camy do ujawniania informacji, którym amerykańskim obywatelom odmówiono certyfikatu bezpieczeństwa – stwierdził Devin Nunes.

Sean Hannity, komentator Fox News, mówi zaś wprost o „polowaniu na czarownicę”. I złowrogo zapowiada, że skoro lewica „poczuła krew”, to po sukcesie, jakim jest dymisja Flynna, zrobi wszystko, aby zatrzymać Trumpa i zniszczyć każdego z jego otoczenia. Aby zapobiec takiemu scenariuszowi, niektórzy republikanie, choćby kongresmen Scott Taylor – dawny komandos – namawiają prezydenta i szefów służb wywiadowczych do jak najszybszego zakończenia sporów. Taylor wskazywał m.in. na podziały między administracją Trumpa a niektórymi pracownikami wywiadu, wśród których rzecz jasna część to ludzie mianowani za rządów Obamy. – To ważne, by prezydent miał zaufanie do szefów służb. To ważne dla naszego kraju i dla narodowego bezpieczeństwa – mówił kongresmen w CNN.

Nawet jednak jeśli część środowiska wywiadowczego uzna dymisję gen. Flynna za wyciągniętą do nich przez Trumpa dłoń, to wielu funkcjonariuszy wywiadu jest z założenia przeciwnych obecnemu gospodarzowi Białego Domu i nawet po dymisji Flynna nadal będzie go uważać za ignoranta, którego mizdrzenie się do Putina może być groźne dla narodowego bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Dochodzi nawet do tego, że – jak poinformował w czwartek „The Wall Street Journal” – wstrzymują się z przekazywaniem prezydentowi najbardziej wrażliwych tajnych informacji.

Prezydenta będzie więc czekać kilka trudnych tygodni i wiele pokus. Biograf Richarda Nixona, Tim Weiner, przy okazji afery Flynna ostrzega bowiem, że słynna Watergate zaczęła się, gdy Nixon nakazał Kissingerowi podsłuchiwać członków własnego gabinetu, aby położyć kres fali kompromitujących przecieków. Watergate zakończyła się rezygnacją prezydenta z urzędu. Trump wcale nie musi powtórzyć błędów Nixona. Jeszcze podczas kampanii wyborczej wielokrotnie pokazał bowiem, że potrafi szybko pozbywać się osób stanowiących dla niego polityczny balast i wychodzić obronną ręką z beznadziejnie wyglądających sytuacji. Tym razem też może mu się to udać. Powinien jednak szybko znaleźć sposób na porozumienie z elitami własnych służb specjalnych.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Szef dyplomacji USA Rex Tillerson podczas rozmowy z Siergiejem Ławrowem zadeklarował gotowość współpracy, ale zaznaczył, że Moskwa musi wywiązać się z zobowiązań w sprawie konfliktu na Ukrainie. FOT. ALEXANDER SHECHERBAK/TASS/GETTY IMAGES

To bardzo nieamerykańskie” – pisał na Twitterze Donald Trump. I pytał: „Dlaczego mamy tyle nielegalnych przecieków z Białego Domu. Czy takie przecieki będą miały miejsce, kiedy będę się zajmował Koreą Północną itp.?”

Pytania zadawane przez Trumpa mają rzecz jasna służyć odwróceniu uwagi od samej afery z gen. Flynnem w roli głównej. Mają jednak bardzo dużo sensu. Oczywiście ogromna liczba przecieków wynika m.in. z tego, że amerykańska administracja jest obsadzona ludźmi powołanymi jeszcze za czasów ośmioletnich rządów Baracka Obamy. Kryzys wokół doradcy ds. bezpieczeństwa jasno pokazuje też, że obecny gospodarz Białego Domu ma w amerykańskich służbach wywiadowczych wielu przeciwników, którzy chętnie dzielą się materiałami z nieprzychylnymi Trumpowi redakcjami.

prasowej krytykował CIA oraz FBI za wyciek niezweryfikowanych informacji o rzekomych hakach, które mają na niego Rosjanie). Obecny prezydent oznajmił wówczas, że działania amerykańskich służb wywiadowczych przypominają mu nazistowskie Niemcy. Jak zauważa Eli Lake, bardziej prawdopodobny jest scenariusz, zgodnie z którym gen. Flynn został celowo zniszczony. Bardzo rzadko bowiem do mediów trafiają jakiegokolwiek przecieki dotyczące podsłuchiwanie przez amerykańskie służby obywateli USA, a co dopiero wysokiej rangi urzędników Białego Domu. Cytowany przez Bloomberg republikanśki kongresmen Devin Nunes mówi wprost o dobrze zorganizowanych atakach na Flynna i innych członków administracji Trumpa. – Od wycieków treści rozmów telefonicznych między prezydentem a zagranicznymi przywódcami



SZEWACH WEISS

Żydzi i język niemiecki

Moja córka, prof. Yfat Weiss-Schneider, prodzikan ds. naukowych na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie, podczas naszej rozmowy wspomniała o swoim ostatnim artykule napisanym na podstawie badań naukowych przedstawiających sytuację z lat 30. XX w. na Uniwersytecie Hebrajskim, gdy naukowcy przestali używać języka niemieckiego. Trzeba podkreślić, że duża część z nich pochodziła z Niemiec i niemiecki był dla nich ojczystym językiem, w którym rozmawiali z rodzinami, ale był on również bardzo popularny w rozmowach czysto naukowych. W XIX i XX w. język ten był w wielu krajach (m.in. na ziemiach wchodzących w skład imperium Habsburgów) najważniejszym językiem w świecie kultury i nauki. Ponad połowa książek w moim rodzinnym domu, zwłaszcza pozycje naukowe, była w języku niemieckim. Nawet po wojnie moi rodzice, będąc w Izraelu, czytali tygodniki i czasopisma w języku, którym posługiwali się

wypowiada, ale się je wykrzykuje, pełno w nim stwierdzeń rasistowskich i przekleństw pod adresem Żydów i innych narodów.

Żydzi przez prawie 2 tys. lat życia w diasporze mieli kilka swoich języków. Najważniejszy zawsze był hebrajski, w którym się modlili i który był spoiwem narodu żyjącego przez tyle lat z dala od swojej historycznej ojczyzny. Jednak oprócz tego tworzone inne języki. Najpopularniejszy z nich to jidysz, stworzony na podstawie języka niemieckiego.

Ogromną tragedią jest to, że w niemieckich obozach zagłady niemal wszyscy Żydzi – skazani albo na natychmiastową, albo opóźnioną o kilka tygodni śmierć – doskonale rozumieli język swoich oprawców. To był właśnie „mord-deutsch”. Pamiętam jedną z moich pierwszych wycieczek do Europy, na którą wybrałem się samochodem. Gdy wjeżdżałem z północnych Włoch do Austrii, w jakimś miasteczku w Alpach na skrzyżowaniu stał policjant. Dawał znaki ręką i dość głośno krzyczał: „Links!”, „Rechts!”.

takie „Achtung!”, potem „zapraszam” Żydów do synagogi czy innego miejsca w getcie, a wiedzieliśmy dokładnie, że zapraszają nas do wyjazdu na śmierć. To „Achtung!” oznaczało ogromny strach. To właśnie „mord-deutsch”. Nie sam język, ale ten dźwięk, krzyk.

Kiedy wracam myślami do niemieckiej okupacji i miesięcy spędzonych w piwniczce w Borysławiu, przypominam sobie coś jeszcze. Mój ojciec Meir przeniósł z naszej domowej biblioteki do tej piwnicy kilka książek, a wśród nich atlas świata w języku niemieckim. W ciemnej piwnicy połączony z kanałami spędziłem 20 miesięcy. Z moim kuzynem, będąc pod wpływem wojny i towarzyszącego jej strachu, z błota i gliny tworzyliśmy swoje armie. Jedną z zabaw polegała na tym, że rozkładaliśmy niemieckojęzyczny atlas i leżąc przy nim – ja wyciągałem wszy ze swoich włosów, a kuzyn ze swoich – prowadziliśmy wojnę. Był to ciąg dalszy II wojny światowej w wykonaniu dwóch strategów. Stawiałem swoje wszy na Moskwie, on na Berlinie i zmagaliśmy się, kto zwycięży. Mając przy tym nadzieję, że wszy z Moskwy jednak wygrają. Żyliśmy wtedy w strasznych warunkach, w okropnym brudzie. Wyobraźcie sobie, co na taki widok powiedzieliby Niemcy, właśnie w języku „mord-deutsch”. „Verfluchte Juden!”. To określenie człowieka brudnego, takiego, od którego można się czymś zarazić, kogoś niewiele lepszego od szczura. Jednak nawet wtedy, podczas okupacji, jako dzieci bawiliśmy się na atlasie w języku niemieckim.

Nie da się wymazać historii również, a może przede wszystkim, z kultury, literatury ani sztuki. Jeśli ktoś chce poszerzyć wiedzę o wpływie niemieckojęzycznej kultury na Żydów, a także kontynuacji kultury polskich Żydów w Izraelu, to powinien zainteresować się pracami naukowymi dr Elżbiety Kossewskiej.

oprac. raw ©

75

To „Achtung!” oznaczało ogromny strach. To właśnie „mord-deutsch”. Nie sam język, ale ten dźwięk, krzyk

oprawcy w Auschwitz i w innych miejscach. Jednak naukowcy Uniwersytetu Hebrajskiego, słysząc przemówienia Hitlera, wykrzykiwaną nienawiść, zrezygnowali z posługiwania się tym językiem.

Jeden z najwybitniejszych izraelskich pisarzy i poetów, Tuvia Rivner, był bardzo krytykowany za to, że po wojnie tworzył również w języku niemieckim. Odpowiadając na krytykę, stwierdził, że są dwa języki niemieckie. Jest język Goethego, Heinego, Einsteina, Freuda i jest inny język niemiecki, który on nazwał „mord-deutsch”, czyli język morderców. Gramatyka jest w nim prosta, słów się nie

Ja w tej sekundzie byłem sparaliżowany. Przypomnił mi się system skazywania ludzi na natychmiastową lub opóźnioną śmierć używany przez Josefa Mengele.

Pierwszy raz pojechałem do Niemiec w 1985 r., by w imieniu Knesetu i instytucji historycznych wziąć udział w debacie w Bonn, ówczesnej stolicy Republiki Federalnej Niemiec. Po zakończeniu konferencji, czekając na pociąg do Frankfurtu, skąd miałem lecieć do Izraela, usłyszałem z głośników: „Achtung! Achtung!”. I znowu byłem sparaliżowany. Pamiętam to „Achtung!” z dzieciństwa, kiedy z głośników padało

Berlin, choć ze względu na swoją wielokulturowość uważany jest za najmniej niemieckie miasto Republiki Federalnej, paradoksalnie jest od lat odbiciem sytuacji politycznej w całych Niemczech. Za najbardziej miarodajny sondaż opinii publicznej w Niemczech uchodzą bowiem lokalne wybory w landzie, jakim jest stolica Niemiec. Te ostatnie z października 2016 r., które dały władzę w Berlinie koalicji socjalistów, postkomunistów i zielonych (tzw. koalicja czerwono-czerwono-zielona), wskazują na realną możliwość utraty władzy przez kanclerz Angelę Merkel i zawiązanie identycznej koalicji jak w Berlinie na szczeblu federalnym. A to w praktyce oznacza, że na czele rządu Niemiec po 24 września, kiedy mają się odbyć wybory parlamentarne, może stanąć dobrze znany w Polsce Martin Schulz. Warto się więc bliżej przyjrzeć temu politykowi.

Jeszcze stosunkowo niedawno wydawało się, że Merkel zdołała zapanować nad sytuacją polityczną w RFN. Dotychczasowy szef SPD i jednocześnie wicekanclerz Sigmar Gabriel nie stanowił dla Merkel w zbliżających się wyborach żadnej konkurencji. Gabriel należy bowiem do najmniej lubianych polityków w Niemczech, zaś SPD pod jego kierownictwem od wielu miesięcy sukcesywnie traciła w sondażach. Jedynym realnym zagrożeniem dla kanclerstwa Merkel wydawał się Frank-Walter Steinmeier, niezwykle popularny szef dyplomacji. Jednak zgoda na to, żeby Steinmeier został wspólnym kandydatem wielkiej koalicji na prezydenta Niemiec, skutecznie wyłączyła go z walki o fotel kanclerski. Funkcja prezydenta Niemiec, wybieranego nie przez naród, lecz przez Zgromadzenie Federalne, jest czysto reprezentacyjna i z zasady nie włącza się on bezpośrednio do walki wyborczej.

Wydawało się w tej sytuacji, że kanclerz może spać spokojnie i prostą drogą zmierzać do piątej już kadencji na fotelu szefowej niemieckiego gabinetu oraz bicia rekordów Adenauera i Kohla pozostawiania przy władzy. Wtedy to niespodziewanie pojawił się na horyzoncie Martin Schulz. Zapowiedział rezygnację z funkcji szefa Parlamentu Europejskiego i powrót do polityki krajowej.

NOSICIEL NADZIEI

Od razu zaliczył najwyżej, jak można było. Zażądał dla siebie funkcji wicekanclerza i równocześnie szefa SPD oraz ustanowienia go kandydatem



Cezary Gmyz z Berlina

Ten niemiecki polityk nigdy nie zasiadał w federalnym parlamencie. Został jednak kontrkandydatem Angeli Merkel do objęcia władzy w Niemczech

Martin Schulz kanclerzem?

socjalistów na stanowisko szefa rządu po wyborach. Gra o najwyższą stawkę się opłaciła. Dwie trzecie z jego żądań zostały spełnione. Dostał już formalną nominację kandydata na kanclerza swojej partii, wybór na szefa SPD jest zaś w tej sytuacji przesądzony. Merkel jednak nie zamierzała go zapraszać do swojego gabinetu, zwłaszcza że funkcja szefa dyplomacji w Niemczech od lat wiąże się z wysokim prestiżem i mrocznym wzrostem popularności. W tej sytuacji zdecydowała się na przesunięcie Gabriela z resortu gospodarki do MSZ, i to mimo słabych kompetencji Gabriela w dziedzinie dyplomacji. Cokolwiek by powiedzieć, to jednak doświadczenie Schulza w polityce międzynarodowej jest większe. Wydawało się, że w tej sytuacji niemiecka kanclerz po raz kolejny pozamiatała rodzime podwórko na swój sposób. Do czasu. A konkretnie do 29 stycznia, kiedy to Schulz wystąpił w siedzibie SPD w Willy-Brandt-Haus z przemówieniem jako kandydat najstarszej niemieckiej partii na kanclerza Niemiec. Do Schulza można mieć wiele zastrzeżeń. Nie da się jednak ukryć, że przemawiać potrafi, a w dodatku jest politykiem z krwi i kości. Schulz porwał salę. Tchnął w partię nowe siły i stał się – jak to się określa w Niemczech – Hoffnungsträger (nositel nadziei).

Mimo że niemieckie media powątpiewały w to, czy ma on szanse w starciu z potężną kanclerz. Nawet sympatyzujący z lewicą tygodnik „Spiegel” opublikował satyryczny rysunek będący wyrazem tych wątpliwości. Przedstawił on dwóch mężczyzn rozmawiających w barze. Jeden pytał drugiego: „Jak myślisz, czy Schulz ma szansę zostać kanclerzem?”. „Owszem – odpowiadał drugi – pod warunkiem że zdoła ukryć, że jest z SPD”.

Dowcipy trwały jednak tylko do chwili, kiedy pojawiły się pierwsze po wystąpieniu Schulza sondaże. A były one szokujące. Notowania socjalistów wystrzeliły jak z katapult. Skok był niesamowity – o 8–10 punktów procentowych w ciągu tygodnia. To spowodowało, że obie największe, jak to się nazywa w Niemczech, partie ludowe zrównały się w notowaniach. Jeden z demoskopów sprawdził, jak wyglądałoby bezpośrednie starcie Merkel – Schulz, gdyby niemiecki kanclerz był wybierany bezpośrednio, a nie – jak to jest – przez parlament. Tutaj różnica była druzgocąca na korzyść Schulza. Na fotelu kanclerza chętnie widziałaby go połowa Niemców, podczas gdy Merkel zaledwie 34 proc.

Tym razem „Spiegel” nie miał już wątpliwości. Na swojej okładce ogłosił Merckeldämmerung, czyli zmierzch Merkel. To oczywiście nawiązanie do słynnego



FOT. SEAN GALLUP/GETTY IMAGES

dzieła Richarda Wagnera – „Zmierzch bogów”.

DROGA DO POLITYKI

Warto się zatem przy tej okazji zastanowić, jak to się stało, że ten niemiecki polityk – legitymujący się ledwie zawodowym wykształceniem – stał się jednym z najpotężniejszych polityków europejskich z szansą objęcia rządu w największym kraju Unii Europejskiej.

Schultz urodził się 1955 r. w Hehlrath nieopodal Akwizgranu. Jednak jego rodzinne miasteczko odbiega charakterem od większości miejscowości tego regionu zachodnich Niemiec, mających charakter patrycjuszowski. Hehlrath przypomina raczej proletariackie miasta Zagłębia Ruhry. Jednak Schultz nie wywodził się z proletariatu, lecz z klasy średniej. Jego ojciec był w chwili urodzin Martina policjantem w stanie spoczynku. Matka zaś, głęboko wierząca katoliczka mająca aż pięcioro dzieci, była współzałożycielką CDU w swojej miejscowości. Przyszły polityk SPD był jej najmłodszym dzieckiem. Nic więc dziwnego, że Schultz trafił do katolickiej szkoły podstawowej dla chłopców, a następnie do katolickiego gimnazjum Ducha Świętego prowadzonego przez zgromadzenie zakonnych duchaczy. Nie zdołał jednak zdobyć pełnego wykształcenia średniego. Powtórzał 11. klasę, kończąc naukę na Mittlere

Reife będącym – z grubsza rzecz biorąc – odpowiednikiem przedwojennej polskiej małej matury. Wówczas bardziej niż nauka zajmowała go piłka nożna. – Na punkcie futbolu zwariowałem, moją biblią był „Kicker” (niemieckie czasopismo piłkarskie) – wspominał. Grał w miejscowej drużynie piłkarskiej, na pozycji, notabene, lewego obrońcy. Co ciekawe, mimo to uniknął poboru do Bundeswehry, uznano go za niezdolnego do służby wojskowej. Może dlatego, że miał inną obok piłki nożnej pasję – był nałogowym alkoholikiem, czego nigdy nie ukrywał. Od 1980 r. jest jednak abstynentem. Co ciekawe, choć uważany jest za skrajnego lewicowca, nigdy nie wystąpił z Kościoła katolickiego. Ma też ślub kościelny ze swoją żoną, Inge. Jego rodzina z dwojgiem dorosłych już dzieci żyje w tym samym miasteczku – Würselen – w którym dorastał Schulz.

Ostatecznie Schulzowi udało się skończyć zawódówkę księgarską. Pracował potem w kilku księgarniach i wydawnictwach. Potem założył z siostrą własną księgarnię, której współwłaścicielem był do 1994 r. Nie jest prawdą powtarzana często plotka, że Schultz nie włada żadnym językiem obcym. Wręcz przeciwnie – posługuje się angielskim, francuskim, hiszpańskim, włoskim i niderlandzkim.

Karię polityczną Schulz zaczął od dołów partyjnych. Jako 19-latek wstąpił

do Jusos – młodzieżówki SPD. Dopiero po 10 latach partyjnego stażu udało mu się zostać radnym miejskim. Szybko okazało się, że ma polityczny talent. Zdobył popularność wśród mieszkańców miasteczka – tak dużą, że kiedy ubiegał się o fotel burmistrza Würselen, nie miał kontrkandydata. Z chwilą objęcia urzędu był najmłodszym burmistrzem w Nadrenii. Miał zaledwie 31 lat. Właśnie na ten epizod w swojej politycznej karierze się powołuje, kiedy zarzuca mu się, że jest typowym eurokratą bez doświadczenia w krajowej polityce.

EUROBARON

Faktem jest jednak, że Schultz przeskoczył jeden etap na politycznej drodze. Nigdy nie zasiadał w federalnym parlamencie. Z fotela burmistrza trafił do europarlamentu w 1994 r. Tam również zrobił błyskawiczną karierę, głównie dzięki wyeliminowaniu swojego konkurenta Williego Rothleya w związku ze sprawą niejasnych diet parlamentarnych. Chodziło o niespełna 10 tys. euro, ale po tym, jak udało się Schulzowi sprawą zainteresować bulwarówki, Rothley musiał ustąpić.

Schulz znany jest z ciętego języka. Najgłośniejsza była jego utarczka z premierem Włoch, Silvio Berlusconim. Rozsierdzony docinkami Schulza Włoch nie wytrzymał i wykrzyczał do Schulza, że mógłby mu powierzyć rolę kapo w filmie o obozie koncentracyjnym. Paradoksalnie to przysporzyło Schulzowi sympatii w Niemczech. W 2014 r. SPD powierzyła mu funkcję lidera listy wyborczej. Głosowało na niego ponad 90 proc. delegatów. To dało mu silną pozycję, która otworzyła mu drogę do jednej z trzech najważniejszych funkcji w europejskiej polityce – szefa Parlamentu Europejskiego.

Jego powrót do niemieckiej polityki nie jest dobrą wiadomością dla Polski. Powiedzieć, że Schulz ma krytyczny stosunek do obecnych polskich władz byłoby eufemizmem. Zresztą w swojej mowie w Willy-Brandt-Haus odniósł się do Polski, choć nie wymienił jej z nazwy. Zagroził tym krajom, które nie przyjmują uchodźców, obcięciem funduszy na rolnictwo i wydatki infrastrukturalne.

Na szczęście do jesiennych wyborów pozostało jeszcze pół roku. Zdecydowana polityka prouchodźcza, jaką proponuje Schulz, nie będzie mu przysparzała dodatkowych punktów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest korespondentem TVP w Berlinie i publicystą „Do Rzeczy”

ROMAN HUSARSKI: W Waszyngtonie otworzono wystawę sztuki z Korei Północnej, po raz pierwszy w historii USA.

BRIAN REYNOLDS MYERS: Nie jestem pewny, czy pokazywanie tego typu sztuki to dobry pomysł, chyba że w krytycznym kontekście. Problem ze wspomnianą wystawą polega na tym, że od samego początku do końca funkcjonuje ona na zasadach Korei Północnej. Rząd KRLD dostarcza prace w zamian za pewne obietnice. W 2010 r. odwiedziłem podobną wystawę w Wiedniu. Publikacja nie miała pojęcia, co prace przedstawiają. Widzowi zaprezentowano jedynie obraz oraz tytuł, bez żadnego, choćby krótkiego, komentarza. To, co pokazuje się na tych wystawach, to specjalnie wyselekcjonowane, odkażone prace, dalekie od prawdziwie rasistowskiej propagandy publikowanej wewnątrz kraju. To jeden z wielu przykładów przewrotności reżimu. W USA twórcy wystawy przekonują się nawzajem, że budują więź z KRLD, a w rzeczywistości dają ludziom błędne wyobrażenie o tym kraju.

Postmoderniści mówią, że każdy może interpretować sztukę tak, jak ma na to ochotę. Problem w tym, że sztuka KRLD jest przygotowywana w konkretnym celu.

Właśnie dlatego w ZSRS stworzono socrealizm. W latach 20. sztuka powstawała jeszcze dość spontanicznie, tworzona przez pisarzy i malarzy z różnych kręgów estetycznych. Prace były otwarte na różne interpretacje. Socrealizm, w założeniach jego twórców, miał z kolei funkcjonować w taki sposób, że gdy pokażesz jego owoce stu osobom, każdy tak samo na nie zareaguje. Postmodernista może powiedzieć: „To tylko ekran dla twojej wyobraźni” czy „Granice nie istnieją”. Oczywiście mogą to robić. Mogą powiedzieć, że dostrzegają w pracach z KRLD ironię, ale musimy pamiętać, że to w żaden sposób nie odzwierciedla zamierzeń artysty.

Niektórzy bronią sztuki KRLD, argumentując, że warsztat artystyczny jej twórców zasługuje na podziw.

Henry de Montherlant napisał kiedyś: „Techniczna perfekcja w służbie kretynizmu. Czy istnieje większy grzech na umyśle?”. To są niezwykle utalentowani malarze i gdyby mieli wolność twórczą, mogliby stworzyć coś wartościowego. Niestety, obecnie większość

Z Brianem Reynoldsem Myersem, specjalistą ds. Korei Północnej, publicystą „The New York Times”, „The Wall Street Journal” i „The Atlantic” rozmawia Roman Husarski



Dyktator w wesołym miasteczku

z nich maluje kiczowate tygrysy dla restauracji w Chinach.

Jednak północnokoreańskie studio Mansudae z roku na rok sprzedaje coraz więcej sztuki odbiorcom z Zachodu.

Niektórzy, choćby Nicholas Bonner, kolekcjonują sztukę KRLD, ponieważ mają nadzieję, że gdy system upadnie, z czasem cena dzieł propagandowych z powodu nostalgii pójdzie w górę. Podobne zjawisko obserwowaliśmy w Chinach ze sztuką rewolucji kulturalnej. Zbieraczom umyka jednak różnica między oboma nacjami, Chińczycy to ludzie historii – Koreańczycy nie! Tutaj przemysł oparty na nostalgii praktycznie nie istnieje. Obawiam się, że kolekcjonerów czeka spore rozczarowanie. Oczywiście Koreańczycy okracają takich ludzi wokół palca. Pamiętam moją wizytę w studiu Mansudae. Popełniłem duży błąd, pytając jednego z artystów, jak sztuka KRLD wyewoluowała w cza-

sie. Kompletnie go zamurowało. Gdyby powiedział, że sztuka KRLD stała się lepsza, to oznaczałoby, że nie była tak dobra, gdy Kim Ir Sen żył. Musiałem jakoś wybrnąć z tej niekomfortowej sytuacji i ostrożnie powiedziałem, że dokonało się kilka zmian. Artysta odechnął z ulgą.

Spotkałem się z interpretacją wskazującą na inspirację ikoną i chrześcijaństwem w sztuce KRLD.

To idea popularna wśród apologetów i softliners, którzy chcą pokazać Koreę w mniej odległy sposób. Wierzą w chrześcijański aspekt obecny w kulcie jednostki. Próbuje motywować to tym, że Kim Ir Sen pochodził z chrześcijańskiej rodziny i rzekomo miał czerpać inspiracje z własnej przeszłości. Tak jakby to Kim Ir Sen osobiście zarządzał swoim kultem. Ustanowił go w późnych latach 40. Han Sorya, który nie był chrześcijaninem. Ja osobiście nie widzę w sztuce KRLD niczego z chrześcijaństwa, poza motywami,



Prace pokazywane poza Koreą Północną są starannie wyselekcjonowane i dalekie od rasistowskiej propagandy prezentowanej w kraju. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

które są uniwersalne. Ponadto ci badacze powinni się w końcu zdecydować, bo mówią jednocześnie o chrześcijaństwie i konfucjanizmie w kulcie jednostki KRLD – a to dwie różne rzeczy. Problem w tym, że biorą niezwykle powierzchowne podobieństwa i wysuwają na tej podstawie wnioski.

W jaki sposób propaganda przedstawia dziś Kim Dzong Una?

Wciąż mam za mało danych, ale w pojedynczych opowiadaniach, które miałem okazję czytać, wizerunek Kim Dzong Una różni się bardzo od wizerunku jego ojca. Nowy przywódca nie pojawia się wprost, lecz zazwyczaj opisywany jest przez wspomnienia kogoś, kto go spotkał, i jest oszołomiony jego wielkością. Wydaje się, że sami propagandyści mają problem z Kim Dzong Unem. Od 2010 r. jakość propagandy bardzo się obniżyła. Wódz, który ma być uosobieniem polityki „najpierw armia” i żelaznej woli, zaczął nagle

w tym samym czasie reprezentować konsumpcyjnie ukierunkowaną politykę rozluźnienia. Brak jasnych wytycznych. Czy jest to spowodowane tym, że prawdopodobnie za kult jednostki odpowiada jego siostra?

Mógłby pan rozwinąć temat złych decyzji propagandowych? Chodzi o zaproszenie koszykarza-celebryty Dennisa Rodmana?

Nie tylko. Najpierw media KRLD pokazywały Kima na wszystkich posterunkach. Nazywały go generałem, aż nagle zobaczyliśmy go w wesołym miasteczku, na kolejce górskiej itp. Było to zerwanie z długą tradycją pokazywania wodza, który wyrzeka się wszystkiego dla spraw najważniejszych. Dobrze było powiedzieć: „Cierpieliśmy wystarczająco długo, teraz mamy broń nuklearną i możemy odpocząć chwilę”, ale ta wiadomość powinna być powiedziana przez kogoś innego, np. jego żonę. Nie kłóciłoby się to z wizerunkiem kogoś, kto pracuje 24 godziny na dobę

nad ochroną kraju. Potem był Dennis Rodman. Człowiek, którego ja nie wpuściłbym nawet do mojego biura. W czarnych okularach i czapeczce z daszkiem wyglądał jak typowy amerykański bandzior z północnokoreańskiej propagandy. Gdy wódz siada obok człowieka, który w jasny sposób nie okazuje mu szacunku, coś jest nie tak. Widziałem raport na temat spostrzeżeń uciekinierów z KRLD, którzy mówili, że obserwując to spotkanie, czuli, iż kult jednostki się rozpada. A potem media pokazują wodza kuśtykającego o lasce. Jeżeli ktoś nie śledzi propagandy KRLD, to może nie zauważyć różnicy, ale w kraju, w którym fundamentem jest kult siły, taki wizerunek podważa autorytet. Jeszcze podczas wizyty Kim Dae-junga w KRLD propaganda reżimu wyśmiewała się z jego chorej dłoni, komentując, że reprezentuje niepełnosprawność rządów Republiki Korei. Tak więc Kim Dzong Un zrobił dużo w ostatnich latach, by drastycznie osłabić swoją pozycję.

Przez lata reżim próbował wpływać na opinię publiczną Korei Południowej. Przypuszcza się nawet, że północnokoreańscy agenci działali podczas masowych protestów w Gwangju w 1980 r. Jak daleko dziś sięgają macki Kim Dzong Una?

Jeszcze Kim Dzong Il całkiem dobrze radził sobie z manipulowaniem w Korei Południowej. Dzisiaj jednak nawet skrajna lewica w Korei uważa KRLD za złe miejsce i porównuje obecną panią prezydent Park Geun-hye do Kim Dzong Una. Takie porównanie byłoby niemożliwe 10 lat temu. Niechęć do obecnego rządu nie przekłada się dziś na poparcie dla Korei Północnej. Przeciwny poplecznik KRLD w Korei Południowej ma dziś ok. 50 lat, resztki sympatii dla tego reżimu właściwie zamykają się w pokoleniu, które studiowało w latach 80.

Z tej perspektywy manifestacje przeciwko prezydentowi Korei Południowej oskarżonej o korupcję i zdradzanie tajemnic państwowych muszą być dla KRLD jak prezent. W jaki sposób reżim posługuje się tymi informacjami?

Oczywiście wykorzystują zdjęcia z protestu w Seulu, gdzie ludzie dzierżą transparenty z napisem: „Dyktator”. Nie mam wątpliwości, że tego typu komunikat sprawia, iż mieszkańcy KRLD czują się lepiej. Nie powinniśmy myśleć, że skoro Koreańczycy z Północy są rozczarowani swoim przywódcą, to zaczną krytycznie postrzegać propagandę jako całość. Przeciwny mieszkaniowiec KRLD nie będzie chciał myśleć, że jest tym, który urodził się w niewłaściwej części półwyspu.

Zewnętrzna propaganda KRLD już nie działa. Praktycznie nikt nie nabiera się już na dżucze.

Jednym z powodów, dla których Korea Północna nie zabiega już o poparcie po drugiej stronie granicy, jest to, że nie uważa już tego za istotne. Reżim czuje się wystarczająco mocny, by wierzyć, że może doprowadzić do unifikacji bez większego poparcia ze strony Południa. Wierzę, że obecnie ich celem są poprawne stosunki z USA. „Pozbędziemy się broni jądrowej w zamian za całkowite wycofanie amerykańskich sił z Półwyspu”. Nie jestem na tyle optymistyczny jak moi koledzy badający KRLD, by twierdzić, że taka propozycja spotka się z radykalną odmową Południa. Amerykanie, wychodząc z Korei, z pewnością zostawią im jakieś zapewnienie w stylu: „Jeśli będziecie mieli kłopoty, to dajcie nam znać, będziemy w Japonii”. A na-

stępnym krokiem dla KRLD będzie konfederacja. Ten temat przewija się już od lat 60. i niemało jest południowokoreańskich intelektualistów, którzy powtarzają jak mantrę: „To nie jest zły pomysł”. To, czego chce Korea Północna, wcale nie jest tak nierealistyczne ani niedorzeczne.

Odważna teza.

Ja też jeszcze pięć lat temu nie traktowałem poważnie ich zaangażowania w zjednoczenie i po prostu uważałem tę politykę za ich modus operandi, czyli sposób utrzymania się u władzy. Teraz już w to nie wierzę, bo widzę, że traktują bardzo serio temat zjednoczenia. Zewnętrzny świat będzie dalej błędnie interpretował te wydarzenia jako prowokacje, prośby o dialog, aż będzie za późno. Już w latach 70. w wewnętrznym obiegu partii mówiło się bardzo jasno, że broń nuklearna ma posłużyć do wyzwolenia jankeskiej kolonii. Dlaczego

Reżim czuje się wystarczająco mocny, by wierzyć, że może doprowadzić do unifikacji bez większego poparcia ze strony Południa

nikt nie stosuje brzytwy Ockhama? Jeśli spojrzysz na eksperckie listy wymieniane motywy KRLD stworzenia programu nuklearnego, to większość z nich nawet nie wspomina o zjednoczeniu. Dla nich to zbyt niedorzeczne. To tak jak z 11 września, gdy ludziliśmy się, że to sprzeciw wobec amerykańskiej polityki względem Izraela. Teraz, już po powstaniu Państwa Islamskiego, widzimy, że cel był zgoła inny. Jeżeli masz ultranacjonalistyczny rząd po jednej stronie półwyspu, to jak możesz zgodzić się na obecność Amerykanów na twojej ziemi? Nie możesz zapomnieć o idei zjednoczenia Korei. To jest prosta logika. Dlatego byłem też zdesperowany, by naprawić mit dżucze, który skłonił tak wiele osób do myślenia,

że w KRLD porzucono plany zjednoczenia w 1955 r. z powodu obsesji „samowystarczalności”.

Badania pokazują jednak, że coraz mniej młodych ludzi postrzega Koreańczyków z Północy jako braci.

Jeszcze 15 lat temu dało się wyczuć atmosferę poparcia dla KRLD. Ludzie wypowiadali się na temat swoich liderów bez używania ich tytułów, gdy tymczasem w przypadku Kim Dzong Ila nigdy o nich nie zapomniano. Nawet w wiadomościach o Korei Północnej mówiono z większym szacunkiem niż o własnym państwie! Wszystko zmieniło się po pierwszej próbie jądrowej w 2006 r. Resztki szacunku zniknęły w momencie, kiedy władzę objął Kim Dzong Un.

Przyjechał pan uczyć Koreańczyków z Południa systemu i ideologii Korei Północnej. Podejrzewam, że nie było łatwo.

Gdy po raz pierwszy przyjechałem do Korei Południowej w latach 80., spotykałem się z ksenofobią. Ludzie rzucali we mnie przedmiotami. Z żoną (Koreaną – przyp. R.H.) nie mogliśmy wyjść na ulicę bez obaw o wyzwiska. Prawdę mówiąc, zostałem w końcu jednak zaakceptowany dużo lepiej, niż na to zasługiwałem, nie potrafię sobie wyobrazić, bym mógł wykładać w Chinach literaturę chińską. Mieszkalem tam cztery lata i obawiam się, że zostałem wyśmiany. Gdy zaczynałem wykładać na uniwersytecie, Koreańczycy jeździli do Korei Północnej, a Amerykanie nie mieli takiej możliwości. Pamiętam różne uwagi, nonsensy tego typu, jakie słyszy się dziś od ludzi Zachodu: „Wiele razy byłem w KRLD, więc wiem lepiej niż ty!”. Wyobraź sobie kogoś, kto uczy kilka lat angielskiego w Seulu, a potem pojawia się na koranistycznej konferencji, mówiąc, że jest ekspertem. Nie wiem, dlaczego na polu badań nad Koreą Północną jest to akceptowalne. Na nieść szczęście Koreańczycy z KRLD bardzo dobrze radzą sobie w sprawianiu, by niektórzy ludzie myśleli, że są ekspertami od KRLD.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Brian Reynolds Myers – amerykański profesor studiów międzynarodowych i specjalista od ideologii Korei Północnej. Publicysta „The New York Times”, „The Wall Street Journal” i „The Atlantic”. Zaskrynął książkę „A Reader’s Manifesto”. W Polsce ukazała się jego książka „Najczystsza rasa” o propagandzie w Korei Północnej. Myers wykłada na Uniwersytecie Dongseo w Busan w Korei Południowej.

Rumuni wstali z kolan

FOT. INQUIRY PHOTOS/REUTERS/PERNUM



Jacek Przybylski

Tak wielkich protestów w Bukareszcie i innych miastach nie było od obalenia komunistycznego dyktatora Nicolae Ceaușescu. Demonstranci wygrali. Socjaldemokratyczny premier wycofał się z pomysłu złagodzenia prawa dla skorumpowanych urzędników

Zapałnikiem, który doprowadził do eksplozji nastrojów społecznych w Rumunii, było rozporządzenie wydane przez rząd w Bukareszcie wieczorem 31 stycznia. Zgodnie z pospiesznie przyjętym prawem już 10 lutego miały wejść w życie przepisy znacząco łagodzące kary, m.in. za niektóre przestępstwa korupcyjne. Największe oburzenie wzbudziła zasada, że z urzędu w trybie postępowania karnego ścigane byłoby tylko takie przestępstwo urzędnika, w wyniku którego skarb państwa stracił co najmniej 200 tys. lei (ok. 190 tys. zł).

„Hańba”, „Złodzieje” – skandowało 1 lutego 100 tys. osób nie tylko w Bukareszcie, lecz także m.in. w Klużu, Sybinie czy Jassach. Gdy 2 lutego liczba demonstrantów się podwoiła, premier był jeszcze nieugięty. – Podjęliśmy w rządzie decyzję i idziemy dalej – mówił Sorin Grindeanu po wyjściu ze spotkania postkomunistycznej Partii Socjaldemokratycznej

(PSD). Szef PSD, Liviu Dragnea, narzekał zaś tego dnia na „próbę destabilizacji rządu” za pomocą „kampanii kłamstw i dezinformacji”. Eksperti nie mieli jednak wątpliwości, że nowe prawo zostało przyjęte właśnie z myślą o politykach koalicyjnej PSD, a zwłaszcza o jej liderze. 54-letni Dragnea odpowiada bowiem obecnie przed sądem za narażenie rumuńskiego skarbu państwa na stratę... 108 tys. lei (ok. 103 tys. zł). Lider PSD miał w latach 2006–2013 opłacać z publicznych pieniędzy dwie osoby pracujące dla kierownictwa postkomunistycznej partii. To niejedyny kłopoty byłego wicepremiera. W 2015 r. Dragnea musiał podać się do dymisji w związku ze skazaniem na rok więzienia w zawieszeniu za oszustwa wyborcze przy przeprowadzaniu referendum mającego doprowadzić do odwołania prezydenta.

Bezczelne polityczne bajania polityków PSD nie przekonały więc demonstrantów do powrotu do domów. Przeciwnie:

mimo zimowej aury następnego dnia i kolejnego tłum protestujących jeszcze gęstniał.

Chociaż przedstawiciele rządu tłumaczyli, że nowe prawo zostało przyjęte, by złagodzić problem przeludnienia więzień i dostosowania kodeksu karnego do ostatnich wyroków trybunału konstytucyjnego, to do głosów oburzenia wewnątrz kraju dołączyli przedstawiciele zachodnich rządów, w tym Berlina, Brukseli i Waszyngtonu. Zdaniem zachodnich polityków rozporządzenie przyjęte przez rząd w Bukareszcie było ogromnym krokiem wstecz. Krokiem o tyle istotnym, że władzom w Bukareszcie od 2015 r. udało się wcielić w życie pakiet reform. Najważniejszą zmianą była istotna obniżka podatków, dzięki której rumuńska gospodarka rozwijała się w zeszłym roku najszybciej spośród wszystkich krajów UE (wzrost PKB w 2016 r. wyniósł tam aż 4,7 proc.), a eksperci finansowi zaczęli namawiać inne kraje, by brały przykład z Bukaresztu.

Premier Grindeanu uznał jednak swą porażkę dopiero, gdy 5 lutego na ulice wyszło aż 600 tys. mieszkańców 20-milionowego kraju. Skala demonstracji doprowadziła już do poważnego kryzysu rządowego. Już 2 lutego stanowisko stracił Florin Jianu, minister ds. biznesu, handlu i przedsiębiorczości. 9 lutego do dymisji podał się zaś pomysłodawca wprowadzenia nowych przepisów, szef resortu sprawiedliwości i długoletni parlamentarzysta z ramienia PSD – Florin Iordache. Demonstranci domagają się już zmiany całego gabinetu.

Niewykluczone więc, że w Rumunii szykuje się podobna zmiana jak na Węgrzech, gdzie ujawnienie nagrania ze słowami socjalistycznego szefa węgierskiego rządu Ferencza Gyurcsány (,,Kłamaliśmy rano, nocą i wieczorem”) doprowadziło w 2006 r. do przesilenia nad Dunajem, wielkich demonstracji i do wyborczego zwycięstwa premiera Viktora Orbána. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



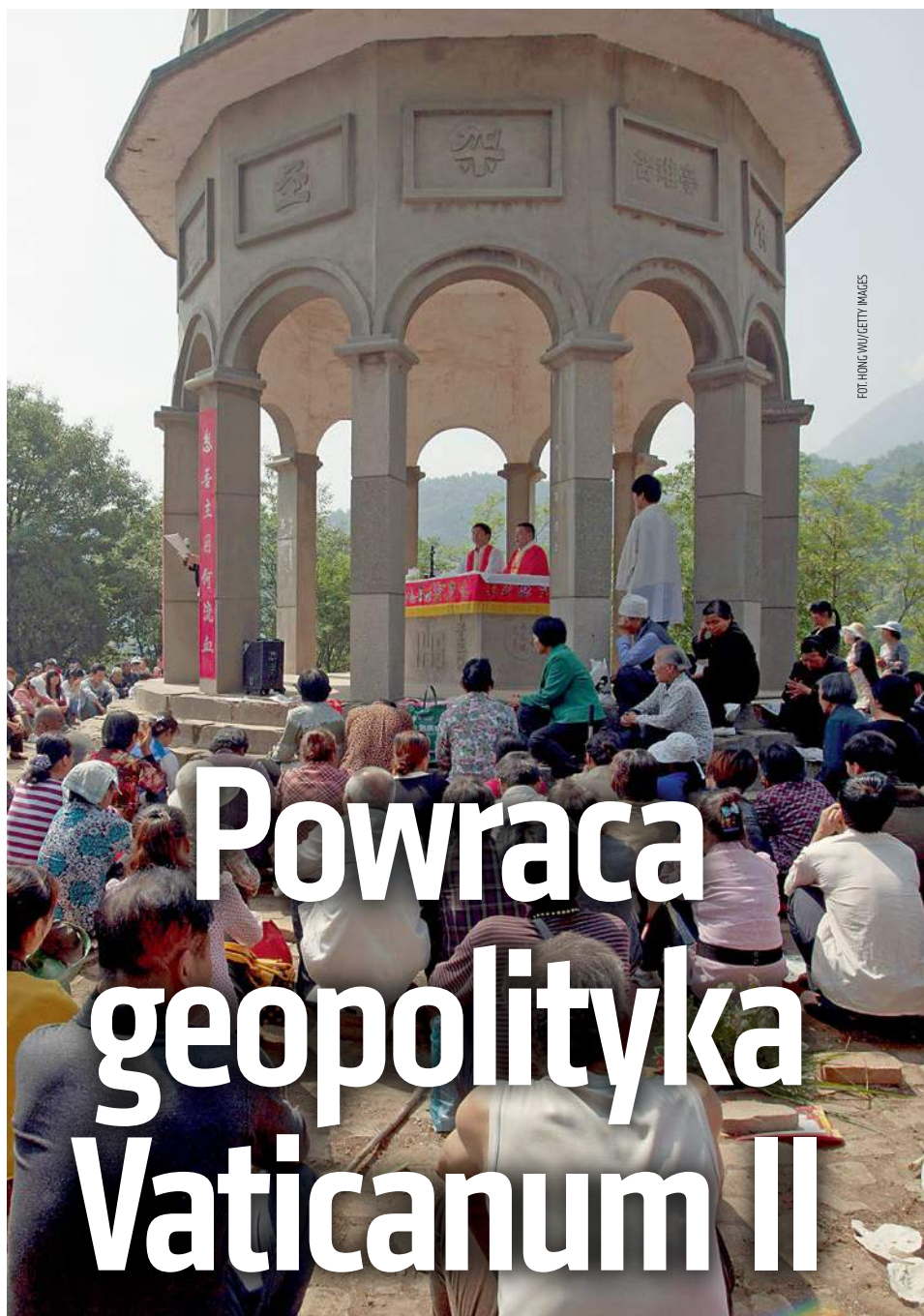
Tomasz P. Terlikowski

Stolica Apostolska odrząbiła kolejny wielki sukces polityczny i eklezjalny Franciszka. Część chińskich katolików ostrzega, że sukces ten może się okazać „zdradą Chrystusa”

Kilkanaście dni temu czołówki mediów obiegrała informacja: Pekin i Stolica Apostolska osiągnęły „wstępne” porozumienie, które może być początkiem leczenia rany podziału Kościoła w Chinach na dwie, odrębne wspólnoty: lojalny wobec komunistycznych władz Kościół patriotyczny i lojalny wobec papieża Kościół podziemny. Oczywiście droga do pojednania obu wspólnot czy choćby pełnej normalizacji sytuacji Kościoła w Chinach jest jeszcze bardzo daleka, ale – jak podkreśla kard. John Tong, ordynariusz Hongkongu – porozumienie to może okazać się „kamieniem milowym w rozwoju relacji” między Chinami a Watykanem, a co za tym idzie – w ograniczeniu komunistycznej opresji wobec chińskich katolików.

LOJALNI WOBEC PAPIEŻA CZY PEKINU?

W największym skrócie spór, o jakim mowa i jaki ma „zaleczyć” porozumienie, rozpoczął się w roku 1949, gdy komuniści przejęli władzę w Chinach. Dwa lata później wydali oni z Państwa Środka wszystkich zagranicznych misjonarzy i narzucili katolikom – przyjętą wcześniej przez protestantów chińskich, choć także mocno przez nich kwestionowaną – zasadę „trzech autonomii”. Oznacza ona, że chińscy katolicy nie mogą przyjmować żadnej pomocy finansowej z zagranicy (samoutrzymanie), w ewangelizacji Chin nie mogą uczestniczyć obcokrajowcy (samoewangelizacja) i wreszcie nikt – poza komunistyczną władzą – nie może sprawować kontroli nad chińskimi katolikami (co określa się mianem samozarządzania). Ten ostatni wymóg oznacza, w największym skrócie, że katolicy w Chinach, o ile chcą działać legalnie, nie mogą uznawać zwierzchnictwa i prymatu papieskiego czy jakiegokolwiek roli Ojca Świętego. Dla nich najwyższą władzą ma być komunistyczny Pekin.



Powraca geopolityka Vaticanum II

Ta część katolików, która owe zasady zaakceptowała, zaczęła tworzyć legalnie działające struktury Kościoła patriotycznego, w którego skład wchodziły trzy instytucje: Patriotyczne Stowarzyszenie Kościoła Katolickiego w Chinach; Ogólnokrajowa Komisja Administracyjna Chińskiego Kościoła Katolickiego oraz Chińskie Kolegium Biskupów, zajmujące się sprawami wiary i wyborem biskupów. Instytucje

te są niezależne od Stolicy Apostolskiej i niezależnie od papieża, nie tylko mianują biskupów, lecz także ogłaszają prawdy wiary. Znakomitym przykładem takiego postępowania jest fakt, że choć ogromna większość także „patriotycznych katolików” wierzy głęboko we Wniebowzięcie Najświętszej Maryi Panny, to oficjalnie Kościół patriotyczny dogmatu tego nie akceptuje, tak jak nigdy nie zaakceptował decyzji Soboru

Watykańskiego II. W sensie ścisłym zatem, gdyby posługiwać się kanonami Kodeksu prawa kanonicznego z roku 1917 (a ten obowiązywał w momencie kształtowania się struktur „patriotycznych”), trzeba by uznać ową wspólnotę za schizmatyczną. Stolica Apostolska jednak nigdy tego nie zrobiła w odniesieniu do całej wspólnoty. Pius XII ogłosił jedynie ekskomunikę biskupów, którzy przystąpili do Patriotycznego Stowarzyszenia Kościoła Katolickiego w Chinach, a później tych, których wyświęcano bez jego zgody i aprobaty, za to za zgodą chińskich władz. Takie same decyzje w odniesieniu do kolejnych niegodnie, bo bez zgody Ojca Świętego, święconych biskupów patriotycznych podejmowali także następni papieże. Obok tej struktury ukształtowała się także – heroicznie wierna papieżowi i Kościołowi – struktura Kościoła podziemnego. Jego wierni, kapłani i biskupi spędzali lata w komunistycznych obozach pracy, byli mordowani, odbierano im możliwość normalnego funkcjonowania. I chociaż prześladowania nieco zelżały, to nadal często niszczy się własność kościelną, lojalnym wobec Watykanu biskupom utrudnia się sprawowanie posługi, przetrzymując ich w aresztach domowych, a najbardziej dynamicznych kapłanów zatrzymuje czy aresztuje.

WIELOLETNIE PRÓBY NORMALIZACJI

Granice, i o tym też trzeba pamiętać, między obiema wspólnotami, wcale nie są ostre i jednoznaczne. I tak miało być. Już Pius XII, odstępując od ogłoszenia ekskomunikacji całej wspólnoty patriotycznej i ograniczając ją jedynie do biskupów, akceptował wyjątkową sytuację w Chinach. A od czasów Jana Pawła II sytuacja jeszcze bardziej się skomplikowała, ponieważ część biskupów patriotycznych jest akceptowana przez Stolicę Apostolską, co oznacza, że nie są nakładane na nich kary ekskomunikacji.

Inna rzecz, że nie zawsze władze komunistyczne pozwalają działać takim biskupom. Tak było z wybranym przez „katolików patriotycznych” i zaakceptowanym przez Stolicę Apostolską na biskupa koadiutora w Szanghaju ks. Tadeuszem Ma Daqinem. Już po wyświęceniu w słowach podziękowania duchowny ten podkreślił, że „jako biskup chce skoncentrować się na pracy pastoralnej i ewangelizacji, i nie może

dłużej pozostawać członkiem Stowarzyszenia Patriotycznego Kościoła Katolickiego w Chinach”. Deklaracja ta została nagrodzona aplauzem wiernych, ale tego samego dnia biskup został odizolowany od katolików. Przetrzymywano go w seminarium w Shenshan.

Obecne porozumienie zakłada, że kolejni mianowani w Chinach biskupi będą mieli akceptację zarówno władz chińskich, jak i Stolicy Apostolskiej. W praktyce będzie to zapewne oznaczać, że biskupi będą wskazywani przez władze chińskie, a papież będzie miał wobec owych nominacji prawo weta. Nielegalnie, i to całkiem niedawno, wyświęceni biskupi patriotyczni prawdopodobnie otrzymają wybaczenie, a ekskomunikaci zostaną z nich zdjęci, nie zostanie im jednak przyznane prawo do bycia ordynariuszami. Niejasna pozostaje jednak, i to jest ogromna słabość porozumienia, przyszłość ponad 30 biskupów podziemnych, których chińskie władze nie uznają. Watykan chciałby normalizacji ich sytuacji, komunistyczne władze niechętnie patrzą na heroicznych biskupów i wolałyby tego uniknąć. Mimo to, zdaniem kard. Tonga, porozumienie może oznaczać przełom w dziedzinie głoszenia Ewangelii w Chinach, a także otwarcie drogi do stopniowego pojednania wśród katolików. „Dwie wspólnoty [mowa o katolikach patriotycznych i podziemnych – przyp. red.] będą stopniowo dążyć do pojednania i wspólnoty w kwestiach prawa, opieki duszpasterskiej i relacji”.

WIELKI SUKCES CZY „ZDRADA JEZUSA”

Entuzjazmu wobec owego porozumienia nie podziela jednak część zawsze wiernych Rzymowi katolików. I tak jeszcze w listopadzie ubiegłego roku, gdy negocjacje z Pekinem trwały, przed ustępstwami i kompromisami wobec komunistów przestrzegał 84-letni kard. Joseph Zen. Zdaniem tego niezmiernie zasłużonego hierarchy uznanie, że władze komunistyczne mogą uczestniczyć w wyborze biskupów, będzie w istocie „zdradą Chrystusa” i wiernych. Zen ostrzegał także, że „fałszywa wolność”, jaką uzyska Kościół w Chinach po porozumieniu Pekinu z Watykanem, będzie tylko „wrażeniem wolności”. – Ludzie prędzej czy później zobaczą, że biskupi są marionetkami rządu, a nie pasterzami swojej trzódki – podkreślił.

Doświadczony chiński hierarcha podkreślał, że ani papież, ani kuria najwyraźniej nie rozumieją, czym jest komunizm, szczególnie w wydaniu chińskim. – Może papież jest trochę naiwny, może nie ma wiedzy o komunistach w Chinach? – zastanawiał się kardynał. – Papież znał prześladowanych komunistów w Ameryce Łacińskiej, ale może nie znać komunistycznych prześladowców, którzy zabili setki tysięcy – dodał.

I niestety wiele wskazuje na to, że kard. Zen ma rację zarówno w kwestii porozumienia Watykanu z Chinami, jak i braku zrozumienia, czym jest prawdziwy, a nie wyidealizowany przez teologię wyzwolenia komunizm przez Franciszka. Bolesnym przykładem owego braku zrozumienia i wiedzy są ostatnie wypowiedzi papieża na temat Chin dla „El Pais”. W wywiadzie, w którym papież skrytykował populistów, a Trumpa – nie wprost, ale całkiem mocno – porównał do Hitlera, znalazły się opinie na temat Chin, których absolutnie nie można uznać za mające najmniejszy związek z rzeczywistością. – Kościoły w Chinach są pełne. Można praktykować religię w Chinach – powiedział Franciszek. I choć świątynie rzeczywiście są pełne, a ewangelizacja prowadzona przez protestantów i katolików podziemnych (bo legalni mają zakaz nawracania) przynosi efekty, to założenie, że w Chinach jest wolność praktykowania religii, jest zwyczajnie nieprawdziwe, a do tego obraźliwe dla tych chińskich chrześcijan, którzy są zsyłani do obozów pracy, przymusowo indoktrynowani, którym burzone są kościoły i którzy tracą pracę czy możliwość kształcenia dzieci. Opowieści o wolności religijnej, nawet jeśli mają być ceną za stopniowe pojednanie z Chinami, albo możliwość pielgrzymki papieskiej do Państwa Środka są środkiem, którego nie może uświęcić cel.

A do tego wiele wskazuje na to, że – tak jak to było z próbami dogadania się ze Związkiem Sowieckim za czasów bł. Pawła VI i wcześniej, za św. Jana XXIII – nic z owych rozmów nie wyjdzie. Komuniści, zwłaszcza chińscy komuniści, mają bowiem w głębokim poważaniu ugody i kompromisy, a rozumieją tylko język siły. Nie, nie namawiam do stosowania takiego języka przez Kościół, ale do świadomości, że w tej sprawie dogadywanie się nie ma sensu. Sens ma tylko heroiczna wierność Chrystusowi i Kościołowi.

Chociaż informacja o nowym kandydacie na szefa GPW, Rafale Antczaku, spodobała się inwestorom, a giełdowe indeksy podskoczyły nieco w górę, to ostateczną decyzję blokuje Komisja Nadzoru Finansowego. Według prawa procedura odwołania byłej już prezes GPW Małgorzaty Zaleskiej nie została jeszcze domknięta, nie zatwierdzono też nowego szefa. Jak zapewnia KNF, obecnie toczą się równoległe oba postępowania administracyjne.

Jeszcze nigdy w ponad 25-letniej historii warszawskiego parkietu tego rodzaju formalności nie trwały tak długo. Na zgodę KNF najdłużej czekał dotąd były prezes GPW Paweł Tamborski. Było to 28 dni. Ostatecznie został szefem polskiej giełdy, ale zgoda na jego wybór nie była jedno-myślna. Teraz czekamy już od 4 stycznia.

Na polskiej giełdzie przez długi czas nie dało się zauważyć choćby cienia hossy. Pozytywne nastroje analitycy zauważają dopiero od początku tego roku. Z danych Analiz Online wynika, że w styczniu do krajowych funduszy inwestycyjnych napłynęło ogółem 0,8 mld zł netto, z czego ponad 0,2 mld zł netto Polacy wpłacili właśnie do portfeli polskich akcji. To najlepszy wynik sprzedażowy od maja 2015 r. Rozpoczęła się odbudowa polskiego kapitału, na której tak bardzo zależy rządowi PiS.

WIG20 pokonał magiczną barierę 2 tys. pkt, kiedy Jarosław Kaczyński wypowiedział się o pomocy dla frankowiczów. A właściwie o braku pomocy ze strony rządu oraz propozycji wzięcia spraw w swoje ręce i walki z bankami w sądach. W efekcie znacznie, bo o kilkanaście procent, skoczyły akcje banków, które obawiały się systemowych regulacji i przewalutowania kredytów na złotówki.

Panaceum na problemy giełdy miała być wybrana na prezesa już ponad rok temu Małgorzata Zaleska. Chociaż objęła funkcję w najgorszym z możliwych momentów, bo światowe rynki zmagaly się z krachem na chińskiej giełdzie, to w dniu jej wyboru indeksy nieznacznie wzrosły. Podobnie jak w dniu, kiedy inwestorzy dowiedzieli się o Rafale Antczaku. Zwyzki są, ale do pełni zadowolenia na warszawskim parkiecie jednak sporo brakuje.

Kluczowe, tak jak przed rokiem, są nastroje inwestorów globalnych. A nieco więcej pewności siebie dodają im spadające ceny ropy. Wzrost indeksów spowodowała informacja o zamrożeniu produkcji ropy na poziomach ze stycznia. Jednak zarówno w Rosji, jak i w Arabii Saudyjskiej



produkcja ropy pobiła w styczniu historyczny rekord, więc zamrożenie produkcji na tym poziomie nie zmniejszy nadpodaży. To pokazuje, że inwestorzy są już zmęczeni i reagują emocjonalnie na każdą, choćby z pozoru dobrą nowinę.

NIEPEWNOŚĆ INWESTYCJI

Przedłużająca się procedura ogłoszenia nazwiska nowego szefa giełdy na pewno nie zwiększa poczucia bezpieczeństwa.

Małgorzatę Zaleską, czyli nie do końca odwołaną prezes GPW, jako kandydatkę na to stanowisko przedstawił były minister Skarbu Państwa Dawid Jackiewicz. Nieoficjalnie rekomendację uzyskała także od senatora PiS Grzegorza Biereckiego. Teraz, kiedy Ministerstwo Skarbu jest likwidowane, a jego były szef opuścił resort w niełase, władzę nad spółkami przejął Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów, w którym rządzi wicepremier Mateusz Morawiecki. Później, z początkiem stycznia, poznaliśmy kandydaturę Rafała Antczaka.

Co do kompetencji zarówno Zaleskiej, jak i Antczaka niewielu ma wątpliwości. Zaleska jest profesorem ekonomii i byłym członkiem zarządu Narodowego Banku Polskiego w latach 2009–2015. Na to sta-

nowisko powołał ją ówczesny prezydent Lech Kaczyński. Wykształcenie zdobyła w Szkole Głównej Handlowej. Jest ekspertem w dziedzinie bezpieczeństwa rynków finansowych, nadzoru nad rynkiem bankowym i identyfikacji ryzyka upadłości banków. Zasiadała już w fotelach zarówno doradcy prezesa, jak i prezesa Bankowego Funduszu Gwarancyjnego, była członkiem rady GPW, współprzewodniczyła także Komitetowi Nauk o Finansach Polskiej Akademii Nauk.

Z kolei Rafał Antczak to ceniony w branży finansowej ekonomista. Najdłuższą pozycję w jego życiorysie zajmuje praca w fundacji Centrum Analiz Społeczno-Ekonomicznych CASE. Był jej ekspertem przez 12 lat, aż do 2006 r. Owocami kooperacji były m.in. współpraca z Bankiem Światowym i udział w programach międzynarodowych. Był również uczestnikiem misji doradczych prowadzonych przez instytucje międzynarodowe w krajach transformacji. Ma 20-letnie doświadczenie w pracy doradczej dla sektora prywatnego i publicznego w kraju i za granicą. Antczak w latach 2006–2008 był związany z PZU, gdzie pracował jako dyrektor zarządzający i główny ekono-



bezkrólewiu

mista. Od 2008 r. był członkiem zarządu firmy doradczej Deloitte Business Consulting. Jest autorem publikacji i komentarzy ekonomicznych.

Minimalne wymagania wobec menedżerów GPW określa ustawa o obrocie instrumentami finansowymi. „W skład zarządu giełdy powinny wchodzić osoby posiadające wykształcenie wyższe, co najmniej trzyletni staż pracy w instytucjach rynku finansowego oraz nieposzlakowaną opinię w związku ze sprawowanymi funkcjami” – głoszą przepisy. W instytucjach finansowych Antczak mógł jednak nie przepracować wymaganych trzech lat. Wszystko może zatem zależeć od tego, jak KNF zinterpretuje jego doświadczenie zawodowe.

PARTYJNE PRZEPYCHANKI

Wobec tak długiej zwłoki trudno było uniknąć plotek i sugestii o politycznym tle całego zamieszania. Sam zainteresowany nie chce udzielać jakichkolwiek wypowiedzi mediom aż do momentu zatwierdzenia jego kandydatury przez KNF. I choć nikt oficjalnie nie potwierdza powodów odkładania dnia, w którym zapadnie ta decyzja, to już głośno mówi się o tym, że

trwa walka dwóch frakcji w PiS. Jedną to, którą tworzą zwolennicy Jackiewicza, a drugą to zwolennicy obecnego wicepremiera Morawieckiego. Są także pogłoski, że poparcia Antczakowi nie chcą udzielić ci, którzy nie aprobują awansów byłych pracowników zagranicznych korporacji na znaczące państwowe stanowiska. Antczakowi niektórzy zarzucają także zamiłowanie do liberalnych poglądów. Na łamach „Do Rzeczy” wypowiadał się jednak bardzo przychylnie co do planu obecnego rządu dotyczącego odbudowy oszczędności Polaków.

Zawirowania i chaos na polskiej giełdzie w zasadzie wpisały się już w jej definicję. Dawno nie uświadczylimy lat spokoju przy ul. Książęcej. Właściwie co roku giełdą zarządza inny szef. Zaleska i jej poprzednicy opuszczali stanowisko w bardzo nieklarownych okolicznościach. I tylko pierwsi z nich zagrzali stołek prezesa na dłużej. Ustupujący miejsca Zaleskiej Paweł Tamborski odszedł zaledwie po roku, z końcem grudnia 2015 r. Ciągnie się za nim niewyjaśniona sprawa prywatyzacji spółki Skarbu Państwa Ciech SA. Nieprawidłowości przy tej transakcji wskazuje nie tylko Najwyższa Izba Kon-

troli, podejrzenia ma też Centralne Biuro Antykorupcyjne.

WSZYSTKIE NIESZCZĘŚCIA GIEŁDY

Funkcjonariusze CBA sprawdzali nośniki elektroniczne Tamborskiego, poszukując informacji z czasów, kiedy w resorcie Skarbu Państwa zajmował się prywatyzacją Ciechu. Śledztwo wszczęła Prokuratura Apelacyjna w Warszawie, która bada udział osób zajmujących się sprawą pod kątem niedopełnienia obowiązków i ewentualnej korupcji.

Tajemnice i niespełnione ambicje pozostawił po sobie także poprzednik Pawła Tamborskiego, Adam Maciejewski. Po zakończeniu swojej zaledwie rocznej misji sytuację na GPW opisał w liście do swoich pracowników krótko, ale dosadnie, jako... bagno ukryte pod kwiecistą łąką.

Jeszcze więcej kontrowersji wzbudziło jednak odejście długoletniego szefa giełdy Ludwika Sobolewskiego. Ten został zawieszony w grudniu 2012 r. Tuż po pojawieniu się w „Pulsie Biznesu” informacji, jakoby jeden z jego współpracowników lobbował wśród prezesów spółek giełdowych w sprawie sponsoringu filmu Patryka Vegi „Zemsta Faraona”. Jedną z głównych ról w produkcji miała odegrać partnerka byłego prezesa, Anna Szarek. Sobolewski od 2013 r. zarządza Giełdą Papierów Wartościowych w Bukareszcie.

Jak wskazują analitycy, najlepszym rozwiązaniem dla polskiego parkietu byłoby jego odpolitycznienie. Czy będzie ono możliwe? Przed szefem giełdy jest sporo wyzwań, wśród nich takie, które mogą budzić sprzeciw rządzących. Aby poprawić sytuację na warszawskim parkiecie, jej szef musi przyciągnąć zagranicznych inwestorów, jeszcze bardziej pobudzić krajowe oszczędności i odbudować zaufanie. Rekordowe straty dla polskiej giełdy przyniosło przede wszystkim przejście za czasów rządów koalicji PO-PSL ponad połowy oszczędności z Otwartych Funduszy Emerytalnych przez Zakład Ubezpieczeń Społecznych. Przez lata OFE dostarczały giełdzie kapitał, uczestniczyły w ofertach publicznych i w podnoszeniu kapitału przez spółki.

Kiedy Giełda Papierów Wartościowych będzie miała prawowitego szefa? Zarówno kandydat, regulator, jak i politycy milczą. Wiadomo tylko, że następne posiedzenie KNF zaplanowane jest na 28 lutego.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Cywilizacja przesytu. Tak lubimy myśleć o zachodnim świecie ostatnich 70 lat. Toniemy w nadmiarze dóbr, żywności i informacji. Do pełnego obrazu filozofom brakuje już tylko gwarancji, że ostatecznie pozbedziemy się trosk materialnych. Może już czas zapewnić ludzkości minimum godnej egzystencji? Gwarancję dochodu podstawowego. Niezależnie od tego, czy i jak bardzo się staramy, czy los obdarzył nas talentem, społeczeństwo zobowiązane jest wypłacać nam minimum wystarczające do przeżycia. Coś, co jeszcze kilka lat temu wydawało się utopią rodem z wczesnego Marksas, dziś staje się przedmiotem poważnych debat i naukowych eksperymentów. I, co ciekawe, uniwersalny dochód podstawowy (Universal Basic Income – UBI) znajduje zwolenników wśród zarówno modnych lewicowych ekonomistów, jak i twardych orędowników wolności rynkowej. Ci ostatni wychodzą z założenia, że taniej i prościej będzie wypłacać bezrobotnym umowną sumę, niż budować skomplikowany system pomocy socjalnej. Koncept doczekał się już wielu naukowych publikacji, wyliczeń i znanych osobistości wspierających rewolucję socjalną. Dojrzał też pomysł eksperymentów na żywych ludziach. I tak do końca tego roku 2 tys. fińskich ochotników będzie co miesiąc otrzymywać 560 euro tylko za to, że żyją. Bez żadnych warunków wstępnych i ograniczeń, na co mają wydawać pieniądze. Dochód gwarantowany w wysokości 750 euro miesięcznie dla każdego pełnoletniego Francuza to z kolei najważniejsza obietnica Benoît Hamona, kandydata socjalistów w wyborach prezydenckich.

Idea nie jest zupełnie nowa. Podobne programy wprowadzane były w przeszłości w Stanach Zjednoczonych w latach 1968–1972. Największy i dotąd najdłuższy eksperyment odbył się w latach 1974–1979 w Dauphin, miasteczku w kanadyjskiej prowincji Manitoba. Każdy najbiedniejszy jego rezydent otrzymywał co miesiąc wsparcie gwarantujące mu zarobki na poziomie średniej krajowej. Po pięciu latach, kiedy rządy w Kanadzie przejęli konserwatyści, z tygodnia na tydzień program zakończono i jego efekty spakowano w 1,8 tys. pudeł ankiet osobowych oraz obserwacji socjologicznych, które zdeponowano w piwnicy jednej z uczelni. Przez te wszystkie lata nikt do nich nie zaglądał, ale dziś badania znowu ruszają pełną parą. Ekonomiści pochylają się nad zebranymi danymi i wspierają kolejne eksperymen-

„500+” dla każdego



Tomasz Wróblewski

Wielu ekspertów z zainteresowaniem przygląda się „500+” w kontekście ogólnoswiatowej debaty nad wprowadzeniem dochodu podstawowego. Czy ostatecznie wyeliminowałby on nędzę w Polsce?



ty, choćby najnowszy projekt miliardera Sama Altmana, który chce wybranej grupie mieszkańców Kalifornii dawać do 2 tys. dol. miesięcznie.

BIEDNI Z KLASY ŚREDNIEJ

Idea gwarantowanego dochodu sięga końca XVIII w. i głośnego wówczas eseju brytyjskiego filozofa oraz publicysty Thomasa Paine’a, który dowodził, że w zamian za gwarancje utrzymania porządku społecznego, w tym nietykalności własności prywatnej, rządy powinny zapewniać każdemu obywatelowi bez ziemi i posesji 15 funtów rocznie. Taka swoista łapówka za to, że biedota zrezygnuje ze wzniecania powstań i buntów. Podobna idea przyświecała Ottonowi von Bismarckowi, twórcy pierwszego nowoczesnego państwa socjalnego. Bismarck oferował pierwsze emerytury, gwarantowane ubezpieczenie medyczne oraz od wypadków losowych w nadziei, że pozbawi to wpływu socja-

listów i anarchistów na klasę robotniczą. Jak wiemy, system nie stanął w miejscu, z każdym kolejnym kryzysem gospodarczym obrastał nowymi i coraz hojniejszymi świadczeniami. Najdalej, jak dotąd, posunął się w 1972 r. kandydat Partii Demokratycznej na prezydenta USA – George McGovern. Proponował utworzenie „demograntu” – grantu rządowego dla każdego wyborcy na poziomie 1 tys. dol. rocznie (5,7 tys. dol. przy dzisiejszych cenach). McGovern przegrał, jego idea przez lata udoskonalana była w lewicowych środowiskach akademickich, ale z czasem stawała się coraz mniej nośna, głównie za sprawą coraz hojniejszych transferów finansowych oferowanych biednym w najbardziej rozwiniętych państwach. Jeżeli dziś idea podstawowego dochodu znowu powraca na Zachodzie, to głównie za sprawą pauperyzującej się klasy średniej, a nie bezrobotnych ani biednych. Ci ostatni, przynajmniej w najbogatszych państwach OECD, cieszą

Polaka?



FOT. ISTOCK

się całkiem imponującymi zapomogami. Kiedy przed samymi wyborami w 2015 r. premier Ewa Kopacz mówiła o potrzebie gwarantowanych dopłat do najniższych pensji, też miała na myśli ubogich pracujących, a nie ludzi już na zasiłkach.

Spustoszenie, jakie kryzys 2008 r. zostawił po sobie, w Ameryce było początkiem ruchu, który z czasem dał prezydenturę Trumpowi. To klasa średnia traciła domy i oszczędności całego życia. Thomas Friedman w głośnej książce „Dziękuję za spóźnienie” („Thank You for Being Late”) pisze z jednej strony o nadziei, jaką należy wiązać z rozwojem technologicznym w postkryzysie, a z drugiej strony o konieczności dostosowania państw i systemów pomocy społecznej do nowych realiów. Friedman stawia pytanie: Jak zagwarantować pauperyzującej się klasie średniej większy udział w podziale dóbr i wzroście gospodarczym bez upokarzania jej członków i skazywania ich na jałmużnę?

Thomas Friedman, podobnie jak noblista Paul Krugman, jest przekonany, że niedostosowanie systemów wynagrodzeń, kształcenia pracowników i struktury rynku pracy do globalizacji doprowadziło do obecnych niepokojów oraz antyestablishmentowej rewolty. I to powinno być dla nas nauczka czy zachęta do szukania odważnych nowoczesnych rozwiązań problemu nierówności społecznych w przyszłości, która będzie należała do maszyn. Według Brookings Institution obecnie 47 proc. miejsc pracy w samych tylko Stanach Zjednoczonych może zniknąć z rynku wyparte przez maszyny. I, co nietrudno zgadnąć, te 47 proc. w 80 proc. dotyczy najmniej zarabiających 20 proc. Amerykanów. Tak jak swego czasu globalizacja miała być receptą na wszelkie niesprawiedliwości tego świata, tak dziś UBI zdaje się antidotum na problemy klasy średniej. Swoje pomysły na podstawowy dochód prezentują wybitni ekonomiści z prawa i z lewa. Wspomniany już Paul Krugman czy Robert Reich, były sekretarz pracy w rządzie Clintona, sugerują systemowe rozwiązania dla uniknięcia poważnych konfliktów klasowych w przyszłości. Prawicowe ośrodki myśli ekonomicznej, takie jak Cato Institute, widzą w UBI sposób na zahamowanie eskalacji świadczeń socjalnych.

Cato w 2015 r. opublikował potężną analizę, z której płynął tak naprawdę jeden wniosek – świat byłby lepszy bez żadnego udziału rządu w redystrybucji majątku. Skoro jednak musi już istnieć, to najlepszym i najtańszym sposobem byłoby po prostu dawanie ludziom pieniędzy do ręki. Podobne stanowisko swego czasu prezentował najwybitniejszy rynkowy ekonomista – Milton Friedman. Miliarder Sam Altman, który w Kalifornii startuje z własnym projektem gwarantowanego dochodu, w swoim manifestie napisał: „Za 50 lat wszyscy będą się śmiać, że kiedyś strasziliśmy ludzi głodem, żeby w ten sposób motywować ich do pracy”. Altman wierzy, że ludzie, którzy znajdują się na drodze, zamiast chwycić się byle jakiego zajęcia, często poniżającego i przekreślającego szanse na rozwój osobisty, dzięki gwarantowanemu dochodowi będą wykorzystywać ten czas na uczenie się nowego zawodu, czytanie i wymyślanie nowych pomysłów na biznes. Paul Krugman zwraca dodatkowo uwagę, że UBI pozwoliłoby na lepszą wycenę pracy, która teraz nie jest wyceniana, choćby zajmowanie się domem i wychowywanie dzieci. Uwzględ-

nienie gospodyń domowych w systemie redystrybucji niewątpliwie wzmocniłoby ich pozycję społeczną. To samo odnosiłoby się do pracowników fizycznych, którzy – jak pisze Krugman – „ze względu na zalew tanich produktów z importu również zostali zepchnięci na dół drabiny i nie cieszą się należytych szacunkiem oraz – co za tym idzie – wpływami politycznymi”. Rażąco niskie płace dla osób na początku kariery zawodowej przeszłyby do historii. Ekonomiści tacy jak Thomas Piketty są przekonani, że UBI wymusiłoby na pracodawcach podwyżki. Nie mieliby wyboru, mając za konkurencję pieniądze od rządu. Podobne nadzieje mają zwolennicy „500+”, przekonani, że wcześniej czy później pracodawcy zaczną więcej płacić swoim pracownikom, bo zobaczą, jak odchodzą oni z najniższych płac.

RACHUNEK ZYSKÓW I STRAT

W zakresie praktycznych rozwiązań związanych z oszacowaniem wpływu UBI na budżet największą pracę wykonał Charles Murray. Jego program, prezentowany na łamach „Wall Street Journal”, zakłada, że każdy Amerykanin powyżej 21. roku życia powinien mieć zagwarantowany dochód w wysokości 13 tys. dol. rocznie. Z tej sumy 3 tys. automatycznie ma być przeznaczone na ubezpieczenie zdrowotne, a pozostałe 10 tys. na osobiste potrzeby. Osoby, które zarabiałby powyżej 30 tys. rocznie, w miarę jak rosłby ich przychody, traciłyby wsparcie od państwa. I tak po osiągnięciu przychodu na poziomie 60 tys. dol. rocznie pomoc państwa spadałaby do kwoty 6,5 tys. dol. i na tym poziomie by się zatrzymywała. Cały system kosztować miałby ok. 200 mld dol. i według Murraya w ciągu pięciu lat Stany Zjednoczone oszczędziłyby na świadczeniach socjalnych ponad 1 bln dol.

Trochę inaczej wyglądają te wyliczenia w przypadku Polski. Ostatnio zaproponował je Sebastian Stodolak w „Dzienniku Gazecie Prawnej”. Stodolak twierdzi, że wypłacając każdemu Polakowi 500 zł miesięcznie, zamiast wydawać na pomoc społeczną, zostalibyśmy z dziurą w budżecie na poziomie 109 mld zł. Dla lepszego wyobrażenia skali możemy policzyć to od drugiej strony. Licząc razem wydatki publiczne na opiekę zdrowotną, które wynoszą ponad 79 mld zł, i wydatki na pomoc społeczną (ponad 45 mld zł), dla równego rachunku jest to jakieś 125 mld zł. To, przeliczone na miesięczne świadczenia na średnim poziomie, przekłada się

■ na 274 zł miesięcznie (64 euro), czyli pozostałe 226 zł na osobę rząd musiałby gdzieś znaleźć, a raczej zabrać lepiej zarabiającym.

Rachunek opłacalności płacy podstawowej będzie się zmieniał w zależności od zamożności państwa i ponoszonych już świadczeń na pomoc społeczną. Najbogatsze państwa w grupie OECD wydają średnio niemal 30 proc. swojego wysokiego PKB na świadczenia społeczne. W przypadku Finlandii, która rozpoczęła ostatnio swój eksperyment z UBI, dochód gwarantowany byłby faktycznie opłacalnym zabiegiem. Jeżeli zsumujemy wszystkie obecne świadczenia socjalne Finlandii i podzielimy je przez liczbę mieszkańców, doliczając nawet dzieci, to okazałoby się, że państwo mogłoby wypłacać każdemu obywatelowi nie 560, ale 778 euro miesięcznie. Czyli w skali 5,5 mln obywateli oznaczałoby to oszczędność na poziomie 1 mld 230 mln euro. Przyjmując ten sam poziom wypłat, oszczędności w bogatszych państwach – takich jak Szwecja i Dania – szłyby już w grube miliardy. Oczywiście mamy też bogate państwa, które nie są aż tak szczodre. W Stanach Zjednoczonych średnie wydatki na pomoc społeczną na obywatela wynoszą po przeliczeniu 467 euro – to znacznie poniżej tego, co Sam Altman przewidział w swoim eksperymencie na jednego Amerykanina. Jeżeli jednak dodamy do tego 42,5 mld dol., jakie rząd USA wciąż wydaje na subsydiowanie Obamacare, to suma gwarantowana mogłaby wzrosnąć do 620 dol. miesięcznie. Pamiętajmy też o wyliczeniach Murraya, który zakładał, że wprowadzając regresywny algorytm, oszczędzilibyśmy sporo na wypłatach. I wtedy faktycznie można oferować każdemu, kto zarabia poniżej 30 tys. rocznie, 850 dol. miesięcznie.

W przypadku Szwajcarii, która niedawno w referendum opowiedziała się przeciwko gwarantowanemu dochodowi, podstawowe świadczenia socjalne i zdrowotne w przeliczeniu na obywatela wynoszą zaledwie 372 euro. Bogata Szwajcaria stara się oszczędnie gospodarować swoimi zasobami. Nawet obrońcy projektu przyznawali, że zaledwie 17 proc. Szwajcarów wymagałoby jakichkolwiek dopłat, przyjmując za gwarantowany dochód odpowiednik 2 tys. 336 euro (mediana dla szwajcarskiego gospodarstwa domowego wynosi zaledwie 4 tys. 438 euro), co przy obecnych wydatkach dalej stanowiłoby spory wzrost wydatków na świadczenia

socjalne. Ciekawe, że wśród argumentów przeciwko UBI Szwajcarzy na pierwszym miejscu nie wymieniali wysokich kosztów eksperymentu, ale niebezpieczne uzależnienie obywatela od państwa. Obawiali się, że system pozbawi ludzi inicjatywy, poczucia własnej wartości. Zwracano też uwagę, że utrata pracy i dochodu nie oznacza dziś tego, co oznaczała jeszcze 50–60 lat temu, czyli zagrożenia bytu. Jednym słowem, bogatsze społeczeństwa, które byłoby stać na UBI, w mniejszym stopniu go potrzebują. Nie tylko łatwiej jest stanąć z powrotem na nogi, lecz także znaleźć oparcie w państwie.

SKUTEK ODWROTNY

Kanadyjscy uczeni, którzy w zeszłym roku zeszli do podziemi University of Manitoba, wydobyli pudła z danymi, które pozostały po eksperymencie, i wybrali się z nimi z powrotem do Dauphin. Po 37 latach pytali mieszkańców, jak wspominają eksperyment. Okazało się, że mało kto w miasteczku o nim pamiętał. Z kolei ci, którzy coś mogli o tym powiedzieć, nie zapamiętali go jako czegoś szczególnego w ich życiu. Osoby, które dorastały w tym czasie w biednych rodzinach, nie pamiętają, żeby coś zmieniło się w domu. Gorzej – osobami, które wyrwały się z matni ubóstwa, były te, które wyjechały do dużych miast i skończyły studia dzięki stypendiom dla najbardziej utalentowanej

z „500+” zdają się potwierdzać niektóre obserwacje z Kanady. Na pierwszym etapie pieniądze faktycznie pomogły wielu rodzinom stanąć na nogi. Zmniejszyły ubóstwo, pomogły spłacić długi. Jednak sama konstrukcja systemu uzależniającego wypłatę dla rodzin z jednym dzieckiem od zarobków, a nie sumy świadczeń socjalnych, zdaje się mieć odwrotny skutek. Z pierwszych danych wynika, że rodzin, którym należy się „500+”, przybywa więcej, niż wskazywałoby na to liczba urodzin lub dane o ubóstwie. Można wnosić, że osoby z zarobkami na granicy minimum mogą dogadywać się z pracodawcami, którzy na potrzeby urzędu obniżają im pensję, żeby mogli wystąpić o wsparcie państwa, a różnicą prawdopodobnie się dzielą i wypłacają ją pod stołem. Tego eksperyment w Finlandii pewnie nie wykaże, ale życie zwykle bywa bardziej złożone niż laboratoryjne warunki. Podobnie jak człowiekowi pokroju Altmana trudno zrozumieć, że większości z nas, zwykłych ludzi, praca jest niezbędna do wyznaczania sensu życia. Z wyjątkiem nielicznych geniuszy i ludzi o nieprzeciętnej dyscyplinie większość z nas potrzebuje pracy do codziennej rutyny, własnej samooceny oraz tworzenia wzorców osobowych dla kolejnych pokoleń, którym bez etosu pracy ciężko byłoby zrozumieć, po co mają się kształcić lub rozwijać, skoro rodzice nie musieli tego robić.

Nie miejmy złudzeń: współczesny system pomocy społecznej pozostawia wiele do życzenia. Pomoc państwa dla rodzin z osobami niepełnosprawnymi jest karygodnie niska. Wciąż jednak dziesiątki tysięcy osób nadużywa systemu, wyłudzaając renty i świadczenia dla bezrobotnych. Czy to jednak oznacza, że państwo ma się stać głównym pracodawcą, a cały naród przejść na zasiłek? Czy strach przed robotyzacją życia nie jest trochę na wyrost? Na razie maszyny tworzą więcej miejsc pracy, niż niszczą. Może raczej powinniśmy przyjrzeć się narzędziom, które już mamy. Zastanowić się, czy zawrotne świadczenia socjalne nie demoralizują pracowników i nie ograniczają wzrostu gospodarczego, który zwykle jest najlepszą odpowiedzią na ubóstwo. Może zamiast tworzyć nowe regulacje, należałoby ograniczyć bariery dostępności do zawodów, poprawić system edukacji zawodowej, który produkuje w Polsce więcej emigrantów niż hydraulików, elektryków i architektów. Czy skutki uboczne „500+” nie powinny być wystarczającą nauką dla wszystkich, którzy eksperymentują z UBI? © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Przeciwko UBI Szwajcarzy na pierwszym miejscu nie wymieniali wysokich kosztów, ale niebezpieczne uzależnienie obywatela od państwa

młodzieży. Jedyne, co uczeni dostrzegli, studiując lokalne gazety z tamtego okresu, to brak chętnych do pracy dorywczej. Bezrobocie jako takie nie spadło ani nie wzrosło w okresie manny z nieba. Ludzie najwyraźniej nic w swoim życiu nie zmienili. Najlepszy dowód: po zamknięciu programu niemal tyle samo osób co wcześniej i z tych samych rodzin ponownie znalazło się na listach pomocy społecznej.

Projekt oczywiście był ograniczony w czasie i trudno powiedzieć, czy gdyby potwał co najmniej jedno pokolenie, nie odmieniłby życia biednych mieszkańców. Jednak pierwsze polskie doświadczenia



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

Gdzie miliardy na zbrojenia?

Myszę, że warto byłoby usłyszeć od rządzących, czy aby na pewno mamy pieniądze potrzebne na uzbrojenie polskiej armii. A jeśli tak, to gdzie one są?

Gdzie są pieniądze na od dawna niezbędne naszym żołnierzom – i nam wszystkim w przypadku ataku na Polskę – śmigłowce, nieważne, jakiej marki albo jakich marek: Caracal, Black Hawk, AW-149 itd.? I na ile śmigłowców ich nam wystarczy, bo na razie mówi się o 16 maszynach w tym roku, może już w marcu, a kilka lat temu mowa była o 70, a potem 50? Gdzie są pieniądze na tak potrzebne systemy przeciwrakietowe, które mają współtworzyć tarczę nad Polską, i znów mniejsza o to, przez którą firmę wyprodukowane: systemy Patriot czy MEADS lub jakiś jeszcze inny? Gdzie są pieniądze na okręty dla Marynarki Wojennej, która jest już niemal całkowicie bezbronna, a wraz z nią my – wszyscy Polacy? Gdzie są pieniądze na drony i inne typy broni, bez których system obrony naszego państwa pozostaje więcej niż iluzoryczny, nawet jeśli zaczęli nas wspierać nasi oddani sojusznicy z armii NATO?

Mam nadzieję, że nie jest tak, iż pieniądze te znowu – jak niejednemu wcześniej – zostały przejeżdżone i dalej są przejadane? (A nie chodzi tu o jakieś drobne, lecz o ciężkie miliardy złotych; tylko na śmigłowce mieliśmy – mamy? – wydać ponad 13 mld zł). I zamiast na zakupy dla polskiej armii nadal są przeznaczane na inne cele? Na cele

z całą pewnością niezmiernie ważne, lecz czy może być coś ważniejszego i pilniejszego od uzbrojenia polskiego wojska w sytuacji narastającego zagrożenia agresją ze strony Rosji? Czy w takiej sytuacji zdecydowanie na drugi plan, i to natychmiast, nie powinny zejść wydatki na podwyżki emerytur, wszelkiego rodzaju zasiłków dla dzieci i bezrobotnych, uposażeń dla posłów, pensji dla nauczycieli i urzędników oraz wszystkich innych potrzebujących?

A jeśli rządzący politycy twierdzą, że wydatki na uzbrojenie armii nie są zagrożone, że te pieniądze gdzieś tam – w zakamarkach kasy państwa – czekają na wydanie, to dlaczego one tam czekają, a nasza armia nadal nie jest odpowiednio uzbrojona? Dlaczego mijają miesiące za miesiącem i rok za rokiem, a niezbędnych wojskowym śmigłowców – w odpowiedniej liczbie – wciąż brak i nie bardzo wiadomo, jakie i kiedy zostaną żołnierzom dostarczone? Dlaczego wciąż nic pewnego nie wiadomo o systemie obrony przeciwrakietowej i wielu innych rodzajach broni?

Inaczej mówiąc: Kiedy wreszcie polska armia zacznie przypominać tę, którą mieć powinniśmy od dawna, a przestanie przypominać wojsko polskie z września 1939 r. – „silne, zwarte i gotowe”? A nie da się tego osiągnąć bez zrealizowania zapowiedzi Jarosława Kaczyńskiego, że Polska będzie wydawać na obronność 3 proc. PKB. Co najmniej 3 proc. PKB. I to nie w 2222 r., ale w 2018 r. ©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

O wartościach

W tradycyjnej ekonomii człowiek jest racjonalny, ma pełną informację, dąży do maksymalizacji użyteczności, a rynek jest efektywny. Przynajmniej tak się uczy ekonomii na studiach, na pierwszym roku. Dopiero potem okazuje się, że życie jest bardziej skomplikowane: mamy asymetrię informacji i nieracjonalne zachowania, a rynek bardzo często zawodzi, prowadząc do patologii, takich jak nierówności dochodowe i utknięcie całych krajów w pułapce niskiego poziomu rozwoju.

Zbyt dużo czasu poświęcamy na naukę technik, a zbyt mało na naukę o wartościach

Wydaje się, że zbyt dużo czasu poświęcamy na naukę technik (takich jak modele ekonomiczne), a zbyt mało na naukę o wartościach. To wartości, które wyznaje człowiek, determinują w znacznym stopniu jego zachowanie. No dobrze, ale jak zmierzyć wartości, którymi kieruje się człowiek? Jest to możliwe, jeżeli przeprowadzi się wiele obserwacji i eksperymentów. Na przykład w Europie zatrudnienie członka rodziny w urzędzie jest określane jako nepotyzm i jest naganne, w wielu krajach Azji to samo zachowanie jest bardzo pożądane i naturalne, nepotyzm

jest wartością godną naśladowania, a nie potępienia. To wynika z faktu, że rodzina, jako wartość, ma o wiele większe znaczenie niż w Europie.

Rodicielstwo też jest wartością, którą można zmierzyć. W Europie dzieci rodzi się mało, bo bycie ojcem czy matką jako wartość jest cenione nisko. W Kazachstanie celem życia większości kobiet jest macierzyństwo, urodzenie co najmniej dwojga dzieci i ich wychowanie. Kariera zawodowa jako wartość jest ceniona znacznie mniej niż macierzyństwo.

Inną wartością, która wpływa na zachowania ludzi i całych społeczeństw, jest patriotyzm. W najprostszej definicji to zdolność oddania życia za swój kraj. W Kazachstanie przed prawie każdą uroczystością, nawet takiej rangi jak olimpiada uczelnicza lub konkurs studencki, wszyscy śpiewają hymn, kierując wzrok w stronę flagi. W Polsce niektóre liberalne kręgi traktują słowo „patriotyzm” na równi ze słowem „faszyzm”, przy okazji naśmiewając się z orła, symbolu narodu. Religia jest także bardzo ważną wartością. W Europie można bezkarnie wyśmiewać się z religii, a w krajach arabskich takie zachowanie jest karane śmiercią.

Każdy może sobie zadać pytanie, jakich wartości wyrzekłby się za milion dolarów: rodziny, kraju, życia bliskiej osoby, obcej osoby, płodności, religii. Odpowiedź określi, jakie wartości naprawdę cenimy. ©

Autor jest rektorem Narxoz University w Alma Acie w Kazachstanie.

TEST „DO RZECZY”: PRZENOŚNE DYSKI SSD – SZYBKE I WŚCIEKLE DROGIE

Przenośne dyski SSD stają się coraz poważniejszą konkurencją dla pendrive'ów oraz dysków zewnętrznych wyposażonych w nośniki magnetyczne (HDD).

Są bowiem niewielkie, lekkie, odporne na wstrząsy, a do tego są dużo bardziej wydajne niż ich tradycyjni konkurenci. Do redakcyjnych testów wzięliśmy dwa gadżety tego typu: Plextor EX1 oraz Transcend ESD 220C. Jak się sprawdzili?

Plextor EX1 w aluminiowej obudowie (srebrnej lub złotej) o opływowych kształtach przypomina miniaturowy powerbank, hipsterski odtwarzacz muzyczny lub ekskluzywną zapalniczkę. Prostokątny gadżet o wymiarach 101,2 x 31,6 x 8,7 mm waży zaledwie 30 g.

Transcend ESD 220C ma bardziej tradycyjny design: plastikowa czarna obudowa kształtem zbliżona jest do kwadratu (77 x 55,7 x 9,6 mm). Waży 52 g. Przewagą Plextora EX1 nad konkurentem jest też dołączony do zestawu pokrowiec – jego jakość wprawdzie nie rzuca na kolana, ale nawet takie etui zabezpiecza gadżet przed zarysowaniami np. podczas przenoszenia w kieszeni wraz z kluczami.

Obydwa dyski wyposażono w złącze USB typu C. Oba pracują bezgłośnie. Oba się też nie przegrze-

wają, choć gadżet Plextora przy intensywnym kopiowaniu plików robi się na tyle ciepły, że zimową porą można nim sobie ogrzać dłonie, w żadnym momencie nie był jednak gorący.

Największą zaletą przenośnych dysków SSD jest jednak szybkość działania. W przypadku Plextora EX1 maksymalna deklarowana przez producenta prędkość odczytu wynosi do 550 MB/s, a zapisu do 500 MB/s. Transcend ESD 220C uzyskuje odpowiednio maksymalnie prędkość do 410 MB/s i do 400 MB/s.

Trzeba jednak pamiętać, że prędkości przesyłu danych znacząco spadają w przypadku korzystania z wciąż najbardziej popularnego portu USB 3.0. Mimo to w realnym świecie

wydajność obu przenośnych dysków SSD robi ogromne wrażenie. Przekopiowanie pliku wideo (np. filmu) zajmuje bowiem – w zależności od jego wielkości – zaledwie kilka, kilkanaście sekund.

Oba testowane dyski SSD są kompatybilne z systemami Windows, macOS, Linux oraz Android. Zarówno Plextor EX1, jak i Transcend ESD 220C są zgodne ze standardem USB OTG, więc z powodzeniem mogą służyć jako dodatkowa przenośna pamięć dla smartfonów i tabletów.

Niestety, przenośne dyski SSD to – zwłaszcza w przeliczeniu na pojemność – wciąż bardzo drogie gadżety. Plextor EX1 o pojemności 128 GB kosztuje ok. 340 zł. Za wersję 256 GB trzeba zapłacić blisko 560 zł, a za przenośny dysk SSD o pojemności 512 GB – aż 900 zł. Transcend ESD 220C o pojemności 128 GB kosztuje ok. 370 zł. Cena tego dysku w wersji o pojemności 240 GB wynosi niemal 600 zł, a w wersji 480 GB – aż 1,1 tys. zł. To ogromne pieniądze. Za niecałe 800 zł można bowiem nabyć dysk magnetyczny o pojemności aż 5 GB. Przed zakupem trzeba więc samodzielnie ocenić, czy bardziej zależy nam na pojemności dysku i cenie czy na bardzo szybkim transferze danych, niewielkich wymiarach i odporności na wstrząsy.

Jacek Przybylski

WALIZKA WIERNA JAK PIES

Dumnie przemierzasz swobodnym krokiem ulice Madrytu, Paryża, Mediolanu, Poznania czy innego z pięknych miast, podziwiając zabytki i – co ciekawsze – tubylczyźnie/tubylców, a za tobą podąża wypchana po brzegi walizka, fukając cicho na tych, którzy nie schodzą jej z drogi? Można i tak. Wszystko dzięki Fast Forward Gita, czyli osobistemu, samodzielnemu transporterowi, nad którym właśnie pracują konstruktorzy słynnego skutera Vespy. Urządzenie przypomina sporych rozmiarów kule; ma wysokość ok. 66 cm i porusza się na specjalnych oponach. W schowku zmieści się niemal 18,4 kg bagażu, czyli tyle, ile warto ze sobą zabrać na tygodniową lub dłuższą wycieczkę. Sercem Fast Forward Gita jest zestaw kamer i czujników pozwalających na rozpoznawanie otoczenia oraz komunikację z właścicielem bagażu, a także bateria umożliwiająca korzystanie z urządzenia przez blisko osiem godzin. Inteligentna „walizka” może podążać za

użytkownikiem, utrzymując ustalony wcześniej na specjalnym panelu dystans i zatrzymując się wtedy, gdy właściciel zatrzyma się np. przy budce z zimnym piwem, albo poruszać się samodzielnie wcześniej zaprogramowaną trasą (tego akurat nie polecamy, w wielu miastach zapasowa bielizna itp. mogłaby nie dotrzeć do celu). Produkt ma trafić do sprzedaży za kilka miesięcy.

WŁADCA WICHRU

Brytyjczycy twierdzą, że przenośne powerbanki to już przeszłość, teraz trendy mają być przenośne, kieszonkowe „elektrownie wiatrowe”. Urządzenia wzorowane są na znanych wiatraczkach, które po podłączeniu do USB wirowały, tworząc lekką bryzę chłodzącą użytkownika, choć tym razem ich funkcjonowanie odwrócono. Składane wiatraczki, które można rozebrać i schować do torby (nie polecam noszenia półkilogramowych ciężarków w kieszeni spodni) – czyli gadżet o nazwie Infinite Air – wykorzystują wiatr, by energię kinetyczną zamienić na elektryczną, działając jak ładowarka o natężeniu do 2,5 A. Urządzenie kosztuje 430 zł. Aby zadziałało, potrzeba jednak wiatru więcej niż 35 km/godz. Pamiętając o naszych parnych i dusznych latach, pozostaną jednak przy powerbanku.

Wojciech Wybranowski



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Medycyna estetyczna nie musi być droga, chyba że...

Od początku istnienia medycyna estetyczna kojarzona była z luksusem, z ludźmi z pierwszych stron gazet, z czymś jak witryna ekskluzywnego sklepu.

Rzeczywiście, tak we Francji, jak i we Włoszech (ojczyźnie medycyny estetycznej) jednymi z pierwszych, którzy korzystali z jej usług, byli ludzie sceny, sztuki, mediów.

I wtedy powstało skojarzenie, że „to” musi kosztować, i rzeczywiście „to coś” nie było tanie. Jednak 30–40 lat temu było niewielu lekarzy, którzy wiedzieli, czym jest medycyna estetyczna. Dysponowali nielicznymi propozycjami w zakresie diagnostyki i terapii defektów estetycznych.

Lekarzy praktykujących medycynę estetyczną dziś są tysiące, proponują oni wiele skutecznych i bezpiecznych

rozwiązań problemów estetycznych, dysponują coraz większą wiedzą na temat starzenia.

I mogłoby się wydawać, że w związku z tym ceny usług powinny być racjonalne, zbliżone w porównywalnych do siebie placówkach zdrowotnych i przede wszystkim dostępne dla wielu.

I tak się często dzieje, najpopularniejsze zabiegi medycyny estetycznej mają w miarę rozsądne ceny i nie ma racjonalnych powodów, żeby płacić za nie dużo więcej.

Czasami w przypadku usług tzw. celebrytów medycznych są one niewytłumaczalnie wysokie, gdyż wielu pacjentów wierzy, że warto im zapłacić więcej. Radzę dwa razy się zastanowić, czy warto. Wybór należy do ciebie, pacjencie.

Przestrzegam natomiast przed różnego rodzaju okazjami, przecenami, obniżkami

czy propozycjami rodem z supermarketu typu „dwa w cenie jednego”. Zakupy grupowe w medycynie? Operowanie ceną w celu zachęcenia potencjalnych pacjentów powinno u nich właśnie „zapalić czerwone światło zasadnej wątpliwości”. Czy ten, kto oferuje usługę za pół ceny, na pewno jest lekarzem? Czy ma wymagane kompetencje, czy używa najlepszych materiałów? Warto to sprawdzić, zanim zdecydujemy się na usługę medycyny estetycznej. Swoją drogą agresywny marketing, np. SMS-owy ma niewiele z nią wspólnego.

Innym dosyć częstym zjawiskiem są wysokie ceny za nowości, które czasami są tego warte, ale częściej okazuje się, że nie. Lepiej zapłacić za coś sprawdzonego i uznanego niż za miraż.

Medycyna estetyczna nie musi być droga, staje się taka, gdy odwołujemy się do skomplikowanych korekcyjnych. Jak w klasycznej medycynie taniej i często efektywniej jest zapobiegać, niż „naprawiać”.



dr Andrzej Ignaciuk

– prezes Polskiego Towarzystwa
Medycyny Estetycznej
i Anti-Aging PTL

www.drignaciuk.pl

NEAUVIA™
ORGANIC

Stimulate and Lift
PODNIĘŚ SWOJĄ SKÓRĘ

Zabieg Neauvia Organic opracowany przez laboratoria marki,
to nowe podejście w procesie starzenia się skóry.

www.neauvia.pl



@neauviastyle



www.fb.com/neauviapoland

INNOWACYJNY
ZABIEG ROKU 2017



JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Pożytek z raków

Raków we współczesnej kuchni jest jak na lekarstwo, za to krewetek – „jak mrówek”. Tymczasem w XVII w., u cytowanego przeze mnie wielokrotnie Stanisława Czernieckiego, te skorupki są zarówno przydatkiem do potraw, jak i daniem samym w sobie. Mamy zatem np. potrawę z rakami albo bigoskiem, gdzie gotowane mięso rakowe należy podduścić z krojoną drobno pietruszką i cebulą, masłem, siekanym szczawiem albo agrestem, a potem podawać z pieprzem i kwiatem muszkatołowym oraz z... kapłonem lub cielęciną. Inny ciekawy przepis to raki warzone w piwie z sardelami albo krajanymi śledziami. Raki z botwiną – także gotowane w piwie z siekaną botwiną, ze śmietaną i z masłem. Są także dodatkiem do potraw z ryb, niekoniecznie postnym, bo zdaje się, że Czerniecki nie wiedział, czy zaliczyć je do potraw mięsnych czy rybnych, a przepisy znajdujemy w dwóch działach „Compendium ferculorum”. Są zatem ryby z agrestem i rakami, z rakami tretowanymi, czyli smażonymi. Oraz ryby z sardelami i rakami.

Jeszcze więcej przepisów zachowało się w kuchni litewskiej, która przekazuje nam, jak przygotowywano raki. Otóż najpierw należało

je zalać wrzątkiem lub wrzucić do gotującej się wody. Potem powybierać żyły i żółć, czasem resztę utłuc w moździerzu, rozrobić z mlekiem, przecedzić przez chustkę i wycisnąć, wbić kilka żółtek, a następnie usmażyć w maśle na półmisku. Można z nich było zrobić także... tort, czyli wybrać mięso z ugotowanych raków – a pamiętajmy, że najlepsze jest w odwłokach i szczypcach – posiekać, dodać tłuczonych migdałów, białego chleba namoczonego w mleku i masła. Z tego formowano tort, który jeszcze cukrowano i... lepiej nie zgadywać, jak to wszystko smakowało.

Były też raki smażone w rynce z natką pietruszki, na maśle, tyle że przygotowywano tak tylko mięso z szyjek i nóżek (zapewne chodziło o szczypce). Po przysmażeniu dodawano wina i octu winnego, pieprzu, tłuczonych goździków i pokrojonej drobno skórki cytrynowej. A dodatkowo jeszcze rozcieranych, gotowanych na twardo jajek.

Pytanie, skąd w dzisiejszych czasach wziąć raki? Powoli namnażają się po rozlewiskach i strumieniach. Są jednak pod ochroną, nie wolno ich łowić samemu. Na szczęście raki można kupić, choć drogo. Wystarczy znaleźć odpowiednie gospodarstwo rybne. ©

Zupa rakowa

Bierzemy mendel szlachecki raków (czyli 15 sztuk). Najpierw parzymy je wrzątkiem i myjemy. Później gotujemy wodę, do której dodajemy dużo kopru i którą bardzo mocno solimy. Do wrzątku wrzucamy całe oczyszczone raki. Uwaga – mogą pisać, jakby prosiły o zmiłowanie. Nie jest to jednak ich głos, bo nie mają odpowiedniego narządu – to tylko para wydobywająca się przez panczerzyki. Gotujemy je ok. 20 min, aż staną się czerwone. Następnie studzimy, wybieramy szyjki i tyle skorupki, ile chcemy zachować do nadziewania. Resztę szyjek i nóżek tłucemy w moździerzu na miazgę, dodajemy łyżkę masła, potem stawiamy w rondlu na wolnym ogniu i powoli smażymy. Kiedy masło stanie się czerwone, jak podaje przepis – „nabierze rakowego koloru” – należy dodać trochę przygotowanego osobno rosołu i zbierać łyżką do garnuszka ekstrakt, który nie jest nam potrzebny. Resztę należy przecisnąć przez gęste sitko lub grube płótno i rozrobić rosołem, dorzucając kilka łyżek śmietany zmieszanej z łyżką mąki. To wszystko zagotować i wlać do wazy, w której znajdować się już będą rakowe szyjki, siekany zielony koper i faszeryowane skorupki, które wcześniej zachowaliśmy. Skorupki do zalewania przygotowujemy tak: bierzemy kilka szyjek i nóżek raków, siekamy drobno, dodając tartę bułki, siekanego kopru, soli i jajka. Tą mieszaniną nadziewamy skorupki, gotujemy i wkładamy do wazy, podlewając wywarem z raków.

Raki z sardelami albo ze śledziami

Gotujemy kilka raków w piwie, kiedy są na wpół ugotowane (jeszcze nie czerwone), wkrajamy do nich wymoczone w wodzie sardele albo pokrojone śledzie. Dorzucamy też dobrego masła, zielonej pietruszki i dużo kopru. Gotujemy do końca, a kiedy spieką raka, podajemy z pieprzem, kwiatem albo z gałką muszkatołową, ewentualnie z oliwą.



ZIMNE KOKTAJLE I CIEPŁE FLACZKI POLECA ANDRZEJ ROSIEWICZ

Ponieważ jestem absolwentem dumnej szkoły im. Tadeusza Reytana w Warszawie, zaczęłam od życiowej kulinarnej mądrości, której nauczył nas dyrektor naszej szkoły, pan Wojciechowski, zwany przez nas pieszczotliwie „Sołtysem”. Oto ona: „Śniadanie zjedz sam, obiadem podziel się z przyjacielem, kolację oddaj wrogowi”.

Dzień zaczynam od płatków owsianych górskich i kawy z mlekiem. Szczególny nacisk kładę na płatki owsiane górskie, a nie zwykłe, bo po górskich czuję się jak kozica górską i chce mi się „mee, mee, mee”, a po zwykłych nie. Jeżeli chodzi o danie obiadowe, to lubię zupy. Zupę pomidorową, grzybową, kołduny w rosole, ewentualnie flaczki po warszawsku ze względu na pochodzenie.

Na drugie danie proponuję rybne różnorodności. Podobno ryba jest zdrowsza od mięsa. Przyznam się, że ja ryby lubię, a poza tym muszę je jeść. Ryby mają fosfor, a my, gwiazdy, musimy świecić. Tak poza tym to mam myśli wesołe, gdy niedziela pachnie domowym rosółem.

Nie lekceważyłbym też doświadczeń poprzednich pokoleń, a zwłaszcza takich smakoszy jak Jan Himilbach i Zdzisław Maklakiewicz, którzy konsumowali zdrową żywność

w zestawie „seta plus galareta” albo „meduza i lorneta”.

Ponieważ w zakąskach jestem słabszy, zaproponuję koktajl piwny. Wziąć butelkę piwa, schłodzić, nalać do szklanki, dobrze wymieszać, aż powstanie piana, i wypić. Pozdrawiam i żegnam się bajecznym „i jedli długo i szczęśliwie”.

Flaki po warszawsku

Składniki:

1 kg flaków wołowych, 0,5 kg kości wołowych, włoszczyzna bez kapusty, cebula, przyprawy, do podsmażenia: marchew, pietruszka, kawałek selera

Przygotowanie:

Flaki oczyścić, dwukrotnie obgotować, za każdym razem zmieniając wodę, potem gotować, aż będą miękkie (ok. 1 godz.). Kości wołowe zalać wodą, zagotować, dodać oczyszczoną włoszczyznę i obraną cebulę, gotować przez ok. 1 godz. Zalać flaki odcedzonym wywarem, dodać startą i podsmażoną na maśle marchewkę, pietruszkę i seler, gotować razem przez ok. 20 min. Doprawić solą, pieprzem, majerankiem i ostrą papryką.

(not. raw)

Andrzej Rosiewicz
jest piosenkarzem,
tancerzem,
kompozytorem,
satyrykiem
i choreografem.



JOANNA BOJANCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Zdrowi ludzie żyją w brudzie

Tytuł tej książki „Jedz brudniej i czuj się lepiej” oraz zdjęcie autora z pęczkiem nieumytej marchewki w ręce obudziły we mnie nadzieję. – Nareszcie nie trzeba będzie myć sałaty! – pomyślałam. Nic z tego. O myciu też jest, ale głównie o jedzeniu, chorobach i sposobach zapobiegania im.

Autor – dr Josh Axe, lekarz i dietetyk – jest Amerykaninem i jego perspektywa jest siłą rzeczy także amerykańska. U nich przemysłowe żarcie doprowadziło do masowej epidemii otyłości, cukrzycy oraz licznych chorób autoimmunologicznych. Stało się także powodem innych dolegliwości: chronicznego zmęczenia, alergii, problemów żołądkowych, niestrawności, braku koncentracji, zmian skórnych.

„W ostatnim stuleciu w wielu obszarach życia staraliśmy się wytrzebić bakterie. Cel był zrozumiały: zarazki są złe, czystość cacy. Ale w próbach złe pojętego zabezpieczenia siebie i swoich rodzin doprowadziliśmy do kryzysu zdrowia. [...] Obecnie wiemy już, że życie w zbyt sterylnym otoczeniu zwiększa podatność organizmu na choroby”.

Nie chodzi tylko o mycie jarzyn. Nowoczesne praktyki uprawy roli, przemysłu spożywczego i farmaceutycznego podkopły stan zdrowia naszych jelit. Doświadczamy ukrytej epidemii jelita nieszczelnego. Ten mało nagłośniony syndrom polega na tym, że uszkodzona ściana jelita



AXE JOSH
„JEDZ BRUDNIEJ
I CZUJ SIĘ LEPIEJ”
FEERIA 2016

przepuszcza mikroorganizmy i cząsteczki pożywienia do krwiobiegu, co uruchamia reakcje zapalne organizmu. Axe twierdzi, że cierpi na to 80 proc. populacji, ale większość ludzi nie zdaje sobie z tego sprawy.

Zalecenia dr. Axe’a znamy z różnych innych książek i badań, głównie amerykańskich, jakżeby inaczej. A zatem: nie jedz niczego, co pochodzi z pudełka, puszki lub słoika. Jedz niewielkie ilości, w odstępach co trzy godziny, spożywaj kiszonki, produkty sfermentowane organicznie i hodowane lokalnie. Jak ognia unikaj cukru. Chodź na dworzec boso (dawno to mówię), miej psa, pływaj w morzu.

Axe opisuje, jak cierpiąc na raka matkę wyciągnął z choroby, całkowicie zmieniając jej dietę i przedstawiając ją na bardziej aktywny tryb życia. Pani Axe jest teraz 20 lat po diagnozie nowotworu i cieszy się dobrym zdrowiem. Brzmi nieprawdopodobnie. Jako dietetyk ekipy amerykańskich pływaków dr Axe prowadził Michaela Phelps. Ten lubił głód zjadać chipsami i hamburgerami, a było tego sporo, bo olimpijski zawodnik spalał dzienne nawet 12 tys. kalorii. Dopiero po zmianie diety Phelps zaczął osiągać swoje najlepsze wyniki. My też możemy, niekoniecznie w pływaniu. ©

NASZ TEST: BMW X1

BMW X1 to zadziornie wyglądające auto klasy premium, będące świetnym kompromisowym rozwiązaniem dla osób, które szukają funkcjonalnego małego SUV-a, ale ani myślą rezygnować z dynamicznej sportowej jazdy i chcą co jakiś czas móc wyobrazić sobie, że to one, a nie jakiś tam Clive Owen grają perfekcyjnego zawodowego kierowcę.

W KABINIE

Miejsca w środku X1 jest – jak na kompaktowego SUV-a – zaskakująco dużo. Narzekać nie powinni więc zarówno podróżujący z przodu (choć grubi pasażerowie mogą uznać, że fotele są zbyt wąskie), jak i jadący po lewej oraz po prawej stronie tylnej kanapy (jest bardzo dużo miejsca i na nogi, i nad głową). Niezwykłe prawo do marudzenia na brak miejsca na nogi będzie miał jednak wysoki pasażer siedzący na środku tylnej kanapy. Tak czy owak na rodzinne wakacje można jechać bez obaw. Zwłaszcza że bardzo przyzwoitych rozmiarów jest również kufer (ma aż 505 l pojemności).

Prosta deska rozdzielcza wygląda elegancko. Dwa klasyczne zegary są niezwykle przejrzyste, a odczytywanie najważniejszych informacji ułatwia jeszcze opcjonalny kolorowy wyświetlacz Head-Up Display. Dobre wrażenie robi też ekran LCD, a w grubej sportowej kierownicy można się niemal zakochać.

Przypieć trzeba się za to do materiałów, którymi zostały wykonane niektóre elementy kabiny. Oczywiście nie jest źle, ale jakoś tworzy sztucznych, zwłaszcza tych zamontowanych na drzwiach, odbiega od tego, co oferują inni konkurenci z klasy premium i co oferuje samo BMW w innych modelach.

JAZDA

Wystarczy wcisnąć pedał gazu, aby błyskawicznie zapomnieć, że jedziemy jakimś SUV-em. Jazda BMW X1 – a zwłaszcza jego sportową odmianą – daje kierowcy ogromnie dużo frajdy.

Auto w wersji z dwulitrowym silnikiem o mocy 231 KM od 0 do 100 km/godz. przyspie-



sza w zaledwie 6,5 s, a ośmiobiegowa sportowa automatyczna skrzynia przełącza biegi bez zbędnego zastanowienia i bez żadnych szarpnięć. Samochód prowadzi się pewnie. Układ kierowniczy działa świetnie. Dobrze zestrojone zawieszenie nie jest zaś wystarczająco twarde, by kierowca mógł pokonywać kolejne serpenty z uśmiechem na twarzy i bez obawy o zbytne przechyty, a jednocześnie na tyle miękkie, by zapewnić pasażerom odpowiedni komfort podczas jazdy po asfaltowych drogach. Jednocześnie wygodne, dobrze podpierające ciało fotele sprawiają, że autem można podróżować godzinami bez obawy o ból pleców.

BMW X1 w testowanej wersji z silnikiem benzynowym jest też niezłe wyciszone, co pozwala na komfortowe podróżowanie po autostradzie nawet z wysokimi prędkościami (maksymalnie, oczywiście na niemieckich autostradach, możemy rozpędzić się do 235 km/godz.). Nawet z napędem na wszystkie cztery łapy nie jest to oczywiście auto terenowe. Świetnie sprawdzi się jednak jako samochód na zimową wycieczkę w góry lub luksusowe wozidło dla menedżerów, którzy wybudowali dom pod miastem, zanim gmina zdążyła położyć tam asfalt.

Średnie spalanie w cyklu pozamiejskim wynosi 6,9 l/100 km, podczas jazdy po mieście rośnie do ok. 9 l/100 km, a przy wyższych prędkościach autostradowych – do niemal 10 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP BMW X1 zdobyło komplet pięciu gwiazdek, notując odpowiednio 90 i 87 proc. punktów w kategoriach: ochrona dorosłego podróżnego i ochrona dziecka. Dodatkowo system komputerowy wyświetla ostatnio mijane znaki, a także wprawia w wibrację kierownicę, jeśli tylko kierowca bez włączania kierunkowskazu przekroczy linię na jezdni. Auto jest też wyposażone w system ostrzegania przed kolizją, co pozwala uniknąć poważnego wypadku. Oczywiście wysoka pozycja kierowcy zwiększa również jego pole widzenia. Kompaktowe wymiary ułatwiają z kolei manewry na zatłoczonych miejscach ulicach i parkingach. Na pochwałę zasługuje też bardzo wyraźny obraz z kamery cofania.

CENA

Najtańsze BMW X1 z manualną skrzynią, napędem na jedną oś i benzynowym silnikiem o mocy 136 KM kosztuje 129,7 tys. zł. Za model xDrive 20i z napędem 4 x 4, ze sportową automatyczną skrzynią biegów i z silnikiem o mocy 192 KM trzeba już zapłacić 167,9 tys. zł. Najfajniejsza wersja xDrive 25i z 231 konikami pod maską, napędem na cztery łapy i ze sportowym automatem kosztuje 181,9 tys. zł (bez wyposażenia dodatkowego). Za najtańsze BMW X1 z silnikiem Diesla z podstawowym pakietem wyposażenia trzeba zapłacić 138,6 tys. zł, a za najdroższe – 181,9 tys. zł.

KONKURENCJI

Audi Q2, Audi Q3, Mazda CX-5, Mercedes GLA, Lexus NX 300h, VW Tiguan. ©©



JACEK PRZYBYLSKI

Jaki program informacyjny oglądasz o 19:00?

Włącz TV Republika. Zobacz rzetelne informacje.

DZISIAJ
GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI



Główne Wydanie informacji również w Internecie ZA DARMO.

www.telewizjarepublika.pl



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Dobre wieści dla Polski

MARCIN MAKOWSKI: Wytłumacz mi, jak to się stało, że gen. Michael Flynn, o którym wypowiadałeś się w samych superlatywach, w rekordowym tempie rezygnuje z funkcji doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego. I to w aurze skandalu, związanego z zatajeniem przed wiceprezydentem treści grudniowej rozmowy z ambasadorem Rosji.

MATTHEW TYRMAND: Witaj w Waszyngtonie, tak wygląda tutejsza polityka. Nie cofam jednak moich słów o gen. Flynnie. Od dawna wiadać było, że kwestionuje dotychczasową strategię wojskową Obamy, pasuje do nowej administracji i przynajmniej pod względem walki z islamskimi terrorystami podziela zdanie Trumpa. Wcześniej jako szef Agencji Wywiadowczej Departamentu Obrony (DIA) wypowiadał się krytycznie o CIA i o tym, jak zorganizowany jest amerykański wywiad. Pytał, dlaczego uzbrojono syryjskich rebeliantów, wzmacniając chaos w Syrii.

I za to CIA chciała się go pozbyć?

Oczywiście. Według mojej wiedzy wywiad przekazał mediom notatkę z transkrypcją rozmowy. To są informacje tajne, a tylko CIA ma zapis podobnych kontaktów z ambasadorami. Można się było tego spodziewać, ponieważ jednemu ze współpracowników gen. Flynn, tydzień przed rezygnacją jego przełożonego, agencja odmówiła dostępu do dokumentów niejawnych. Oczywiście to jedna strona medalu, gdyby Flynn poprawnie przedstawił wiceprezydentowi treści rozmowy, to trudniej byłoby go ugryźć. Szczególnie że chodziło o kwestię ewentualnego złagodzenia sankcji wobec Rosji.

Obrona gen. Flynn jest bardzo wątpliwa. Twierdzi, że zapomniał poinformować o sankcjach.

To jest tłumaczenie, po które sięgasz, jeśli nie chcesz się narazić na zarzuty kryminalne. Flynn

popęłił błąd i stał się kozłem ofiarnym nowej administracji. Wtajemniczeni mówią również, że za przeciekami, który doprowadził do dymisji, może stać chęć utajenia przez CIA kompromitujących Obamę dokumentów finalizujących deal z Iranem. Nie zmienia to jednak natury relacji między Polską a USA. Nawet jeśli możliwość ograniczenia sankcji wobec Rosji była dyskutowana, to w tej chwili jest to przeszłość. Fakty są takie, że po wznowieniu agresji na wschodniej Ukrainie Trump zaostrzył swoje stanowisko wobec Putina. I ten kurs, a nie konkretne osoby w Białym Domu ani wizyty ministra Szczerskiego, żeby porozmawiać chwilę z jakimś politykiem i zrobić sobie zdjęcie, jest największym gwarantem bezpieczeństwa dla Warszawy.

Co do relacji polsko-amerykańskich – odbyłeś niedawno wraz z senator Anders serię ciekawych rozmów w Waszyngtonie. W agendzie był senator John McCain, Dana Rohrabacher oraz członkowie polskiej grupy roboczej w Kongresie – m.in. Marcy Kaptur i Daniel Lipinski. Co ustaliliście?

To były bardzo owocne spotkania, w których uczestniczył również ambasador Wilczek. Przede wszystkim udało się znaleźć porozumienie między demokratami a republikanami, którym na sercu leży interes relacji polsko-amerykańskich.

Porozumienie ponad podziałami?

Można to tak nazwać. Demokratka Marcy Kaptur okazała się o wiele bardziej sceptyczna wobec Putina niż kilku republikanów obecnych na spotkaniu. To ciekawe, bo aktualny antyrosyjski kurs środowisk demokratycznych jest rodzajem opozycji wobec – ich zdaniem – zbyt miękkich w tej kwestii rządów Trumpa. W każdym razie to działa na korzyść Warszawy. Dosłownie każdy rozmówca podkreślał konieczność

zapewniania bezpieczeństwa Polsce, a tym samym wschodniej flanki NATO, którą należy wzmacniać. Podkreślano znaczenie i konieczność obrony Ukrainy. Mac Thornberry, członek Izby Reprezentantów, odpowiedział m.in. za dyslokację amerykańskich zbrojeń na świecie, rozmawiał z nami z perspektywy zwolennika ulokowania w Polsce trwałych baz, a nie o obecności rotacyjnej. Jego zdaniem taka opcja ma zdecydowanie więcej sensu pod względem ekonomicznym oraz jest łatwiejsza logistycznie. Tymczasem John McCain oraz senator Bob Corker mówili o konieczności wzmocnienia obecnej formy rotacyjnej. Zatem z różnych perspektyw politycznych słyszeliśmy podobne zapewnienia. Pytano nie „czy”, ale „jak” okopywać się militarnie na wschodniej flance NATO. Co do tego nie ma wątpliwości.

Rozmowy dotyczyły tylko NATO i kwestii bezpieczeństwa?

Nie tylko. Co ciekawe, jednym z tematów poruszonych przez Boba Corkera była struktura mediów w Polsce. Tę kwestię przejął od senator Anders, podkreślając, jak fałszywy obraz sytuacji kreują m.in. „Gazeta Wyborcza” i lokalny „Newsweek”, będące w kontakcie z amerykańskimi liberalnymi mediami. Rozmawialiśmy także o TVN jako prywatnej stacji, do której przeszła spora grupa dziennikarzy zwolnionych z mediów publicznych. Zainteresowała go ta sytuacja, ponieważ Scripps, które kupiło TVN, pochodzi z jego rodzinnego stanu Tennessee. Im więcej takich spotkań, tym wyraźniejszy obraz wiadomości, które docierają z Warszawy do Waszyngtonu, będą mieli lokalni politycy. To nie jest łatwe, ale nikt za nas tego nie robi. ©©

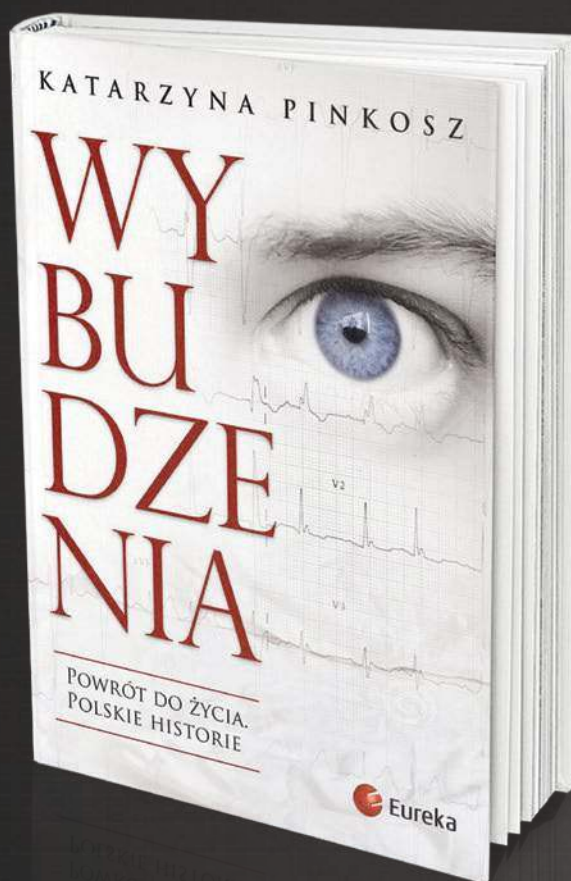
ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

CZYTAJ CO TYDZIEŃ **W LEPSZEJ CENIE** **ZAMÓW PRENUMERATĘ**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

+ **KSIĄŻKA** KATARZYNY PINKOSZ

„WYBUDZENIA. Powrót do życia - polskie historie.”



O życiu decydują sekundy. Wypadek, udar, zakrztuszenie: co roku kilkanaście tysięcy osób w Polsce zapada w śpiączkę. Co powoduje, że niektórzy się z niej budzą, choć lekarze nie dawali im szans?

Rodzicom Agnieszki Terleckiej sugerowano, że jej serce czy nerka może kogoś uratować życie. Agnieszka wybudziła się i skończyła studia.

Reżyser Mariusz Kobzdej po ośmiu miesiącach w głębokiej śpiączce wrócił do życia.

Żużlowca Piotra Winiarza wybudził warkot motoru.

Trzynastoletniego Dawida – gol strzelony przez Cristiano Ronaldo.

„Wybudzenia” to poruszające historie osób, które wyszły ze śpiączki i tych, którzy nadal o to walczą, tak jak Ola – córka Ewy Błaszczyk. Połowa osób nazywanych czasem „roślinami” czuje, widzi, słyszy. Gdzie są, kiedy wydaje się, że „tu” ich nie ma?

„Wybudzenia” to też niezwykle rozmowy z ludźmi, którzy przeciągają śpiących na „naszą” stronę, to pytania o sens życia, jego wartość i o to, kiedy rzeczywistość jest jego koniec.

135 zł

oszczędność 84 zł

www.prenumerata.dorzeczy.pl

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPLATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl
eprasa.pl 253d0d17f0



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Stop wariatom drogowym

MARZENA PACZUSKA: Na to pytanie jeszcze nikt nie wpadł, a podstawowe: Kierowca seicento odwiedził premier Beatę Szydło z kwiatami czy też adwokat mu zabronił?

Przyznam, nie wpadłam na to pytanie, ale skoro już szefowa „Wiadomości” mnie nim zawstydziła, to podpowiadam możliwą odpowiedź – kierowca seicento jest wystarczająco rozgarnięty, żeby wiedzieć, że do szpitalnego łóżka premier rządu nie zostałby dopuszczony bez względu na okazałość przyniesionego bukietu. Podziwiam determinację, z jaką dziennikarka TVP broni pani premier przed 21-latką, ale chyba nie ma takiej potrzeby. Tak się bowiem szczęśliwie złożyło, że policja pozwoliła odjechać postronnym osobom z miejsca wypadku i w śledztwie wersji kierowcy zgodnie zaprzeczyła świta pani premier. Jakby tego było mało, prawdopodobnie nie

da się też odtworzyć prędkości rządowej kolumny w momencie wypadku, bo – a to pech! – coś jest nie tak z zamontowanymi w nich rejestratorami. Z braku bezstronnych świadków i niepodważalnych dowodów w śledztwie będzie słowo młodego kierowcy seicento przeciwko słowom całej ekipy pani premier, więc bez względu na to, co się naprawdę wydarzyło w Oświęcimiu, skończy się jakimś skromnym wyrokiem w zawiasach dla kierowcy seicento. Jednak krzywdy nie ma, wyjdzie z tego wszystkiego bogatszy o pieniądze pozwalające na zakup naprawdę wypaszonego auta, bo wdzięczni internauci już się na nie zrzucają.

Bez względu jednak na to, co ostatecznie „ustali” prokuratura (cudysłów uzasadniony, bo prokuraturze już się wypsnęło znamienne: „Nie wiemy, z jaką prędkością przemieszczała się kolumna, ale nie ma podstaw zakładać, że przekroczyła do-

zwoloną prędkość”, zbyt wiele padło też stanowczych stwierdzeń oraz oskarżeń, żeby można było teraz odkręcać i winę rozkładać między obie stuknięte strony, choć wszystko wskazuje na to, że obie są tak samo winne), każdy, kto dobrze życzy pani premier, powinien stawiać pytania dużo poważniejsze niż to, czy kierowca seicento wpadł do pani premier z kwiatami. Jeśli kierowca pancерnej rządowej limuzyny rozbił ją na drzewie przez nieostrożnego dzieciaka w seicento, to jakie szanse ma pani premier, gdy następnym razem trafi na dobrze przygotowanego zamachowca w tirze?

Może by tak dla odmiany zacząć rozliczać tych, którzy mają największy wpływ na bezpieczeństwo polityków? Może nawet – wiem, wiem, nie do pomyslenia – po prostu zwalniać tych, którzy się nie sprawdzają? Naprawdę nie czekałabym z tym do pierwszego śmiertelnego wypadku. Odpukać! ©©

PODSŁUCHANE

Na sygnale

Panie Waldku, można by chociaż tę syrenę wyłączyć? Głowa mnie już od tego boli.

Mogę, panie ministrze, ale wtedy będę musiał zwolnić.

Dlaczego?

No... sam pan przecież wydał zarządzenie dla nas w tej sprawie po wypadku pani premier. Żeby zawsze jeździć z sygnałami na każdym aucie, a jak nie, to jechać zgodnie z ograniczeniem.

A, faktycznie, faktycznie. A którą mamy godzinę? Bo tam prezes czeka.

Jak wyłączę, to musimy jechać normalnie. Korki są. Nie zdążymy.

A niech to... A ile teraz jedziemy?

Bo jakoś wolno mi się wydaje.

Umiarkowanie, tylko 130, bo tu przejścia dla pieszych są i światła. Ale zaraz będzie przyspieszymy.

No dobrze, byle szybciej, to ta syrena też przestanie wyć, jak dojedziemy.

Panie ministrze, robię, co mogę, ale nie przelecimy górą.

Wiem, panie Waldku, wiem. Ale jak wyjdę od prezesa, to pewnie będzie już wpół do szóstej.

O szóstej mi sklep zamkną.

A dywan miałem kupić, żona mi głowę urwie.

Daleko ten sklep?

W Jankach.

Zdążymy, panie ministrze. My zawsze zdążamy. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Za 3 lata »wygasimy« Kaczyńskiego i Macierewicza. Całkowicie”.

JOANNA SCHMIDT,

posłanka Nowoczesnej, na Twitterze

Jak żyć w czasach PiS? Posiedzenie Zatzadu zjednoczonej opozycji...

bara bara bara riki tiki tak so...



cebery krysztopa biopublice...

fol. Jerzy Gurnowski



Medialce

Nieprawdą jest rozpowszechniona opinia, że w trakcie amerykańskiej kampanii wyborczej najbardziej skompromitowały się tam sondażowne, chorem wieszczące pewny triumf pani Clinton. Nie można ich chlostać tak mocno, bo Clinton uzyskała jednak więcej głosów (przecież sondażowne liczyły ludzi, nie zaś elektorów stanowych). Dużo haniebniej skompromitowali się salonowi dziennikarze — całe to lewackie żurnalistyczne i telewizyjne bractwo jankeskiego „mainstreamu”, którego członkami są: portal „Huffington Post”, gazety „New Yorker”, „New York Times”, „Washington Post”, telewizje CNN, NBC, ABC i CBS News. Manipulowali na potęgę, łgali bezwstydnie, fałszowali dane, uprawiali chamską propagandę dla Clinton — słowem: próbowali tumanić amerykańskie społeczeństwo jak tylko się da. Obiektywizm — święty Graal dziennikarski — wyrzucili na śmietnik, brudząc sobie etykę i rączki liczące „kase”. Szok powyborczy był wszelako tak silny, że niekiedy z nich przyniósł otężeźwienie i wyrzuty sumienia, a w konsekwencji także skrucę publicznie wyrażaną. Ta fała przeproszania odbiorców (za kuglowanie faktami i łamanie elementarnych dziennikarskich standardów) szybko dopłynęła do Europy, sprawiając, że medialne salonowe elity Starego Kontynentu (medialce-padalce) też zaczęły bić się w piersi i obiecywać poprawę radykalną; Piotr Kowalcuk przysłał z Rzymu korespondencję („Do Rzeczy” 48/2016) pełną tych wielce smakowitych cytatów-pokajañ.

Tymczasem u nas o żadnych przeprosinach nie ma mowy, chociaż nasi salonowi żurnaliści proclintonowali tak samo gorliwie. Obserwowanie ich starań szczerze rozbawiało, weźmy ultralewackie „FORUM” dla przykładu. „Mięsem” tego periodyku są przedruki z prasy cudzoziemskiej, ale tylko formalnie, bo praktycznie uprawiany jest tam grzech śmiertelny dziennikarstwa: zastępowanie informacji komentarzem propagandowym udającym info, i to w notoryczny sposób. Przed elekcyjnym wtorkiem amerykańskim „FORUM” krzyczało bez ustanku: „Donald Trump jest już skończony!”, „Nic już nie może uratować Trumpa!”, „Musiałby wydarzyć się cud, żeby Trump zwyciężył!”, itp. Lecz ani oni, ani Lis, ani Pochanek, ani żadna inna kreatura z tego zaklinającego rzeczywistość towarzysza wzajemnej aberracji nie pomyśli o przeprosinach, mają bowiem raczej wyrzuty siedzenia (hemoroidy jako uciążliwe skutki nasiadówek ideolo) niż sumienia. Również nie-

mieccy dziennikarze — od głównego tygodnika („Der Spiegel”), po główną telewizję (ARD) — nie raczyli przeproszać, kiedy wyszło na jaw, że rutynowo łąą a propos „uchodźców” i całej durnej „polityki Willkommen”. Wszędzie w Europie zachodniej ufność wobec ludzi mediów sięga dna. Sondaż przeprowadzony w Wielkiej Brytanii A.D. 2016 wykazał, że fryzjerzy są według społeczeństwa trzykrotnie bardziej wiarygodni od dziennikarzy; według badań Diapana 2016 — aż 53% Niemców nie ma zaufania do dziennikarzy; we Francji aż 89% młodych ludzi (18–35 lat) nie ma zaufania do mediów.

Miedzy Polską a Zachodem jest pewna — dosyć ważna — różnica: tam w większości krajów funkcjonuje czołowa lewacka gazeta („NYT”, „Le Monde”, „El Pais”, „La Repubblica”, etc.) „... i inne lewicowe gazety, czyli wszystkie gazety” (Michel Houlebecq), zaś u nas liczą się również periodyki opozycyjne wobec Salonu (exemplum „Do Rzeczy”). Transfery dziennikarskie pomiędzy jedną a drugą stroną barykady zdarzają się rzadko; najgłośniejszy przykład męski to Cezary Michalski, zaś żeński to Eliza Michalik — oboje z zaciekłych antysalono-



Aleksander Fredro:

„Jak kominiarza, tak dziennikarza
zawód diablo trudny.

Czyści — a sam brudny”



nowców stali się zapiekłymi salonowcami (ona wówczas, gdy przyłapano ją na monstrualnym plagiacie — teraz wykłina Kościół i wszystko inne czego wcześniej broniła, bez żadnego rumieńca powtarzając: „— Przecież ja też cenię świat wartości”). Z tymi „wartościami” bywa bardzo różnie, zwłaszcza po salonowej stronie rodzimych mediów. Znany dziennikarz i wydawca Igor Zalewski podkreśla (2016), iż największe słabości/grzechy dziennikarstwa to: polipoprawność („— Wszelchobecne uleganie poprawności politycznej jest jedną z największych tragedii współczesnych mediów”), tandeta komentatorska („— Interesujące materiały, jak reportaże z kraju i ze świata czy dziennikarstwo śledcze, zostały zastąpione przez najłatwiejszą formę dziennikarską, tzw. zaangażowaną politycznie publicystykę, czyli tanie, łatwiutkie komentarze”), schlebianie odbiorcom („— Dzięki Facebookowi czy Twitterowi dziennikarze wiedzą czego chce odbiorca, i po prostu dopasowują się do najpopularniejszych przekonań oraz gustów, podlizując się odbiorcom”), tudzież usługowość wobec biznesu („— Dzisiaj standardem jest pisanie na zamówienie firm, koncernów, korporacji w zamian za drogą reklamę. Stąd degrengolada mediów”).

A usłużność wobec polityków? Obie strony barykady nie są tu bez winy, aczkolwiek nagłośnieione przypadki salonowe bywały smaczniejsze, chociażby te rodem z manipulorni TVN-u (np. brzydko zachowująca się widownia, w którą wmontowano klaszczącego Jarosława Kaczyńskiego, mimo że był tam nieobecny, lub złośliwe oświetlenie popierającej PiS aktorki Ewy Dalkowskiej, co pryncypialnie zgañiła Joanna Szczepkowska: „Sporo trzeba było się namęczyć, żeby oświetlić jej piękną twarz w tak ohydny sposób, aby widz miał odczucia negatywne. Reflektor służący «mowie nienawiści»...”, 2016). Prominentny działacz SLD Marek Dyduch, grający/kombinujący na arenie politycznej przez wiele lat, zatem znający wszelkie jej kulisy jak własna kieszeń — u schyłku roku 2016 wyznał Elizie Olczyk, że w przestrzeni medialnej III RP „jest dużo dyspozycyjnych dziennikarzy”. Taka konstatacja zwie się u nas „oczywistą oczywistością”.

Plus wszelkie brednie i głupoty (eufemistycznie zwane „lapsusami”, „pomyłkami”, „niezręcznościami”), które obnażają brak u naszych dziennikarzy elementarnej wiedzy/erudycji równy mózgowej pustce pana Petru. Kiedy czytamy w „Super Expressie” (22-IV-2016), że „*Gazeta Wyborcza* nie lubi wszystkiego, co lubili członkowie międzywojennej Komunistycznej Partii Polski” (jest akurat na odwrót) — to wiemy, iż mamy do czynienia ze zwykłym redaktorskim niechlujstwem. Ale gdy dzień później (23-IV-2016) w „Rzeczpospolitej” czytamy, że sławna portrecistka Elisabeth Vigée-Lebrun namalowała dzieciątą królową Marię Antoninę „jako Paterfamilias” (ojca rodziny) — to wiemy, że mimowolnie puścił baka ktoś próbujący zabłysnąć jako światowiec. Dziennikarscy celebryci (m.in. popularni prezenterzy/lektorzy) gubią się terminologicznie nawet przy pierwszorzędnym bieżących problemach politycznych, exemplum Hanna Lis nie umiająca rozwinąć skrótu JOW (jednomandatowe okręgi wyborcze) i zamiast „formatu normandzkiego” przywołująca „format norymberski”. Co i tak jest „małym piwem” wobec idiotyzmów, które każdego tygodnia wygaduje/wypisuje jej mąż. Lubimy go cytować w rubryce „Od rzeczy”.

Wreszcie — „last but not least” — wśród dziennikarskich grzechów jest też fatalna polszczyzna, którą prof. Wiesław Godzic nazywa „językiem polskawym”. Operują nim wszyscy ci paplający codziennie do mikrofonów, którzy nie wiedzą kiedy mówi się „mi”, a kiedy „mnie”, kiedy „tę”, a kiedy „tą”, i jak się odmienia słowo „Rzeczpospolita” (bełkoczą: „— *Ta Rzeczpospolita*”). Chociaż mają silne alibi (bo dokładanie tak samo kaleczą czysty język członkowi politycy, akademicy, aktorzy, artyści, twórcy, itd.) — winno się ich karnie relegować z roboty i przyjmować ponownie dopiero wówczas, gdy nauczą się bezbłędnie mówić po polsku. Duży wstyd! ©©

Waldemar Łysiak

Nasz Narodowy Wytwórca

pamiętamy

Narodowy Dzień Pamięci
Żołnierzy Wyklętych

1 marca 2017 r.

